LAMUS

ZIMA 1909-1910

ZESZYT PIĄTY TOMU II. Z. 1.

D. Chodowiecki pinx. & fecit. Berolini 1767.

TREŚĆ ZESZYTU PIĄTEGO.

Lamus wychodzi cztery razy do roku w zeszytach objętości łącznej około 40 arkuszy druku. Każdy zeszyt zawiera kilka plansz jedno- lub wielobarwnych. Prenumerata wynosi rocznie: w Galicyi K. 12·—, w Wielkiem Księstwie Poznańskiem M. 10·50, w Królestwie Polskiem R. 5·—. Cena każdego zeszytu oddzielnie K. 4·—, M. 3·40, R. 1·60.

Redaktor: Michał Pawlikowski, (Lwów, Trzeciego Maja 5); ∗ Nakładem A. Altenberga i J. Mortkowicza. Składy główne w księgarniach: H. Altenberga we Lwowie i G. Centnerszwera w Warszawie. ∗ Własność Redakcyi.

∗ Z Drukarni Narodowej w Krakowie.

TREŚĆ PIERWSZEGO ROCZNIKA (1909):

TREŚĆ ZESZYTU PIERWSZEGO.

LAMUS

**

REDAKTOR: MICHAŁ PAWLIKOWSKI

MCMX
NAKŁADEM A. ALTENBERGA LWÓW.
Odbito w Drukarni Narodowej w Krakowie.

Część pierwsza — Dzisiaj.

Carmina tristia.

NIECH SIĘ NIE SILĄ.

Niech się nie silą patrzeć ludzkie oczy
W bezgwiezdnej nocy grobie, w mrok ponury!
Niczem jest człowiek! Choć się pnie pod chmury,
W ciemności powstał — i w ciemności kroczy.

Nic... Pustka wkoło, pustka w stropu szczycie —
Znikąd przychodzę i choć wiem gdzie dążę
Ślepym... W mogile nieskończonej krążę
Czarnej jak rozpacz i pustej... jak życie.

Ani mi świecą te czyste sklepienia
Których promiennem tchnieniem młodość dyszy,
Ani mi grają tryumfy, ni ciszy
Znajść duch nie może, ani zapomnienia...

Przestwór i nic. I tylko ciągle słyszę
Szum monotonny jak deszczów powodzi,
Siekący szum co zwolna w huk przechodzi,
Co nieustanną groźbą wkoło dysze...

I czekam darmo czyli się z zorzami
Dzień nie podniesie, choć dżdżysty, w mgłę zwity,
Wzrok bodaj wróci i da w blade świty
Roztopionemi pójść dalej drogami...

WIDZIAŁEM RAZ SZCZĘŚCIE WE ŚNIE.

Widziałem raz szczęście we śnie...
Przyszło i białe mi dłonie
na skroń złożyło tętniącą... I cicho wkoło tak było...
Ku rozpalonym mym wargom usta kojące schyliło
I w oczy jego jam spojrzał:
Ujrzałem oczu twych tonie...

A potem, potem się zdało że widzę razem nas dwoje
w kraju cudownym, gdzie słońce jaśniejszy blask szle w przestworza,
kędy się w piasek gorący fale kłaść idą od morza,
kędybym z tobą żyć pragnął, kędy oczęta szły twoje...

Gdzie się zielenią winnice, gaje po wzgórzach piniowe...
Jasna królewno ty moja! U stóp ci klęczę a oczy
w oczach twych toną...
Wokoło, w słońca strumieniach świat broczy.
Włosy twe splotły mi szyję i pachną... Skłoniłaś głowę,

oddech twój czuję na ustach...
Jestżeś ty moja?... Jedyna...
Cicha kampania wkoło nas, zdala lśni ogrom sinawy,
jałowce pachną w powietrzu, świerszcz skrzypi lekko z pod trawy,
ciche dumają cyprysy i rzymskiej willi ruina...
. . . .

Sen złoty...
Nigdy się boska nie dowiesz o czem tu nucę,
nigdy ze mną ni śmiać się ni płakać nie będziesz!
O jawo!!!
Szczęście w marzeniu minęło i poszło...
Śmiało się łzawo,
tak, jakby chciało powiedzieć:
„Żegnaj!... Już nigdy nie wrócę..."

* * *

PIOTR SZARZYŃSKI.

Tropy.

GNIAZDO NIEPOKOJU.

Ztąd się rozsnuwa pochód w różne strony
I świat żałobną pieśnią napełniony.

Pozatracały się proste linie żywopłotów, zgarbiły, jak ciała wygodnie leżące na ziemi. Tam, gdzie dawniej cięły nożyce, smuga jeno została, a ponad nią strzeliła młódź trwożna zrazu, potem śmielsza, coraz żwawsza, bezkarnością rozswawolona, tem wyżej rosnąc, im dalej od wjazdu, dostając nowych kształtów, strzelając nowemi wierzchy i czuby, jakby upewniona niedbalstwem ludzkiem, które dba jeszcze o bramy wjazdowe, nie usiłując dalej sięgać rękami ni wzrokiem nawet. Dawno nie przynaglany człowiek zdrzymnął się, zasnął... a graby rosły, rosły, z roku na rok, dostając coraz to nowe pokłady roślin przyziemnych, co po śmiałkach lubią się wdzierać w górę. Zasnute powojami, bluszczem, parły się tem wyżej, w gonitwie jakiejś przekornej, na złość temu, co śpi, to też co było ponad niemi, zakryły, wyzierać dając jeno czubom lip starych, w których czarnych koronach łopotały kawki, wybierając gałęzie co lepiej okryte na nocleg.

Spokój tu miały i ciszę wielką i dlatego obrały sobie za osiedle gęstwę okalającą niby jakiś zapomniany grobowiec, gdzie ślady ludzkiej ręki z roku na rok ginęły, a jeśli co żyło jeszcze, cofnęło się w głąb, nie przeszkadzając, nie mieszając się w sprawy zwierząt i roślin, nie kierując kapryśnym ich tokiem, wolą swoją nie przecząc ich woli rośnienia, bujania, wkorzeniania się w głąb, śmigania w górę, rozpościerania się po wierzchu i w głębi ziemi, gazdowania dowolnego a niezaprzeczonego.

Z góry spuszczała się droga wysadzana topolami.

Sękate były choć śmigłe, krzywe, w obręcze pogięte, guzami ob-

siędzione i grzybami. Sieć pęknięć pokryła namarszczoną korę, na której białe plisze blizn świeciły. Z rzadka wznosiły się, szukając po powietrzu drogi, węźlaste konary, górą dopiero zlewając się z sobą w jedną zieloną plamę listowia... ale ponad nią sterczał dalej pień u wierzchu szczerbą zakończony. Co młodsze tylko wierzchołki zachowały. Stare otaczał las odrośli po garbie góry kępkami rozsypanych. Widać wzmogły się, gdy znużona opadła ręka, co je ongiś pleniła, stały oporne, nie dały się pługom, prującym ziemię, i co ambitniejsze sięgały teraz czół rodzicieli pooranych śladami życia.

Z góry, od szczytu alei widok był rozległy. Bliżej, na samem zboczu góry słały się nisko po ziemi szeregiem długie szopy, o dachach krytych papą, ginąc w gęstwie drzew, z pośród których wyglądał mały domek o zawilgoconych ścianach, a dalej, już na równi, obumarłe, opuszczone zabudowania fabryczne z wysokiemi murowanemi nasadami kominów zawalonych, czy rozebranych.

Na prawo lśniły prostokąty stawów ujętych w groble, ślady jakiegoś celowego działania, jakichś usiłowań, po których pozostały na świadectwo smutkowi.

Potem były już jeno pola. Rozlały się daleko, jednobarwne jak woda, szarozielone, unosząc na toni, niby biały płatek żagla samotnej łodzi, srebrną plamę dachu kościoła, przypartego niby do wyspy do kępy drzew, w których się wieś sąsiednia kryła.

Dopiero kędyś w dali, gdzie wzrokiem trudno było kształty rozeznać, widniał na niebie szczerbatą linią wał gór, by wstęga siwa, roztoczona kręgiem po ziemi, coraz szersza ku zachodowi, na której występywały wyraźniejsze zarysy stromych zboczy, miejscami łysych, świecących pustaciami wyrębów.

Człowiek patrzący z góry, jakby nie mógł się nasycić wielką ciszą i opuszczeniem, które się tu panoszyły, usiadł pod żywopłotem i wodził oczyma dokoła.

Oparty plecami o sprężystą tkankę grabiny chciwie patrzył, poczynając od widocznych na dali przedmiotów, jakby je liczył.

Równia poczęła mętnieć, jakgdyby ją kurz szary przysłonił, a po krajach czernieć się zdawały góry. Kontur grzbietu odcinał się silniej na niebie i skryte za nim w parowie przez dzień cienie poczęły wypełzywać, ogarniając wszystko. W fali tej utonęły po chwili rzeczy dalsze, został jeno biały dach kościoła. Dobiegłszy do zabudowań stojących pod górą, fala rozbiła się i kędyś przepadła. Ale zaraz małe strumyki czarne poczęły płynąć w górę rowami, zaklęsłościami gruntu, wciskały się w zakamarki, skradały chytrze coraz to

wyżej. Co dnia tak noc, mogąc zwyciężyć odrazu podrętwiałe jej najściem rzeczy, brała podstępem, a zgoła niepotrzebnie osiedle smutku, co jak opuszczone gniazdo bocianie na spadzistym dachu, tkwiło na szczycie góry.

Człowiek siedzący pod żywopłotem wstał, i począł iść wzdłuż żywej palisady. Sieć grabowych pręci gęsta była niezmiernie. Powrastały w siebie niemal, snadź długą sprzyjaźnione drużbą, zwarte ku obronie czegoś, co im warte było ukochania.

Próbował ręką sprężystej ściany, rad, że krze kłują i rozchylić się nie dają i smutny zarazem, że to jego, właśnie jego, już zapomniawszy widać, odpychają... może nawet praw mu przecząc dawnych, które tymczasem kto inny posiadł.

Na lewo od drogi topolowej, o kilkanaście kroków od wejścia przypierał do żywopłotu mur. Dawniej pomiędzy mur a krzaki, można się było przecisnąć, ale teraz ktoś przybił na poprzek dwie szerokie deski, przygważdżając je, z jednej strony do muru, a z drugiej do kołka mocno zabitego w ziemię.

— Nie wejdę! — mruknął do siebie rozradowany i śmignęło mu przez myśl jednocześnie: Nikt nie tknął... nikt nie tknął!

Spojrzał na mur. Wysoki był i na grzbiecie okryty skorupami dachówek.

Zawrócił. Naprost drogi, na dwu dębowych, czarnych palach wisiały skrzydliska żelaznej, rudej od rdzy bramy.

Popróbował. Zamknięta była. Począł wodzić rękami jak po strunach harfy po sztabach dość gęsto osadzonych w poprzecznicach.

A gdybyż — myślał — ozwały się struny pieśnią jakąś pod znajomemi palcami... gdybyż tego jeno trzeba by zagrzmiało: Wstawajcie kształty przeminione!

Nie! Nie! Nie!... nic nie zagrało... nic.

Tylko uczuł, że jedna ze sztab się poddaje. Nit dolny puścił, można ją było skręcić na bok na górnym niby na osi obracając... Druga pęknięta była w połowie, przeżarta rdzą, czy przepiłowana.

— Ktoś tu zachodził... przemknęło mu przez myśl i posmutniał, chociaż przecież inaczej być nie mogło.

Odeszła go chęć wszelaka. Patrzył bez myśli.

Droga topolami sadzona nie urywała się tu, ale rozgałęzieniem jednem szła naprzestrzał przez park, drugiem go obiegała i szła spuścisto ku wsi samym grzbietem góry.

Człowiek zawrócił już na drugą, gdy nagle z za zakrętu wychynęła postać jakaś i nerwowo szybko przesunęła się koło niego.

Dziwny to był twór, czy się jeno takim wydawał po mroku. Ręce długie, jakby czegoś po ziemi szukały, głowa się chwiała niepewna w którą zwrócić się stronę, całe ciało chłostane niby biczem niepokoju, ustać nie mogło a iść nie miało siły.

Stwora postrzegła wędrownika, stanęła i poczęła się jakby z wielkiego ukontentowania cicho śmiać i w tył przeginać.

— Achaaaa! Achaaaa! Taaak! Taaak!... To doskonale. Uradujemy się... Uradujemy... Uradujemy... Uradujemy...

Nagle obejrzała się wtył, przykuliła i jakby smagnięta biczem, pomknęła w dół aleją topolową.

Wędrownik patrzył przez chwilę zdrętwiały za zniknionem w mroku stworzeniem... i nagle, ruchem, jakby się przed czemś groźnem, a nieznanem chronił do własnego doskonale zabezpieczonego domu, rozsunął pręty bramy i wszedł szybko do środka.

Ciemność go ogarnęła nagle. Niebo granatowe zasłoniły mu korony drzew, zapadł po pas w wysoką trawę. Dopiero po długiej chwili trafił na drogę żwirowaną, po której twardo mógł stąpać, bo kamienie poprzerastane zielem nie rozsuwały się pod stopą.

Nagle tknęła go chęć niezmożona. Zawrócił na miejscu i począł szukać za czemś po pniu wysokiej akacyi. Było tu niegdyś, bardzo nisko gniazdo... tu, tak blisko drogi. Drobne jakieś ptaszęta skuszone gęstwą gałęzi osiedliły się na próbę, a przekonawszy się, że im bezpiecznie, pozostały.

Szukał.

Nagle rozległ się pisk, trzepot skrzydeł i samica strwożona uleciała w górę.

Wstrzymał oddech... czekał.

W ciszy głębokiej słyszał, jak mu krążyła nad głową.

Po chwili zaszumiało w liściach... siadła.

Odszedł, skradając się, próbując przed sobą nogą.

Położył się w trawie pod lipą, w kępie lip starych, otaczających kaplicę tak białą, że ją i teraz nawet po blasku rozpoznał.

Wyciągnął obie ręce w czerń, a myśl mu objęło:

Bierz mnie! Otom jest! Otom wrócił z drogi złej, po rozpoznaniu gdzie wiedzie, wróciłem do źródeł z wielkim, wielkim trudem... cóż tu prócz żalu i płaczu znajdę?

Bierz mnie! Bierz! Może obmyją oczy te łzy, co je płaczę za utraconem...

Tum legł i nie odejdę... nie... bierz mnie bierz!

Bardzo był zmęczony, wprost znękany drogą. Przywarł plecami do

miękkiej podściółki... oczy mu się kleiły, a coś, jakaś myśl niedosnuta spać nie dawała.

Ach i cóż... ktoś pijany poprostu... no pijany...

Sformułował to sobie, czuł, dla pośpiechu, byle jak, nie starając się wcale o dokładność.

Przymknął oczy... tak... teraz... jak dawniej... tam.... kilka kroków ztąd, w różowym pokoju.....

Uczuł rękę, miekką rękę, która go okrywa ciepłą, leciuchną kołdrą i leżał bez ruchu jak wówczas... w pełnym szacunku i miłości bezwładzie... nie chcąc stracić ni odrobiny z tego, co mu dawano.

Ponad głową miał... jak wtedy... ciemną, fałdzistą kotarę...

Tylko gdzieś znikły długie, złociste pasma światła padającego od lampy... co wówczas tyle, ach tyle dawało do myślenia... A nigdy dokończona nie była myśl taka, bo... Tak, w krótkiej chwili przed zaśnięciem... Tam, pod szafą znika złoty tren płaszcza królewskiego... Tu jest rzeka... przez nią ma się przeprawić on... bohater, Herkules, co dnia dokonujący dwunastu prac... ach, gdzie tam dwunastu... Ale nie zjawia się on, bo oto złocisty pas spina się po ścianie, przylegając do niej, płaszcząc się... pełza... o... przegiął się... wlazł na sufit... Ciemno... Ona zgasiła lampę... Jakto? Więc już nie pisze listów? To niemożliwe!... a jednak ciemno jak wówczas nie było nigdy... Ale szczury po dawnemu... du... du... du... du... po strychu.

— Auhoo! — zawrzasło coś przeraźliwie i przebiegło drogą poza parkiem, o kilka kroków od śpiącego.

Zerwał się, siadł. Od razu wiedział, że tak nie piszczą szczury, że to coś całkiem innego.

Słuchał. Było znowu cicho.

Nie czuł się wypoczętym, spał widać parę minut ledwo.

Ale wrzask go zdenerwował, postanowił przejść się po ogrodzie, wyszukać lepsze legowisko.

Schodząc po dość znacznej pochyłości, po której się staczał park ku polom uprawnym... nagle począł obliczać...

Tak... tak... to było w jesieni... aha... tak... może być, że to dziś właśnie... muszę napisać do nich, tych jeszcze żyjących... zda mi się... rocznica... hm... zresztą... czyż to nie wszystko jedno?

Ujrzał, jak się graby rozchylają, by dać przejście wielkiemu, czarnemu karawanowi...

Szedł wśród ciemności zupełnej, domyślając się klombów, krzewów i drzew. Wróciła mu jakby cudem pamięć tych miejsc tak dokładna, że przeskakiwał rowy regulacyjne, o których istnieniu przekonać się

nie mógł inaczej, jak tylko próbując potem nogą... uchylał ręką gałęzie, zanim go po twarzy musnąć zdołały.

Czasem zaszła omyłka... ale nie on się mylił... brakło czegoś... kamień się znalazł pod nogą z muru stoczony...

I pośród tej ciemni i żałoby chciało mu się śpiewać. Tak dobrze... tak u siebie...

Zadumał się o dawno niewidzianych rzeczach... drobiazgach... o cieniu jakiejś kanapy na ścianie... połyskliwej bieli kominka... szparach w podłodze, z których o pewnej tajemnej godzinie wychodził on w koronie na głowie, prowadząc pod rękę małżonkę poślubioną w nagrodę prac nadludzkich... koniecznie musiały być nadludzkie... koniecznie...

Ocknął się, trąciwszy nogą w pierwszy schód kamienny terasy... spostrzegł gdzie jest i machinalnie, jakby wracając z włóczęgi nocnej po parku do łóżka... począł wstępywać na górę.

Ręce jego kładły się na poręczach kamiennych, jakby przywrzeć chciały do ciosu, witać długo, serdecznie... Ale je odrywał, broniąc się... zażenowany czegoś... Wszak miał tylko: zobaczyć... i pójść sobie.

Nagle stanął zdziwiony.

Drzwi salonu, wychodzące na taras, otwarte były, a na błyszczącej posadzce stała świeca zapalona w mosiężnym lichtarzu.

Zaparł oddech. Czekał.

Ale po chwili, gdy nic nie przerywało ciszy, poszedł na palcach dalej i stanął u drzwi, bacząc, by nie wstąpić w krąg światła.

Cicho było ciągle.

Po posadzce pełzało światło, wybiegało na taras, na poręcz i toczone słupy, dźwigające ją, rudą plamą drżało na krzewach i gubiło się w dali, wsiąkając w ciemń bezkształtną.

Odbite od kamieni, padało na zewnętrzną ścianę domu, okrywając ją półblaskiem, niby pyłem różowym, na którym odcinały się długie, czarne cyprysy, stojące w wazonach na tarasie między oknami.

Spojrzał w głąb łakomie. Raczej oczy się wśliznęły cichaczem, nim otrzymały przyzwolenie... wpiły w to coś, co już nie miało prawa dlań być niczem nad wspomnienie, a nagle wbrew wszystkim: Tak być ma!... wypełzło z głuchej nicości... narodziło się po raz wtóry wedle wzoru w sercu głęboko przechowywanego.

Niskie fotele szarzały na ścianach olbrzymiemi plamami, drzwi w ścianie tylnej pałały kwadratami szyb, a palenisko kominka czarne, głębokie, wyglądało jak grota w skale srebrnolitej.

Poplamiony cieniami, wisiał w głębi ogromny obraz, w poczerniałych, gdzieniegdzie połyskujących migotliwie ramach:

— W celi więziennej wsparty na łokciu leżał na barłogu „polityczny“. Oczy wbił w przestrzeń, a słuch wytężył na szmery dobiegające z kurytarza... Ach... byle nie przeszkodzili... byle nie zaczęli ratować... W ręku trzymał koniuszek palącej się świecy, drugą z trudem osłaniał światło. Gest wskazywał, że strzeże go, by miał czem podpalić słomę barłogu, gdy nadejdzie sposobny, cichy moment. Czyn był postanowiony... czekano nań może w wielu, wielu celach... gdzie zbrakło nadziei... a może nie... może właśnie to był... Nie myślał o śmierci... rzeczą wiele ważniejszą było, by nie spostrzeżono... by nie... uratowano...

Naraz zaszemrało, jakby tłum jakiś gdzieś za ścianą odmawiał nowennę i głosy ucichły nagle.

Przybyły cofnął się i uczynił już zwrot, by odejść, gdy naraz doszło jego uszu jakby sapanie jakieś, oddech kogoś śpiącego.

Nasłuchiwał przez chwilę, a gdy nie ustawało, po cichu na palcach wszedł do salonu i ujrzał na lewo przez szeroko otworzone drzwi salę sąsiednią, zatopioną w różowej łunie.

W ścianie wielkiej sali był głęboki wnęk o sklepieniu żebrowanem, mieszczący kaplicę domową. Nad ołtarzem połyskiwał w połowie płaskorzeźbą będący obraz Matki Boskiej. Tło srebrne zarzucone było gałązkami akantu, a po środku widniała czerwona sukienka i niebieski napierśnik Madonny, pokryte siatką złotych haftów. Jezusek na jej rękach miał sukienkę białą, ledwo widną z bramowań. Obojga twarze ciemne były, a na głowach dźwigali ciężkie, baniaste korony.

U spodu na białej wstędze widniało wypisane wypukłemi literami:

„*O Mater Dei electa esto nobis via recta*“.

. . . .

Od stropu zwisała srebrna lampa w kształcie serca z czerwonem wewnątrz naczyńkiem.

Oliwa dopalała się, wszystko zalewało purpurowe światło, od którego pałały wysokie, kilkuskrzydlne drzwi szeroko otwarte, przedłużające kaplicę aż na samą salę.

Naprzeciw ołtarza stał klęcznik, na którego oparciu spoczywała głowa śpiącego starca. Widać przyszedł zagasić lampę i zdrzemnął się na modlitwie.

Patrzący uczuł na policzkach łzy i cofnął się cicho do pierwszego salonu.

W przechodzie spojrzał w zwierciadło i mało że nie krzyknął. Wyglądał w tej ciszy, w tem otoczeniu jak złodziej, co skrada się po cudze dobro. Omal, że nie wyrwało mu się z ust: Łapać! Łapać!

Zmierzał ku wyjściu. Szedł z trudem po śliskiej posadzce, a jego ogromny cień sunął po ścianach, pochylony, w olbrzymim kapeluchu na głowie, o nastrzępionych włosach, na załamanych, długich nogach, by pająk potworny.

Gdy był o krok od wyjścia, zaszemrały znów tłumnie głosy jakieś, jakby za grubą ścianą, czy pod podłogą, i naraz zawyło coś przeraźliwie, choć jakby z pewnej odległości:

— Ahuuohooo!

Przybysz wzdrygnął się, kocim skokiem dostał się na taras, potem zsunął się po schodach i za chwilę stał już skryty w cień nieprzenikniony na dole w kłąbie roślin jakichś kolących go po twarzy.

Widział teraz przez witraże okien kaplicznych czerwone światło lampy, którego dostrzedz nie mógł, wchodząc po schodach przeciwległych. Naraz zachwiało się i zgasło.

Rozległy się kroki posuwiste, powolne.

Jasność z posadzki poderwała się w górę. Starzec ze świecą w ręku stanął w progu i rozejrzał się po tarasie.

Niski był, szczupły, białowłosy.

Stał, mrucząc modlitwę.

— A światłość wiekuista niechaj im świeci na wieki wieków... Amen... Niech spoczywają w pokoju wieczystym...

Kończył głośnym szeptem starców.

— Amen! — jękło w piersi patrzącego, jakby uderzył dzwon potężny.

Uczuł, że z trzaskiem zapadają ciężkie drzwi grobowca.

Legły mu na piersiach, aż zabolało.

Drzwi wchodowe skrzypnęły, zadźwięczały w oprawie szyby, zgrzytnął zamek...

Światło jęło się posuwać na lewo, muskając meble, ściany, sufity, ukazując na mgnienie oka, wydobywając z omroki kształty jakieś dziwne, oddalą czasu choć tak dobrze znane, zjawy, które znów ginęły na wieczność może... na zawsze... przez chwilę z pozwoleń tajemnych skorzystawszy.

Przybysz patrzył, patrzył łapczywie... Mruczał do siebie:

— Jedno okno, drugie, trzecie... salon... dobrze... ach... to serwantka... portyera... tak... gzyms kominka... Ciemno. Nie... znów jasno... to różowy... sufit... tak, wieniec... widziało się pierwsze... wprost oczu... Minął taras. Teraz... co to... aha... dobrze... zielone kotary... pająk mosiężny... Cóż to? coś nowego? Nie, nie: cienie od arkad... Koniec. Ciemno. Wyszedł do garderoby... Tak, przez drzwi tapetowe na drugą stronę, na front... ciemno... koniec.

— Czy tylko okna pozamykane na froncie!

Gdzieś, z dna duszy, z pod rumowiska tylu, tylu dni wyrwało się to pytanie słyszane ongiś... wiele, wiele razy. Wypowiedział je głośno, z zaniepokojeniem, jakby dużo można jeszcze stracić przez zapomnienie, jakby samo zamykanie nie było już tylko nawyczką starca...

Nagle, gdy nie miał na co patrzyć, spostrzegł ciemń, w której był pogrążony.

Uczuł się daleko... Między tem, a nim leżał szeroki, ogromny ugór smutku.

To... nie istniało już, choć było jak dawniej rzeczywistością... nie miał potrzeby stroskać się o okna.

I oto jak ostatnia fala złudy, wzdęta przemknięciem łodzi wspomnień, rozpływająca się w pomroce jawy tępej i ciemnej choć oświetlonej, odchodził ten starzec... zanikał na zawsze... tak... pewnie na zawsze... bo... bo... czemu?...

Rzucił się, by go przytrzymać, jak dziecko chce zatrzymać, złapać błyskawicę.

Ten starzec stał mu się bliższym od wszystkiego... reszta to znikomość... pomyłka. To jest to ostatnie ogniwo łańcucha szczęścia. Gdy je pochwyci... szarpnięciem ku sobie cofnie wszystko... albo porwany pędem tego właśnie pójdzie, gdzie tamto poszło.

Nie bacząc już na łoskot, popędził wokoło domu, by mu przeciąć drogę.

Biegł z wyciągniętemi rękami... i nagle uderzył w coś... Tak... to był człowiek... człowiek czający się w mroku, zrozumiał to w pierwszej zaraz sekundzie...

Spotkany mruknął coś i niechętnie usunął się na bok.

Nie uciekał. Mimo ciemności czuło się, że stoi, na coś czeka, czy waha się, gdzie iść.

Jednocześnie zamajaczyła pod nogami ścieżka i ukazał się kawałek nieba trochę jaśniejszego od drzew.

Poszukiwacz wspomnień spostrzegł pod ścianą pałacu masę ludz-

kich postaci. Kłębiły się na czerni, wypełniały całe, wązkie w tem miejscu przejście między ścianą a linią wysokich jaworów.

Postępowali naprzód, to się cofali, a podczas tych ruchów raz rozstąpił się tłum i nagle błysło światło.

Zamigotały szyby obszernej werandy... tak, tak... dziwny jakiś tłum opanował częścią pałacu, zwróconą ku drodze, przez wieś wiodącej naokoło parku.

Sabat się tu tajemny odbywał, czy narady, niedosłyszalne dla tych, co po drugiej stronie, przez drzwi, trwali w kulcie rzeczy dawnych.

Falował tłum niespokojny... ilu się tłoczyło ludzi, po ciemku rozpoznać było nie sposób, ale parło to wszystko ku wielkiej jadalnej sali frontowej.

Zepchnięte popod ściany kuliły się tam, niby przerażone, wysokie gotyckie krzesła, wzajem wypierając, następując na siebie.

Na wielkim kominku otwartym płonął skąpy ogień, rzucając łyski niepewne po sali i wielkim, niezdarnie zbitym z desek szynkwasie, nad którym chyliła się jakaś czarna, trudna do określenia postać.

Wiatr wstrząsał wybitemi szybami, grał na nich cicho, niesforną jakąś przygrywkę.

Gospodarzyły tu nędza, niedola, szaleństwo... chyliło się do upadku, co tam... tam... jeszcze wieki stać obiecywało.

Po kątach kryły się grupy dziwne, rozmawiające półgłosem, na środku, wcale dobrze widoczny, dziad jakiś przewijał obolałe snadź w długiej podróży nogi i stękał.

To ten, to ów przystępywał do szynkwasu i mruczał, jakby napitku żądając, a wszystko to odbywało się na tle jakiegoś szmeru nie będącego głosem rozmów zmieszanych, bo zdało się za ciche, podobne do poszumu wiatru, jęczenia w kominie wichury jesiennej.

Właśnie teraz ponad szmer monotonny wzbił się głos jakiś.

— Kto... idzie?... Kto idzie? Już czas!

Odpowiedział mu przeciągły skowyt:

— Aauhoooo!

Postać jakaś ciemna rzuciła się ku drzwiom, stanęła w nich na moment i zmagając się widocznie z sobą, ruszyła naprzód.

Działo się tu coś ważnego, wszyscy byli zafrasowani, a choć pozornie zajęci każdy sobą, wszyscy słuchali jednak głosu czyjegoś, co przypominał, że już czas iść.

Dziad przewijający nogę, jakby odpowiadając komuś skrytemu w cieniu, czy tylko tak, ze starczej gadatliwości począł mruczeć pod nosem:

— Moiściewy to tak... Przychodzi czas... bierz swój tobołek i marsz... marsz... raz, dwa, trzy... marsz! Naturalnie... naturalnie moiściewy, naturalnie...

— Dobrze wam gadać, — burknął ktoś z kąta — dopieroście przylazł... ale ja... to może jeszcze i dziś... cicho... sza...

— Każdemu... każdemu co jego... każdemu... każdemu... takie jest przykazanie... każdemu... każdemu co jego...

— A to was nogi bolą?...

— Ha, moiściewy... jak i was... może i nogi, może i co innego... wszystko jest znak... wiadomo... wszystko.

Szemrali cicho, iż wydawało się, że wiatr dmuchnie i zmiecie tę wizyę niedoli, że to nieprawda, bo się rozpadnie, byle energiczniejszy gest... ale wiatr taki nie jawił się... i znów czułeś, że może się nie zjawić długo, długo... wcale nawet może się nie pojawić... i to znowu tak zostać może wieki... wieki...

Moc ich na drogę rzucała jakaś, przykazanie tułactwa... czy w nowy etap szli tego życia... czy w nowe... inne... któż powiedzieć zdoła?

Spostrzeżono snadź, że przybył gość nowy, choć go nie witano. Ciemna się doń jakaś przysunęła postać i rzekła:

— Idź do szafarza... idź do szafarza!... idź do niego!

— Któż ty jesteś! — zawołał i zdziwił się, że własny głos taki cichy, szmerliwy, jak głosy innych. — Któż ty jesteś i co znaczy to wszystko?

— Co znaczy?... On się pyta, co znaczy... Ja bo jestem w urzędowaniu... rozumiesz... więc ci radzę... idź do szafarza — idź! Jakto? Nie wiesz, co to znaczy? Więc nagle stałeś się tak ciemny? Ależ to zwyczajne, najprostsze, codzienne... jakto... czy kpisz? Idźno do szafarza!

Popychał go przed sobą i nie puścił, aż napotrącawszy po ciemku przeróżnych ludzi, dostał się do szynkwasu, przed ciemną ogromną postać.

Podobną była do niedźwiedzia, ale głos, którym przemówiła do świeżego gościa miękki był, kobiecy, cichy, nadzwyczajnie cichy, ledwo dosłyszalny.

— Co to znaczy, pytasz? Dziwne, że pytasz, choć tam, po drugiej stronie, przed momentem wiedziałeś: Co to znaczy.

— Tamto było całkiem co innego! — odparł zdumiony. — Tamto było moje własne... moje... rozumiesz... a tu tylu ludzi... to, co tu, to jest wspólne... wszystkim wspólne...

— Masz... pij! Pij!... Oszczędnie nalałem, żal mi cię!

— Co to jest?!

— Także tosamo... ot życie poprostu... życie... jakto... czyż aż tak stałeś się nagle ciemny? A to trunek ten to jest zwyczajny... środek oryentacyjny... nie trafiłbyś, bez długiego, bolesnego szukania nie trafiłbyś na trop... na swój trop... dlatego pij... ale nie myśl, że w tem wszystko... o... nie!

— Nie rozumiem ni słowa! — rzucił się nagle z determinacyą.

— Radzę... wypij... bo... zaraz... za sekundę... może się ozwać głos... a biada ci bez...

Pędzony jakimś strachem wychylił kieliszek ciemnego płynu, od chwili przed nim stojący.

Biada ci bez tego jedynego, co my możemy dać... świadomości... podniesionej skali czucia... biada ci... Tak, wziąłeś od ludzi teraz wszystko, co ci dać byli wstanie... Teraz czekaj... czekaj, aż usłyszysz głos i poczujesz w duszy swej: To Ja! Odejdź! Inni czekają ostatniego posiłku ciała... odejdź w spokoju... a wiesz co bracie... płacz cicho... cicho... to lepiej... lepiej...

Potwór dziwny zakończył jakiemś jakby łkaniem, a przybysza odepchnęli cisnący się do szynkwasu po czarny płyn.

Smaku prawie nie miał, zimny jeno był niezmiernie, jak długo zapomniany w lodzie szampan, ziębił piersi i dreszcz wydobywał w całem ciele niemiły.

Odsuwany przez innych, znalazł się wreszcie w pobliżu kominka, teraz czarnego już prawie, bo ogień wygasł, i padł tam na krzesło.

Czuł, stało się z nim coś... wpadł w spelunkę łotrów, którzy sobie karczmę uczynili z tego, co jemu jest tak bardzo drogie... tak... jutro, dziś zaraz będzie temu koniec... sprowadzi się oczywiście żandarmów... no naturalnie... tak, teraz spać... spać... Ale nie! To nie prawda... to nie może być... Co to ona, ta stwora mówiła...

...O, co za niezmierne pola śnieżne... jakto, więc nie dość... tego wszystkiego... jeszcze śnieg... śnieg... teraz?... Co za ogromne śniegi... rozłogi bieli, dal, dal... O, jakże mówić... śnieg... śnieg... nic... nic... Idę już, nie wołaj... idę... dość tego... trafię jak i ci... ci... ci... ten dziad, co go nogi... Mówię, że... widzę mój... widzę doskonale mój trop... który przed wiekami, dla mnie na tym bezkształtnym śniegu wycisnął On... ten, którego nazwać imieniem nie śmieją narody ziemi...

WOLNOŚĆ.

Niewysłowiona go ogarnęła radość.

Powód? Równie nieznany, jak w gruncie rzeczy nieznane jest wszystko.

Tylko nie roztrząsały tego dzienniki.... nie zastrzelił się bowiem wcale.

Przecież to takie proste. Budzisz się pewnego ranka.... i wyciągasz ręce do świata, by go objąć, by go ucałować.

Zazwyczaj w sekundę potem dostajesz psztyczka w nos.

Na przykład... zresztą i nacóż przykładów...

Ale są takie dni, kiedy psztyczków owych wcale nie czujesz . . . . . poprostu rozśmieszą cię one tylko.... ot całkiem jakby celem ich był nos twego n. p. krawca.

I cóż dziwnego, że się w dniu takim radujesz?

Pomieszana tu, jak państwo widzicie, przyczyna ze skutkiem i niewiadomo już.... co było na początku.

Dość, że rozpierała go poprostu radość. Chciał pocałować świat.

Dyagnoza: Dementio vernalis acuta.

Tak, tak, o niedowiarki, była wiosna dnia onego.

I jeszcze nie koniec.

Zbudził się tego ranka w bajecznym kraju swobody.

Znaszli ten kraj? gdzie... wprawdzie cytryna nie dojrzewa, ale... poprostu, wszystko co go otaczało było nowe.

Pokój wielki, widny, świeżo malowany, wokoło ogrody.... Tak niedowiarki....

„Ignoruję was!“

Tak napisał na lamusie wczorajszych trosk pełnym i o dziwo.... troski one, wspomnienia, żale i niemiłe obrazki z dni minionych.... przepadły.

A było ich dużo i misterne też były niektóre, dziwne, krętośliskie, pełne zaułków, zakamarków, progów wysokich, zapadających się podłóg... Ot zwyczajnie. Olbrzymie jedne, jak pałace w krainie snu, maleńkie inne...

Ale mniejsza z tem, przepadły!

I może to dlatego... nie wiem... dość, że była wiosna.

Wstyd wyznać, ale tak było istotnie.

Przyszła fala radości i zmyła wszystko do żywej skały. Nie zostało nic... prócz miejsca na rzeczy nowe.

To były jakieś miodowe... sekundy, sit venia verbo, jakieś chwile wpółżycia tajemniczego z nową formą zewnętrzną w jakiej się ukazał

świat... ten stary, a tak wyśmienicie zawsze ucharakteryzowany komedyant.

Szukał formy wypowiedzenia się i latał po pokoju.

Nie biegał — ...nie. Latał. Dotykał jeno ziemi, ale tak sobie, z grzeczności, niepotrzebnie... Właściwie, latał... nie chciało mu się tylko tak znów całkiem dokładnie machać skrzydłami....

— Oczywiście, oczywiście! — przytakiwał każdej zgłaszającej się do życia formie. Ale nie uznał żadnej.

Zdawało się, że wreszcie uwieńczy najstarszą z nich.

Kołysały nim rytmy, bajecznie tesame, a cudne jakieś, nieznane.... i znów.... oklepane.... ach.... jakże oklepane!....

Złapawszy się za głowę, omal, że nie począł śpiewać:

....No ....ale nie, nie, nie. Powstrzymał się. Tymczasem obeszło się bez blamażu.

Ale wracało ciągle. Ile razy wyjrzał przez okno, ile razy zachwycił w oczy tego słonecznego, złotego blasku, którym tam na świecie przepojone było wszystko, tyle razy czuł, że na nowo poczynają nim kołysać rytmy cudne jakieś, a znane dobrze, choć znowu pełne nowej, przedziwnie niewypitej treści, choć tęsamą czarę miał tyle, tyle razy przy wargach.

Stanął na chwilę. Potem, jakby się namyślił, usiadł przy stole i na ćwiartce listowego papieru począł pisać:

„Moja Jedyna!..."

Ale tyle tylko był w stanie nakreślić. Powinien zaś był nierównie więcej i to od dawna już...

Cała ta ogromna radość miała być.... tak się wydawało przez chwilę, powierzona tej ćwiartce papieru tant bien que mal... i iść kędyś daleko cieszyć drugą duszę.

Ale.... o ileż łatwiej byłoby list taki namalować, niż pisać.

Pokój jasny, czysty, ściany pięknym kryte deseniem, a pod oknami czuby kwitnących czeremch.

To przedewszystkiem.

Dalej zaś po obu stronach niedawno dopiero wyciętej ulicy.... ogrody, — wielkie, zapuszczone od niepamiętnych widno czasów ogrody.

Pozłocone były kopuły widnych w dali kościołów, a także i kołki w rozwalonym do połowy płocie, co koślawo, niezdarnie biegł pomiędzy parcelami. Wypolerowane były wszystkie klamki u drzwi, wyczyszczone szyby domów, obmyte tramwaje skrzypliwe, rozklekotane dorożki, konie, psy, ludzie, a wszystko przysłaniała przecudna, nie do określenia przeźroczysta mgła.

Czułeś czystość samej nawet błota kałuży.... krystaliczną dostojność brylantowej powierzchni z odbiciem cudów nieba i ziemi. Co tam.... gdzieś, w głębi.... o tem dziś i mowy nie ma. Owo „Dziś“ takie wydało rozporządzenie, takie hasło.

Idzie dziad kościelny. Szara, czerwonym krzyżem znaczona opończa błyszczy na słońcu, podobnie jak i brudne koszulki dwojga dzieci, co czerpią skorupkami wodę rynsztoka, starając się napełnić nią stary słomiany kapelusz.

Szkoda, że nie widać karawanu.

Jaki byłby dzisiaj?

Zapewne purpurowy, ognisty, słońcem na kolor radości malowany.... A posuwałby się szybko, raźnie, niefrasobliwie.

Oto oddaję, znaczyłoby, ziemi cząstkę wczoraj, poto, by się zjawić mogło dziś...

I jakże to wszystko napisać?

Więc tylko chyba zaśpiewać, czy zagrać na skrzypkach.... A może najlepiej otworzyć jeno okno i powiedzieć:

Patrz!

Opisywać, znaczy podawać powody, tłómaczyć, objaśniać, często też zaciemniać, by ukryć, ale zawsze powody... powody....

No, a jakże tu podać powody, czemu się weszło do drugiego pokoju, jasno oświeconego słońcem...

Stało się!

Począł szybko pisać:

„Moja jedyna...“

„Nie wiem co się stało, ale choć ciebie tu niema, choć losy nasze nie najjaśniejsze, rad jestem z czegoś strasznie...“

Nagle zrozumiał, że jestto niemożliwe.

O, jakże się trudno porozumieć ludziom. Za każdem słowem, tylekroć sprofanowanem, utarzanem po błocie podejrzeń uzasadnionych.... tyle się mieści stwor skrytych, pokracznych, drwin pełnych....

Oto ona pomyśleć może:

„Spotkał pewnie dawno niewidzianą kochankę“.

Albo:

„Nie jestem mu widać niczem, kiedy wiedząc jak jestem smutna, jak samotna...“

Albo w najlepszym razie nie zrozumie wcale.

I słusznie, bo skądżeby....

Rzucił pióro i podszedł do okna.

Powiódł okiem z wysoka po świecie wkrąg i pomyślał: Wszystko to jest królestwo moje!

Uczuł się władnym mocarzem, który by orzeł siedzi na wysokiej turni-zamczysku i mruży oczy, wie bowiem, że oto dziś nikt nie ruszy jego włości.

Nadchodziły zwolna różne myśli, ale jednej nadewszystko rad był: To jest Wolność!

Tak mu się przedstawiła wolność, a dusza radosna, uciekła niby z ciała, siadła, by ptak na kwitnącej czeremsze i dziwiła się osłupiałemu: Cóż to za gamoń tam stoi w oknie z otwartą gębą?

...Nieprawdopodobnie dobrze!...

I dlatego... dlatego ani listu, ani...

W odległej, ledwo co wyznaczonej ulicy przechodnie nie bywali częstem zjawiskiem, to też zwrócił zaraz uwagę stojącego w oknie człowiek wlokący się kędyś widocznie bez celu.

Modny płaszcz wisiał luźno na wyschłem jego ciele, pomięty kapelusz chwiał się na głowie tak nizko na piersi opuszczonej, że twarzy wcale widać nie było.

Szedł człowiek ów, a patrzącemu wydało się, że suną za nim wielkim korowodem zjawy rozliczne.

Skradały się popod parkany chytre pomysły nizkich wybiegów, posuwiste, a przygięte do ziemi, jakby zawsze gotowe do skoku, ambicye szły zaś środkiem ulicy, zataczając się zlekka i nie zlekka, — toczyły się krągłe, tuczne jak wieprze uciechy towarzyskie i inne.

Wyprzedzał jednak wszystkich, o czem wspomnieć się przez chwilę wahałem, wsparty na krzywym parasolu powagi stary, w połamany cylinder przybrany orangutan z wielką, ciężką księgą pod pachą.

A z dziur w chodniku, z otworów suteren wypełzły różne inne gady i węże i z sykiem roiły się pod nogami idącego, lub wiły spiralnemi skręty w powietrzu.

Od czasu do czasu smutny człek przystawał, jakby niepewny drogi i ruszał po chwili dalej, na oślep, byle ujść napastowania potworów, obskakujących go, ledwo się zatrzymał.

Patrzący z okna poznał znajomego i głośno niemal zawołał: Tak wygląda szczęśliwiec!

Więc tak wygląda „Pożeracz serc“, gdy nań nikt nie patrzy.... w odległej ulicy?

Nie zastanawiając się co robi, wychylił się całem ciałem za okno, osłonił usta dłonią i już miał zawołać, gdy nagle przypomniał sobie

swą turń-zamczysko, tę samotnię swoją, tę ciszę, to ogarnianie z wysoka królestwa . . . . .

Ach! W cóżby się zmieniły i słoneczna radość i pustka po zapomnianych grzechach wczorajszych . . . . .

Skrył się.

Ogarniony strachem, wspomniawszy, iż tamten może rozgląda się za pomocą, że mógł go dojrzeć w chwili owego nierozsądnego wychylenia... przywarł z boku do ramy okiennej i czekał, modląc się, by bez skutku pozostał jego poprzedni, nierozważny uczynek.

Wszystko musi mieć jakiś skutek i wszystko jest skutkiem.

Dobrze, dobrze, byle nie to... byle nie to...

No i jakoś... jakoś minęło.

Znajomy poszedł dalej, zabierając swoją menażerye. Ostrożnie wychyliwszy głowę, obserwował to król zamczyska i błogosławił... tak... błogosławił... temu poczciwemu... Ypsylonowi... a błogosławieństwo jego przyniosło, jak mi mówiono, ogromną ulgę biedakowi... jaką... nie pomnę.

No i jakoś minęło. Dziwny, dziwny dzień!

Zawsze miał „pecha"... zawsze.

Uczucie wdzięczności nim owładło, uczucie, które zwykle pożąda się przejawić w czynie.

Jakiś piękny tedy... ale to piękny czyn!

— Do pracy! Do pracy!

Tak. Trzeba się okazać godnym łaski otrzymanej, niespodziewanie uzyskanego nowego życia.

A praca ta, musi to być coś całkiem nowego, przepojona być winna uczuciem, z którego wzięła życie.

Ewangelia radości musi to być. Tak. Nie inaczej!

I znowu zakołysały nim rytmy dawne, odwieczne, nowe, nieznane, nie do poznania zgoła.

Jednym ruchem skrzydeł wzbił się wysoko i z tych wyżni spoglądając na opuszczone ciało, pytała dusza jego zdumiona: Cóżto za gamoń tam stoi przy oknie z otwartą gębą?

Od chwili już odzywało się coś na ulicy monotonnie: — Iihuuu! Iihuuu!

Nie słyszał naturalnie.

Było to, jakby skrzypiały taczki, nienasmarowany wózek, czy coś podobnego.

Cały balast doświadczeń... precz... naturalnie! Z wszystkiego, samo jeno uczucie wyzwolenia... Tak.... ileż tedy... ha... dwa... trzy akty... Nie... Wyzwolenie... nie... nie, to... A cóż tam u licha?

Wyjrzał przez okno roztargniony, nie widząc nic. — Więc... powiedzmy... cześć dla radości... nie... uznanie... uznanie... to dosyć... gdzieżby w naszych, skłonnych do pessymizmu czasach... toby zaraz padło... po pierwszym spektaklu... Cóż do stu tysięcy?

Drażniło go ustawiczne:

— Iihuuu! Iihuuu! — dochodzące z ulicy.

Rozkosz tedy... tak, nie mylę się... kult rozkoszy... tak... tak... ołtarz postawiony rozkoszy...

— Iihuuu!... Iihuuu! — skrzypiało teraz dużo bliżej i wprost nieznośnie już.

Poskoczył do okna groźny, z zaciśniętemi pięściami, gotów na wszystko.

Ulica pusta, otoczona parkanami, z poza których wychylały się śnieżyste czuby rozkwitłych czeremch, szedł z trudem człek jakiś i ciągnął za sobą na konopnej szlei spory wózek.

Na wózku onym rzeczy było niemało, a w miarę zbliżania się widać je było coraz to wyraźniej.

Przeważały skorupy z potłuczonych, cudnych niegdyś amfor. Ale truciznę snać mieściły w sobie, bo zielone na nich i sine widniały osady, z innych zaś dotąd mętna ściekała ciecz na bruk uliczny. Dalej czerniły się przekisłe, popękane garnki, w których królowa Nędza wczoraj jeszcze pewnie gotowała strawę codzienną. Z boku wychylały się na świat niepewnie trzewiki podarte na drogach cnoty, z błotem po krętych ścieżynach życia uzbieranem mozolnie. Nad tym drobiazgiem, przygniatając go wprost swą ważką personą trzęsła się wielka komoda fałszowanych dokumentów szlachetności, a obok niej widniała miednica ku myciu w czystości rąk służąca i jako żywo w tej służbie obrzydliwemi plamami okryta.

Ale wszystko to byłoby niczem, gdybym zapomniał o niewielkim, sterczącym nogami w górę stole. Przy nim... zresztą mniejsza o dokładność... Dość, że był on przykrą, nader przykrą pamiątką dni minionych. Coś o uczcie się zaplątało w pamięci niechętnej reminiscencyom, o uczcie braterskiej, kartach, cykutowem winie, gościu spodziewanym, a niespodziewanym tym i owym... ot smutne, smutne rzeczy...

Wszystko, a nie wyliczyłem ni części małej rupieci, mieściło się to tu, to tam, a przewiązane było troskliwie, z widocznem nawet staraniem o elegancyę, porządnym sznurem. Ten kto to uczynił, w całej pełni zasługiwał na miano zdolnego i o dobro klientów dbałego fachowca.

Człek to był zresztą dziwny jakiś.

Teraz, gdy przystanął dla spocznienia i ocierał pot z czoła rękawem, widać go było wyraźnie.

Rysy miał ostre, nos haczykowaty i czarny, kędzierzawy zarost.

Uśmiechnął się jowialnie, szeroko otwierając usta.

Na głowie jego widniała czerwona czapka z przypiętą z przodu blachą. Słońce grało na niej barwami tęczy jak na szybie katedry i zdala jaśniał wyraźnie napis:

Posługacz publiczny.

Czapka siedziała na głowie krzywo jakoś, a z pod niej wyzierał mały, krzywy, kosmaty, rożek dyabelski.

Ogon biesi dla większej wygody okręcony był wokoło biódr i zastępował sznur, jakim się opasują zazwyczaj tragarze.

Postał chwilę, zapiął na piersiach rozwartą niebieską bluzę, a znalazłszy oczyma stojącego u okna w osłupieniu człowieka, zdjął uprzejmie czapkę z głowy, skłonił się i zawołał:

— Całuję tysz pokornie rącki pana dobrodzieja. Zmarudziło się... Ale nimem się tam na policyi o adrys dopytał... Straśna ciżba!

DOLA.

Wysoko, bardzo wysoko gdzieś, przewracał się po powietrzu, kąpał w blaskach słońca, nurkował w światłości.

Poddawał ciepłu to plecy, to puszczał promienie po piersiach, to po bokach ku stopom.

Jakże piecze! Jak zatapia! Jak mocni!

Chciałoby się jedną ręką chwycić kędyś w tej jaśni utajoną gwiazdę, drugą ręką drugą i tak wydźwignąć się na wyże niezmierne, jak gimnastyk wywija się na drążek.

Albo znów jak orzeł złożyć skrzydła, po ciele je położyć i spaść w dół... piorunem spaść... ale dobiegając ziemi skręcić w bok, minąć ją i wpaść w pokryte jej cieniem otchłanie.

Szeroko, jest gdzie latać, nie zawadzi tu o nic, chyba tam niżej chmurę przetnie i znowu wynurzy się człek z oparu jak księżyc.

Przegiął się grzbietem do słońca i spojrzał w dół.

Zobaczył chmurę, a na niej Dolę zadumaną.

Płynęła, ku zachodowi, by zastąpić od tamtej strony promieniowi słońca, żeby przed zbytnim żarem zasłonić łan pszenicy.

Miała ciemną, siwą szatę. Siedziała ponura, z łokciami na kolanach, głową w dłoni złożoną. Z czoła jej czarne spadały włosy. Palce rąk włożyła w zęby.

Cicha, spokojna na biegącej, ciągle zmiennej chmurze twardym obry-

sowana konturem, jakaś stała, nieprzemijająca pośród rozpływań i skupiań, kształtów zatracań i tworzenia bezustannego, dziwne czyniła wrażenie. W swej realności na tle złudy, zdawała się lotną mgłą pośród skał rzeczywistości. Obcą się tu wydała, paradoksalną na własnym tronie. Nie na miejscu tu, zkąd rządzić światem nawykła.

Roześmiał się aż, na myśl ile ma ona dziś do roboty i nagle w poczuciu swego królewskiego nadmiaru czasu, rozpostarł skrzydła, zamknął oczy i całą siłą rzucił się prosto przed siebie.

Leciał bez pamięci i kierunku. Wicher mu gwizdał zrazu wielki koło uszu, ale potem i on ustał, nie szarpał go teraz pęd za włosy, zrobiło się cicho, dreszcz nim tylko wstrząsał zimny i czuł, że skrzydłom niema się na czem oprzeć.

Mniejsza! Nie odmykał oczu, myślał tylko:

To jest chwila upojenia. Ach tak, to jest upojenie, to jest sen o wolności . . . . .

Ach, jakże się to robi... zapamiętać... zapamiętać... A więc: wnętrzna wola, rozmach członków sam się wyzwala w ruch. Ledwo, że się uświadomiło, już wichry przegania, wichry lecące w służbie.

To inny lot, to inny!

Rozkosz, to bezkierunkowość.

Im zbaczać z drogi nie wolno, chyba, że się roztrzaskają o przeszkodę.

To zaś nazywa się: latać... Bez przynagleń, co późnią, bez brzemienia spełnień, ...to jest: latać... być wichrem włóczęgą pośród wichrów żołnierzy, godzinami nie widzieć ziemi, nie czuć jej pod nogami nawet w wielkiej, ogromnej dali... a wysoko... wysoko, gdzie już całkiem niema nic do roboty nawet najprawowierniejszy promień słońca... to jest: latać....

Strasznie jakoś zimno!

Czuł pod zamkniętemi powiekami, że tonie w ciemni, pod bijącemi szybko skrzydłami nie miał powietrza...

Otworzył oczy.

Tkwił w czerni niezmiernej. Niby knoty jarzące się świec pogaszonych błyszczały czerwono gwiazdy w oddali przestrasznej.

Przewrócił się na wznak odrętwiały niemal, a jednocześnie rozkoszą zamrozu objęty w tej bezdennej, bezgłosej ciszy.

Chciał nabrać tchu w piersi, a westchnął pustką jeno. Krzyknął ...i ledwo zaszemrało...

Był gdzieś, na krańcach atmosfery, gdzie życie ustające już niemal form żadnych niema.

...I nagle, z czarnej postaci wyjrzała ona... Dola.

— I czegóż chcesz? — spytał szeptem. — Czegóż się we mnie wpatrujesz, ty czarnowłosa, na nicościach pilnująca nicości?

Znowu mu była onej chwili tak wyraźna, tak materyalna wśród bezmateryalności otoczenia, że się zdumiał.

Zbliżała się, szła na niego, ...szła ...szła... jak idą czasem różne rzeczy gdy się mocno, mocno wpatrywać... Wyłoniła się jakby ot z tamtej mgławicy błyszczącej, i pędziła, pędziła... Widać było coraz to lepiej owal twarzy na dłoniach opartej, i oczy ...ach te oczy... parły go, spychały w dół, ku ziemi, jak obce, wrogie ciała niebieskie.

Szła przed nią fala wielkiej energii, wiał prąd niewidzialny, zmiatający wszystko z drogi.

— Precz! Precz!

Próbował walczyć, wbił się skrzydłami w rzadkie, niemocne powietrze, i choć się rzucały konwulsyjnie stanął jej wbrew.

Chwila i cofnął się, uśliznął, przegrał i pchnięty potężnie spadł.

Uczuł znów pod skrzydłami ciepłe, gęste powietrze kręgów przyziemnych.

. . . .

Obciosywał siekierą kawałek drzewa na orczyk i słuchał starych.

„I mówię — prawił jeden z nich, że tylko wielka determinacya z nóg ją powalić zdoli... choć znowu... pamiętam... ha moiściewy, któż ta odgadnie co lepiej... jemu to ta niebożykowi nie na najlepsze wyszło...“

Ale nie wiedział o co im idzie. Myślał, że wszystko, wszystko co się rusza na świecie, rusza się za pomału.

Prędzej! Prędzej! Jak wówczas!

Sama wola... czuł, że samo to jeno: Chcę!... samo to tylko miało moc pochłaniania przestrzeni, zbliżania odległych, niknięcia blizkich.

Chcę!... i gwizdał koło uszu wiatr...

Chcę!... i ziemia stawała się małą połyskliwą kulką gdzieś pod nogami, czerniały niebiosy i czerwieniały gwiazdy najzłotsze.

Ale nie zawsze ...nie!

Zachciałeś, i darmo... pragnąc, leciałeś na dół coraz to bardziej zdziwiony... i tajało ci to chcenie i w strach się mieniło... co rósł... rósł... coraz większy czarniejszy, jakbyś w chmurę się gradową zapadał.

A czemu?

Pomyślał. Raz chciało mu się zajrzeć w komin fabryczny, raz znowu ściągnąć kota za ogon z topoli.

I nic.

Naturalnie! — oburzył się sam na siebie. — To głupstwa!

„O, nie na dobre to wyszło biedakowi... nie! Więc mówię, Bóg sam jeden raczy wiedzieć co lepiej... Zresztą, myślę sobie... jak ma być tak... to cię korci... zrobię to a to... a nie... to znów ciągnie w inną rzecz... tylko jakie to są rzeczy, tego przedtem nie wiesz... i temu obrony myślę niema. Oj niema obrony, niema. Ale zwalić ją też można. Wtedy ci się zdaje... „mocnym jest"... „młodym jest"... spluwasz w garść i dalejże!... Ale pono i to tak być miało... żeś się w sile czuł, żeś w garść splunął, że ci się taka, a taka rzecz do obalenia pokazała"...

Mrok zapadł. Wstał, spostrzegłszy teraz dopiero, że ciesze na pamięć i wszystko na nic.

Hej! Na świat! Na świat!

Nagle otworzył drzwi i okroczyć chciał próg. Ale zdążył się jeszcze rozpędzić, dać sobie rozmach. Temu, nie przewalił się przez coś, co siedziało w drzwiach, szare, w pierwszem spojrzeniu nie do poznania.

Skoczył i zdziwiony obejrzał się zaraz nie bez trwogi.

Siedziało ich dwoje. Stary wskazywał nań palcem i opowiadał coś kobiecie, ...kobiecie o czarnych włosach, siedzącej z głową w dłoniach, z palcami w ustach... tak... tak... to znowu ona... Dola... a on...

Strach mu zjeżył włosy na głowie, uciekać począł i stanął dopiero zmiarkowawszy, że go od nich bodaj sto kroków dzieli.

Obejrzał się w sam czas, by widzieć, że wstają i idą w jego stronę.

Kroczą powoli, a przestrzeni tak szybko ubywa... zauważył zdrętwiały...

Wokół niby pusto, nic tylko krzaki, ale naraz wydało mu się, że za każdym skryty stwór jakiś, co go będzie łapał, przytrzymywał... jeśli tak być ma... doszeptało coś końca myśli...

Kroczą powoli, a coraz są bliżej, coraz bliżej... już jeno sięgnąć ręką... świecą, by wilcze oczy Doli... a on?... Ach, cóż się stanie, gdy spojrzeć trzeba będzie... pomyślał, jakby miał myśleć: ...gdy umierać trzeba będzie... i pchnięty by nożem, nagłą rozpaczą, spojrzał.

Starzec litośnie włosy długie, płowe na twarz narzucił... tak litośnie... oczywista... twarzy nie miał żadnej, wydało się... szedł tyłem...

Ale nawet taki straszny był, czuło się, że życie się urwie, jak nić pajęcza, skoro tylko... on... zechce...

Szedł. Szli. Prosto na niego... prosto... śmierć!

Serce mu bić przestało. Już nie myślał nic... tylko coś, jakby obce, wrogie, a dobroczynne, bo skracające mękę czekania, wołało ku zbliżającym się: Prędzej! Prędzej!

Ale nie umarł, bo oto oni ulitowali się w ostatniej chwili, skinęli sobie na pożegnanie i naraz rozeszli się w prawo i lewo, skręcając znagła w pola objęte zmrokiem.

Dawno ich nie było nim się odetchnąć poważył.

. . . .

Szedł z wysiłkiem, prąd był wartki.

Minęły czasy górnych jazd, szczęśliwej bezkierunkowości. O nogi biły fale, każdy krok to zmaganie się bolesne, walka o niewiadome.

Pustać. Roztoką płaskobrzegą płynie potok, a zadanie?: jakiś... niewyraźny nakaz:

„Tę oto łódź bez wioseł, dla kogoś... pocoś... hen... aż do lodowca górnego, zkąd płynę, dociągnij!"

Dorosły jestem, czuł tak. To się zwie: Pełnia sił!

Łzy do ócz napłynęły. Wiedział: Ten nakaz, ten postanowiony stan rzeczy, to straszne, od wieków trwające niepotrzebne a okrutne niweczenie radości życia.

Ktoś w młodości prędko, w sekundzie z wartkim spłynie prądem... może prześpi chwilę małą... i kara? Nie tworzenie, ale kara?

Na płaczu, na łzach płynąć w Jutro? Poco?

Rzeką szedł, co rwała z gór nienazwanych, mówi się: z nakazu Boga.

Rzeką szedł i cierpiał, biorąc na siebie cały przeciwny prąd i całą świadomość, że to daremne, że kiedyś zostanie spostrzeżone i ustanie.

Rzeką szedł w górę i czuł cały żal, że go niema wysoko, wysoko w niebie.

Dorosły jestem, czuł tak. To się zwie: Pełnia sił!

I ledwo tak pomyślał, osłabł rozkosznie i nie mógł walczyć z prądem przeciwnym, i nie mógł podnieść nogi.

Czyżby nadszedł czas?

Czyżby woli słuchał On... wielki a obojętny?...

Zdziwiony był i osłabły, prąd go znosił.

O jakże prędko! Dwa dni temu mijałem ten zakręt... a tu...

Niosła go woda, tonął i dziwnie mu było:

Zwyciężam! — myślał — ...Ginę! — myślał jednocześnie.

O ty niebo! Któż tam jest na tobie?...

Podniósł oczy.

...Brzegiem rzeki, pod prąd, szła kobieta.

Szła obojętna, cicha, szata za nią siwa wiała i włosy czarne płynęły w przeciwnym wietrze. Głowę na piersi zwiesiła, złożyła ją w obu dłoniach.

Szła pewnie, równo po płaskim brzegu, nie oglądając się wcale.

Ale gdy ją ujrzał tonący, nabrał sił.

Wbił nogi w grząski grunt, rękami czepił się umykających wodorostów i ruszył naprzód... naprzód... naprzód... z zaciśniętemi zębami... łkaniem przyczajonem w piersi... naprzód... naprzód... naprzód...

. . . .

Był gzyms kamienny stary, ścieżka skalna, niewiadomemi rękami ułożona, dla stóp nieznanych.

Stał w ręku dzierżąc koniec łańcucha, długiego i ciężkiego.

Dorobek... mówili, wieków...

I podać go trzeba tam naprzeciwko o kroków sto... włożyć w dłoń, co się wyciągnie...

A jeśli nie? A jeśli tam niema nikogo?

Domki w dole nizkie, jakby rozpłaszczone... i przez kominby zajrzał niemal prosto w garnek...

Pod nogą się głazy chwieją. Powypierały je z oprawy zielska przerozmaite, poruszyły stopy czyjeś...

Ostrożnie... Ostrożnie!

Z dołu, z pod nóg dolata głos dzwonu.

Świat do snu kołyszą liliowy te dzwony. Jakże nizko... Jak nizko zlatać muszą z nieba anioły z wiatykiem do mrących tam w dole...

Na niczem nie możesz oprzeć dłoni. Skała odbiegła daleko za dziesiątym krokiem... łańcuch ciężki... nie, spocznę!

Ale w spoczynku jeszcze trudniej... nie... Ten gzyms, ten kawał drogi trzeba wziąć rozmachem...

Przeklęty kamień... Śliski gzyms łuku, którego filary niezmierne wkopane gdzieś na dnie przepaści...

Ach jakże daleko... a mówili: Nie dalej jak od jednej myśli do drugiej... tak mówili w Świątyni...

W drogę! W drogę!...

Świat na dole teraz czerwony, słońce... mówią... ogląda się... Na mnie patrzy... Czuję... żal mu, że nie zobaczy, jak się to skończy... Widowisko nie codzienne...

Hej staruchu! A co się tam stało z ostatnim... z ostat......

Jezus! Marya! Nie! Nie! Nie! Nie sposób... Spocznę!

Drżą tak nogi. Mówili... wytęż moc chcenia... nie spoglądaj na prawo, nie spoglądaj w lewo... Niema cieni... nie daj się złudzić cieniom, co zastępują drogę... Ach... jest... jest cień... Wychylił się z za skały, gdzie... to ręka się wychyla... ręka... Masz! Bierz!... Bierz!...

Idzie ktoś śmiało po śliskich głazach z wyciągniętą dłonią.

— Pokaż stygmat!...

Idzie, nie słucha.

— Pokaż znak!

Wyciąga dłoń... Niema znaku... Aaaaaaa! O n a!

— Czego chcesz? Nie dam!... nie... nie! Precz! Z drogi!

Z poza pleców Doli wychylił się człek z włosami płowemi na twarzy. Śledził tok walki... krótkotrwałej walki.

Pielgrzym pchnął pięścią Dolę w pierś... zachwiała się.

— Precz! — krzyknął i wymierzył cios drugi między oczy.

Wtedy człek ów podniósł rękę do twarzy powoluteńku, drugą podtrzymując padającą od uderzenia.

I wpatrzony w wysłańca Świątyni, rozchylił na czole włosy.

Ciężki łańcuch uderzył o kamienie i stoczył się w bezdeń przepaści wraz z zmartwiałem ciałem pielgrzyma, wysłanego ze Świątyni, pracownika Jutra... którego poraził Zamroz Strach.

. . . .

Otworzył oczy. W szafirowej jakby mgle ujrzał śmigłe, wysokie filary mostu. Leżał na wznak na łące kwietnej, bezsilny, jakby po ciężkiej chorobie.

Nie bolało go nic. Tylko przy każdym ruchu, przy każdym niemal oddechu szeptało mu coś: I na cóż! I na cóż!

Wszystko już skończone, załatwione, wyczerpana treść zadania... ot wspomnienie jedno, drugie i koniec.

Dawne czasy... Loty dalekie na wszystkie strony, bezobowiązkowe nadzorowanie wszechświata... walki ze smutkiem życia, łódź daremnie ciągniona w górę rzeki do lodowców górnych... trud łańcucha... Porażenie Strachem...

Od jakichże drobnych rzeczy, pomyślał, zależy Jutro... Od jakichże nikłych ocznych złud zależą rozkazy Świątyni, sama ona nawet... sama ona.

Widziałem... więc mówię: Jest... ale cóż to: Jest, znaczy? Wszak tylu mówi: Niema... A owa złuda złud, co mnie prześladuje...

Nie chciało mu się myśleć. Wodził oczyma wokoło, po łące, na każdym kwiatku napotkanym dając wypoczywać oczom.

Podniósł wzrok.

Był łuk potężny od skały do skały, górą gzymsem obrzeżony. Jakieś współzatarte na nim widniały rzeźby, końskie nogi wzniesione do skoku, ostrza dzid w rękach wojowników...

Zamykał widać jar głęboki, był jakby bramą doń... tak bramą był.

Potężne skrzydła bramy zawarte były, świeciły ponuro pociemniałymi okuciami spiżu.

Dźwigały się poważnie ku górze.

Wiódł oczyma po wstępującej linii potężnych gwoździ.

Nagle zerwał się. Siadł, przerażone oczy wbijając w półkolistą przestrzeń najwyższą.

Tkwiła tam twarz olbrzymia, ciemna, o wielkich połyskujących oczach.

Dola złożyła głowę na splecionych rękach, palce włożyła w usta i wpatrywała się cicha, niema w siedzącego.

Teraz dopiero zobaczył, że ona to sama była skrzydliskami bramy do jaru wiodącej... suknia jej ciemna opadała w szerokich płaskich fałdach, suknia siwa, usiana gwiazdami poczerniałego złota.

I nagle mu śmigło przez głowę, by stoczyć z nią bój. Pamiętał, że się zachwiała pod jego ciosem wówczas... czuł moc teraz... czuł w sobie nakaz...

Zerwał się i rzucił na zapatrzoną.

Wymierzył cios potężny w jej kolano... i padł na ziemię. Pięść jego nie trafiła na ciało.

Wstał.

U stóp jego leżała siwa suknia Doli... na trawie zaś poczwarne jakieś błyszczały kwiaty, czy oczy.

Wpatrzył się w nie.

Rozpływały się widocznie, zachodziły mgłą, wsiąkały w ziemię...

Gdy tak stał zapatrzony, uczuł nagle, że go ramię czyjeś obejmuje.

Podniósł oczy i ujrzał nad sobą pochyloną twarz anioła ciszy wieczornej.

Podparł silnem ramieniem chwiejącego się z wysiłku walki i przerażenia i rzekł cichym, śpiewnym głosem:

— Oto nadszedł czas odpocznienia... chodź pracowniku wierny pożywać wieczerzę po dniu znojnym, otwarte są ogrody pańskie dla spracowanych na polu Jego.

Uczuł, że na oczy mgła mu spada jakaś przejrzysta, a przez mgłę tę ujrzał w zamkniętej łukiem przestrzeni długie, nieskończenie długie aleje cyprysowe, ginące gdzieś w pomroce dali.

— Chodź! — powtórzył anioł, i poszli.

* * *

FR. MIRANDOLA.

Z Antologii francuzkiej.

JULIUSZ LAFORGUE (z cyklu Łkanie ziemi).

CIEKAWOŚĆ.

Chciałbym wiedzieć zkąd zjawy przyszły tego świata,
Gdzie szukać dla tych przemian prawdomownych świadków...
Gdzie źródło tych wieczystych zdarzeń i przypadków?
Ze skraju naszej puszczy wzrok tam nie dolata.

Skraj puszczy, a w przestrzeni gdzie wzroku nie staje
Istnieć mogą ogromne bratnich serc gromady...
Czyliż gdy znijdą kiedy zwiedzać nasze kraje
Dochowa ziemia tęsknot i wysiłków ślady?

Pytam przejęty strachem i czekam wśród głuszy...
Zagadki czyż się nigdy rąbek nie odchyli?
Czas bieży niewstrzymany, chwila mknie po chwili,
Umrę, a me pytanie niebiosów nie wzruszy.

Umrę, stanę się niczem, wejdę w ciemń bez końca,
Ja, com chciał świat ogarnąć, jego cel wyśledzić...
O strasznie jest umierać, niknąć i nie wiedzieć,
Kto świat z przepaści nocy wydarł na blask słońca...

TWARZE ZMARŁYCH.

Porzućmy marzeń złudy, światła, co są cieniem,
Rozumu zdawna znane, nikłe argumenta,
Wspomnijmy drogich zmarłych jak serce pamięta.
Sam na sam małą chwilę żyjmy z Przeznaczeniem.

Pamiętasz, jakiem smutnem żegnał nas obliczem?
W kosmiczne sięgał głębie — miał przeżarte płuca...
Gdzież jest teraz? Co cieszy i co go zasmuca?
Wiem, ciało leży w grobie, ale duch czyż niczem?

Gdzie duch, którego zdawna znudził Bóg wszelaki,
Ten duch, który nie pragnął wypoczynku w niebie
Ale tęsknił i roił sny przyszłości ziemi...

Czyż z tej piersi wyleciał kędyś w Jutra szlaki?
O, patrząc na te kości warto spytać siebie:
Z czego się czaszka śmieje usty bezzębnemi.

BEZUSTANNIE.

I pomyśleć, że w głębi niebios już nie władnie
Stary marzyciel... Myśleć, że przestrzeń wskroś złotą
Pełnią atomy... z wielką wołając tęsknotą
Za sercem wśród lazurów, a głos ten przepadnie...

Pomyśleć: Nic nie wiemy! Choć w tysiączne tony
Łamie się krzyk o światło i w przestrzeń ulata!
Czas idzie wlokąc z sobą chwile, wieki, lata,
Pracownik Nieznanego, straszny, niewzruszony.

Idzie, porywa z sobą dla wiecznej zatraty
Popioły męczenników, stolice i światy,
Czas cichy i spokojny jak orzeł podchmurny...

Czas, co nie zna ni źródeł swych, ni swego końca,
Napotykane w biegu porywając słońca,
Toczy się bezustannie z niebios modrej urny.

* * *

Przełożył F. Mirandola.

ÉMILE VERHAEREN.

LUTY.

Są takie serca biedne, marne,
całego morza łez siedziby,
a takie blade, zimne, niby
głazy cmentarne.

Są grzbiety, które troska życia
i nędza silniej wciąż przygniata,
niżli od dachu się poszycia
ugina chata.

Są takie ręce biedne, drżące,
jak liście zwiędłe z drzew strącone,
jak zżółkłych liści tych tysiące
wiatrem pędzone.

Są oczy takie trwożne, skromne,
co patrzeć umią smutniej jeszcze,
niż zwierzę patrzy się bezdomne
na grom i deszcze.

Są ludzie o obliczu bladem,
co szczęścia nie zaznali wcale,
za nimi nędza idzie śladem
zapamiętale.

MŁYN.

Na tle niebios pełnych ciszy, smutku,
stary wiatrak kręci się wieczorem —
rzuca w górę, bez przerwy, z uporem,
skrzydła zmięte, słabe, — pomalutku.

Ciężkie skrzydła, od wczesnego ranku
wciąż te same wykonują ruchy —
a i teraz, choć wieczór już głuchy,
wciąż się kręcą, zwolna, bez ustanku.

Szare chmury po niebie się wleką...
ciche wioski sen wieczorny chwyta —
droga polna, kołami poryta,
w martwej dali ginie gdzieś daleko.

Do stromego tuląc się urwiska
kilka chat się nędznych pochowało. —
Mała lampka, wisząc pod powałą,
na ich wnętrze mdłe odblaski ciska.

I w tej ciszy i pustce bez miary
okna chatek błyszczą oświetlone
niby oczy — uparcie wlepione
w spracowany, ciężki wiatrak stary.

ULICE.

Od świateł, które w oddali migocą
wzdłuż ulic, które zmrok szary ogarnia,
w mieście spowitem martwotą i nocą
jedna po drugiej rozbłyska latarnia.

Wzdłuż drogi domki rozsiadły się nizko,
wszystkie jednakie, wciąż brama po bramie,
droga za miastem wiedzie na bagnisko
i skręca nazad, jak złamane ramię.

Mgła coraz gęstsza wciąż niżej opada
na dachy — niby całun, ciężki, duży, —
czasem przebłyśnie księżyca twarz blada,
odbita w czarnej, cuchnącej kałuży.

Czasem żałośnie zaskrzypią furgony
piskliwym zgrzytem na zakręcie drogi,
i ciężkich koni spracowane nogi
o bruk zadzwonią stary, obtłuczony.

I jeszcze w dali samotna witryna
w płomykach gazu rozbłyska wśród cieni, —

szyld z świetlnych liter żywo się odcina,
okno — jak serce krwawe się czerwieni.

Od świateł które w oddali migocą
wzdłuż ulic, które zmrok szary ogarnia,
w mieście spowitem martwotą i nocą
jedna po drugiej rozbłyska latarnia.

*
* *

Przełożył Kazimierz Rychłowski.

Bogu Nieznanemu.

Piszę ten krótki sen, gdy radość głucha
Rozkwieca w zorzach biały cud wiośniany;
Tobie go piszę, o Boże nieznany,
Tobie, zakryty mrokom mego ducha...

Więc piszę, piszę w tym jasnym ogrodzie:
O śnie, co duszę upaja i nuży,
O łzach błękitu, o wczorajszej burzy,
I o słonecznej, dziewczęcej pogodzie.

Gdzie jesteś!?... W złotej zieleni pagórka?
W kwieciu, chłonącem blask złotego puchu?
Gdzie? — Na błękicie, co wisi bez ruchu?
W słońcu — gdzie, płonąc, skrzy łabędzia chmurka?...

Gromem spaliłeś struny mej tęsknoty,
Lecz słońce splotło nowe, złote struny!
I w mrok cofnęły się Twoje pioruny,
W zdumieniu kryjąc swe stępione groty.

W błękitnej ciszy drgał ostatni lament,
Gdy wbiegłem w ogród, efeb złotowłosy —
Na kwiat kryształem padła kropla rosy
I w łunach słońca iskrzy, jak dyament!

Wszedłem bezkreśny i padłem w objęcia
Dziewce, co drżała w płonieniu gorącem —
I zapłakała różami i słońcem,
A wiatr rozrzucił warkocze dziewczęcia...

Wiatr porozplatał pomięte warkocze,
W pachnące włosy wmieszał żywe kwiecie —
I wielkim jękiem rozniósł się po świecie,
Dzwoniąc przez łąki i puste ubocze.

*

Zorzą barwione w niedosięgłe farby,
Spływają całe łany świetlnych pędów!
Bezsenny stwórca tęsknic i obłędów,
Błękit, roztęcza swe wieczyste skarby!

Z dalekiej wieży białego kościółka
Przez morze świateł zajęczały dzwony
I sączą w błękit srebrne antyfony...
Z gzymsu zerwała się czarna jaskółka. — —

Ach, wczora jeszcze, wczora — łoskot burzy
Wstrząsnął mi duszę przeraźliwym dreszczem!
Ach, wczora jeszcze łkała czarnym deszczem
Ta trupia głusza mgieł, co smutki wróży...

I coś skonało w sercu, coś z oddali — —
Twojeż to blaski dzwonią w moje serce!?
Twojeż to blaski, tych mroków szyderce!?
Zjawy wydartych ciemnościom opali?...

W bladych prześwitach, o zmierzchu, w ogrodzie,
Na niemych liściach stały ciężkie krople —
W polach żałobne ćmy. — Jak rude sople,
Wisiały krwawe blaski na zachodzie.

Ach, wczora jeszcze! — — I w czasu orbicie
Znów wieczne koło Przemian się obróci —
I my, Iksyony, do koła przykuci,
Znów czynim obrót w znaku: „Zgon i życie"...

*

Piszę do Ciebie z drżeniem tajemniczem
O deszczu, kwiatach, słońcu i dziewczynie —
Piszę te słowa, ach, słowa jedynie —
Słowa o Wszystkiem w świecie i o Niczem...

W niezmiernych dalach żywego ogromu
Wytryska dziwo! poemat bez ceny:
Wiosna i młodość — dwójgłos pierwszej sceny —
Koniec w pomrokach, nieznany nikomu...

Lub zorzy! — Mgieł porannych śnieżne kłęby
Ubrałeś w tysiąc błękitnych widziadeł —
I łąkę w milion tęczowych zwierciadeł,
Bór w niezliczone, świetliste obręby.

W licach dziewczyny krew gorąca tętni, —
Miękkie ramiona cisną tak miłośnie:
Krew, co nam śpiewa o wiośnie, o wiośnie,
O wargach naszych coraz przenamiętniej...

Tak dziwno! — — Duch już marzy, snem oniemion —
W kwietnych uboczach złote brzmią piosenki,
Rzewne, jak ballad dziecięcych rozjęki,
O bólach dawno już umarłych plemion —

I bogach, dawno w mroki już strąconych — —
To wiosna nowych złud, co w świtu żarze
Śpiewa, że zmarłe już nie wstaną twarze,
Śpiewa tak dziwnie o rzeczach minionych...

Ach, słodko w słońcu płacze cisza modra;
Śmiechem zieleni nucą złote liście —
Nucą tak bosko i tak rzeczywiście —
I w śniegach bieli drżą niewieście biodra —

I łono całe drży i pierś i szyja,
Gdy w mrocznej piersi dreszcz rozpaczny pełza —
Ach, ciała duma żądzy nie ochełza,
Gdy w krąg mdlejących ramion się obwija!...

W bezmiernej ciszy skrzą palące oczy;
Drżącym poblaskiem ranią ironicznie —
Po chłodnych trawach szumy mkną krynicznie,
Szumy tak słodkie, iż w oczach się mroczy...

I wstaje głusza głusz majestatyczna
I w głębiach nikną koronki i róża —
W przepastnej ciszy zapadają wzgórza,
Zieleń i niebios gędźba seraficzna — —
. . . .

*

Piszę te zwrotki, gdy dzień się uśmiecha,
Piszę, zdumiony jasnością ogromu,
Piszę w majakach snu — już nie wiem, komu —
Słowa się plączą i giną bez echa...

*

Och, gdyby duszą przebić się aż na dno
Tych szumów, w głąb najgłębszą, aż do jądra,
Zkąd płynie, ton po tonie, gędźba mądra
Wszechtraw i wszechzieleni, nim opadną...

Och, gdyby, zgon minąwszy, poprzez szumy
Spłynąć po nurcie żądzy i uczynku
W dna onej ciszy, do granic spoczynku,
Zkąd biją wieczne źródła tej zadumy...

I gdyby zmysłów krwią i myślą biedną
Przedrzeć tę gąszcz, gdzie czyha mrok i trwoga,
I tam miłośnie w głębiach objąć Boga
I z wnętrzem ciszy poślubić się w Jedno...
. . . .

A złota głusza powiewa nad nami — —
Nucę — a w blasku majaczy pytanie,
Jak cień, co z góry pada niespodzianie,
Szepcące w świetle mojemi ustami — —
. . . .

Lecz wiem! — Sam jestem i sondą i falą
Sam jestem uchem i nutą tułaczą!
I tem me oczy zachwycone płaczą —
I tem wieczyście oddale się żalą — —

I sam ja jestem Bogiem w swojem niebie:
Że ze mnie On się dobywa i stwarza;
Sam jestem iskrą, co w blask się rozżarza,
Sam okiem dziwu, co nie widzi siebie...

I sam ja jestem niezmożoną siłą,
Która do buntu rwie się tryumfalnie
I sam słabością win, co drży fatalnie,
Sam gniazdem mściwych jędz i sam mogiłą...

I to jest ona przepaść niezgłębiona,
Skalnej pomroki, zjeżona rozpaczą!...
I tem me oczy truchleją i płaczą —
I tem me serce martwieje i kona...
. . . .

O szumy złotej ciszy nieuchwytne!
O nieme, wieszcze, głębokie zadumy!
O blaski słońca, o kwiaty, o szumy!
Oczy kobiece!... o cicho-błękitne — —

Piszę ten złoty sen, gdy świateł góry
Skaczą po kwiatach w pląsach światowładnych;
Piszę i gubię się w słowach bezładnych
I nie wiem: duch mój kłamie, czy lazury!...

Pomnę — grajkowie śmierci do mnie przyszli
Zawodzić treny o mrokach i grobie:
— Och, litość w sercu miej i zabij w sobie
Wszystko, co kocha, co cierpi i myśli...

Lecz ja odszedłem, gwiżdżąc złote scherzo:
Jakom się przeląkł smutno, patrząc w słońce,
Że snem mym własnym są ci czarni gońce,
Że, sen zabiwszy, będę ich mordercą — —

I otom w dali ujrzał czarne trumny!
Zrąb trumien, spiętrzon w jaśni widnokręga,
Mroków taranem srebrnych gwiazd już sięga:
Babel żałobnych skarg, sterczący, dumny...

Oczarowany zgonem, jak lotofag,
Boski, szalony taniec rozpoczynam!
Skaczę ku gwiazdom, na truny się wspinam,
Na czarnych trumien potworny sarkofag...

Pnę się po trumnach, zrywam srebrne kiście,
Z senną fantazyą strącam w mrok głęboki
I skaczę aż ku gwiazdom, w sen pomroki,
Złud obłąkany czarem wiekuiście...

W górę! ku gwiazdom! — Szaleńczo i hucznie
Sieczmy wichurą żądz te mroczne noce!
Niech życie złotym szumem załopoce
W nieprzeczuwanych widnokręgów jutrznie!...

Ognistem sercem krzeszmy złote zorze!
Niech ginie w dni bezmiarze mrok i trwoga!

Aż stworzym w bezkres potężnego Boga,
Co nas swą mocą przerazi i zmoże!...

I oto znowu — jak cherub zbudzony —
Całuję słońce i płaczę, i kocham —
W błędnym zachwycie omdlewam i szlocham
O, oczy moje, księżycowe oczy — —

Oto dwa ciała, niby fal przegięcia,
Dwie nagie, srebrne, szalejące fale,
Niby dwie gwiazdy, płonące wspaniale,
Dwa dreszcze „stań się!“, dwa twórcze zaklęcia...
. . . .

W jedwabne ciało białej, smutnej róży,
W słodką wstydliwość karminowych żyłek,
Wsączyłem złoty, tajemniczy pyłek,
A róża, drżąc rozkosznie, listki mruży...

I cud promienny gaśnie bladem śniciem:
Minęło! — — smutkiem już się pustka żali;
Lecz wzwyż, jak widmo, mknie ta nagość fali
I modry odmęt tętni gwarnem życiem —

I bosko kłamie w tem mistycznem echu,
Co hen, po gwiazdach, tłucze się ze drżeniem,
Kłamie, że smutek jest jedynie cieniem
Niedościgłego w świtach twórcy-śmiechu! — —

Ach! — wczora jeszcze — i w czasu orbicie
Znów wieczne koło Przemian się obróci
I my, Iksyony, do koła przykuci,
Znów czynim obrót w znaku: „Zgon i życie“.

Do Ciebie piszę z drżeniem tajemniczem,
Piszę w powietrzu, ciszą zbłękitniałem —

I już nie pomnę, o czem pisać chciałem,
Gdy, drżąc, spostrzegam, żem pisał o Niczem...

*

O, święte Zorze! wasz uścisk nie ziębi!
Na ugór życia skrzycie pasma złota,
W których, spętana słodko, mre tęsknota
I własną karmi krwią swój głód jastrzębi!

Ha! własną karmi krwią, a nie rozpacza
I nie przeklina okrutnych tajemnic —
I złoty dom buduje w grodzie ciemnic
I kwiatom, niebu i mrokom przebacza.

O, święte Zorze! wasz uścisk nie ziębi!
I wasza, wasza Moc to dziwne życie
Otula w słodkich obłąkań spowicie,
Że pragnie jeno snu — i nie chce głębi...

* * *

JÓZEF JEDLICZ.

Nieznany obraz przypisywany Rembrandtowi.

W ubiegłym roku zyskała galerya hr. Dzieduszyckich we Lwowie w formie depozytu obraz, przedstawiający dla historyka sztuki, pomimo swego obecnego stanu, niekłamany interes ze względu na imię autora, z niem się wiążące. Dzieło to, znane mi jeszcze z przed lat dziesięciu dzięki informacyom prof. J. Bołoza Antoniewicza, miałem obecnie sposobność poddać bliższemu zbadaniu. Poszukiwania historyczne, łączące się z przestudyowaniem obrazu, doprowadziły mię do przekonania, że wspomniane dzieło nie może pozostać nieuwzględnione w studyach nad Rembrandtem tem bardziej, że badacze tego mistrza wiedzą o istnieniu takiej kompozycyi, lecz ani oryginału, ani kopii dotychczas żaden z nich się nie doszukał.

Obraz (ilustr. II i III) przedstawia scenę rodzajową, trudną do określenia. Obecny stan malowidła pozwala nam rozpoznać dokładnie tylko postać zgrzybiałego starca, zwróconego profilem w prawo i opartego w pozycyi stojącej o wysoki stół. Starzec ten nieco pochylony wpisuje coś do książki przy świetle świec. Reszta szczegółów znajdujących się w ciemnej głębi nie odrazu narzuca się oku, przy dokładniejszem jednak przyjrzeniu się obrazowi zauważymy, że tło stanowi wnętrze obszernej, posępnej komnaty, której górną i prawą stronę wypełnia ciężka opona, bramowana frendzlami. Pod podpiętemi jej fałdami widać fotel wybity wiśniową materyą, kształtu, jaki zwykle spotyka się na Rembrandtowskich obrazach. Stół jest nakryty dywanem barwy żółto-zielonawej, w deseń, z frendzlami. Wysokość stołu, jakoteż ciemna, tajemnicza głąb, nadają mu wygląd ołtarza. Na stole rozrzucone książki i obrazki religijne, z których jeden — mogący być zarówno dobrze końcem szerokiej stuły — zwiesza się z brzegu. Z przodu stoją dwa lichtarze z płonącemi świecami, które jednak dla

całości oświetlenia nie mają znaczenia, ponieważ światło rzucone na środek obrazu i oblewające postać starca i róg stołu pochodzi z niewidocznego źródła na przodzie. Od ściany ponad stołem sterczy wygięta łukowato gałąź liściasta, której już tylko ślady dadzą się odgadnąć, wyglądająca jakby ozdoba stołu. Tuż przy ramie obrazu po lewej stronie dają się zauważyć kontury wysoko umieszczonego krucyfiksu. Prócz tego na pierwszym planie po lewej stronie można wyróżnić dwa folianty leżące przed stołem na ziemi. Starzec jest odziany w szeroką złotawo-żółtą szatę z rozciętemi rękawami, spadającemi wolno; na łysej głowie ma czapeczkę w formie krymki. Twarz ogolona i pokryta zmarszczkami wyraziście odcina się od tła. W tym dostojnym stroju, przypominającym cokolwiek duchownego, w tej akcyi i w kole wyliczonych akcesoryów wygląda on jakby któryś z Ojców Kościoła.

Tony kolorytu są złamane, tak, że się odbiera wrażenie prawie monochromii. Obraz jest malowany na płótnie już dublowanem. Wymiary: 57 × 49 cm. Sygnatury niema. Strona materyalna, jak: pęknięcia farby, tkanka płótna i cały wygląd zewnętrzny znamionują wiek XVII-ty i wykluczają nowoczesne fałszerstwo, tem bardziej, że oprócz tych wewnętrznych znamion obraz ma poważną i wiarygodną tradycyę, sięgającą daleko w XVIII wiek.

W rodzinie, której jest obecnie własnością, znajduje się on bez przerwy 70 lat z górą. Przechowywano go aż do ostatnich czasów w ustronnym staroświeckim dworku w Horodyszczu pod Założcami u p. Modesty z Cieńskich Czosnowskiej, wdowy po pułkowniku Napoleońskich wojsk (zmarłej w grudniu z. r. w 90 roku życia), która w bardzo młodym wieku zaślubiwszy Jakóba Czosnowskiego, już ten obraz zastała w jego domu. Wedle jej opowiadania obraz wszedł w posiadanie Czosnowskiego jako podarek przyjacielski z rąk Franciszka Potockiego, pana na Brodach. Skąd się obraz wziął u Potockich, trudno wyśledzić, są jednak ślady, że w ich rodzinie znajdował się w r. 1778. Gdy bowiem w tym czasie autor „Podróży po Brandenburgii, Prusach, Rosyi i Polsce“, J. Bernoulli, zwiedzał artystyczne zbiory ojca Franciszka, Wincentego Potockiego, podkomorzego wiel. kor., w pałacu w Warszawie, wśród obrazów, które zwróciły jego wytrawne oko na siebie, znalazł się jeden identyczny z naszą kompozycyą. Bernoulli nie opisał go bliżej, ale zanotował sobie krótko a treściwie: „Ein Priester die Messe lesend, von Rembrand, sehr schön“ *).

---

*) Johann Bernoulli: Reisen. VI. 266.

Jestto najdawniejsza wzmianka o obrazie, którym nie mógł być naturalnie żaden inny jak tylko ten przez nas omawiany. Ale to jeszcze nie jedyne świadectwo, że w XVIII w. w Polsce łączono z nim imię Rembrandta. Współcześnie reprodukował go w wspaniałej akwaforcie francuzki malarz i rytownik J. P. Norblin, przebywający wówczas w Warszawie, zapalony czciciel Rembrandta. (Ilustr. I). Jednę z akwafort przemalował Norblin własnoręcznie farbami białą i brunatną (en grisaille) i umieścił u dołu po lewej stronie, na owalnie zakreślonem miejscu następujące oznaczenie pędzelkiem:

Rembrandt p. 1644.
Norblin d. 1781.

podczas gdy zwykłe odbitki opatrzone są tylko napisem: *Norblin fecit 1781. Warsovie.* Ta zretuszowana i obcięta po brzeg płyty odbitka należała do zbioru Norblinowskich akwafort, skatalogowanych przez W. Frankego, i wydała się autorowi katalogu niesłusznie rysunkiem przygotowawczym do rytowania*). Obecnie znajduje się wraz z całym zbiorem akwafort opisanych w pracy Frankego w posiadaniu JE. Andrzejowej hr. Potockiej w Krzeszowicach.

Rycina Norblina ma zasadnicze znaczenie dla naszego obrazu, gdyż dopiero przy jej pomocy można zrozumieć kompozycyę w partyach pociemniałych i zepsutych. Zgadza się ona zupełnie z obrazem, rytownik pozwolił sobie tylko na małe uproszczenie, opuszczając krucyfiks i sznurek pereł na czapeczce starca; nawet zagadkowa plama, zdaje się przypadkowy dodatek obcej ręki, powtarza się u Norblina jako kreseczkami wypełniony owal, a ten szczegół dostarcza niezbitego dowodu, że wedle tego a nie innego egzemplarza obrazu wykonał Norblin swą akwafortę.

Okoliczność, że akwaforta oddaje kompozycyę odwrotnie, wyklucza z góry możliwość, żeby obraz był wedle niej, t. j. po r. 1781, malowany. Odwrotność ryciny wobec obrazu tłómaczy się tem, że Norblin dla uproszczenia sobie pracy nie sporządził negatywnej kopii, lecz rytował wprost z oryginału, zaczem sztych po odbiciu musiał wypaść odwrotnie.

Również trudno nawet na chwilę przypuścić, gdy się zna rękę Norblina, ażeby obraz mógł wyjść z pod jego pędzla, który co prawda nieraz prowadził artystę do naśladowania stylu Rembrandta, ale już samem pociągnięciem się zdradzał.

---

*) Willibald Franke: Das radirte Werk des Jean-Pierre Norblin de la Gourdaine. Leipzig 1895. Nr. 17c.

Podobne przypuszczenie usuwa pozatem już sama materyalna strona obrazu, mająca cechy XVII stulecia.

Jest jednak inna sprawa, którą należy bliżej wyjaśnić, a to przypuszczalny rok powstania utworu. Sygnatura na akwaforcie Krzeszowickiej, jakoteż uwaga odnosząca się do „Piszącego Starca“ w dawniejszym przez Fr. Hillemachera sporządzonym katalogu Norblinowskiego „Oeuvre gravé“, brzmiąca: „Cette estampe est gravée d'après un tableau de Rembrandt, peint en 1644“ *) wprawić musi w pewne zakłopotanie, ponieważ odnosząc kompozycyę do ręki Rembrandta nie można roku 1644 uważać za czas powstania dzieła. W tym wypadku obraz musiałby stać odosobniony w szeregu dzieł z dziesiątka 1640—50. Natomiast mógłby należeć do okresu młodości i tam raczej znalazłoby się dla niego miejsce.

Uduchowiony i zamyślony starzec, który mimowoli przywołuje na pamięć postacie pustelników i apostołów z wczesnych lat mistrza; obszerna nad jego małą figurą zamknięta ponura przestrzeń, co powtarza się u Rembrandta częściej w początkowych niż w dojrzalszych okresach twórczości; światło rozlewające się stosunkowo miękko po całej postaci i po stole i nie rozpraszające się już pozatem, czem się odznaczają Rembrandtowskie obrazy powstałe około r. 1630; — wreszcie model, który rzekomo jako ojciec Rembrandta pojawia się w utworach mistrza z epoki Lejdeńskiej (i u jego uczniów z tego czasu) — wszystkie te cechy każą włączyć obraz raczej w szereg dzieł młodzieńczych artysty niż odnosić go do daty 1644 r., niewiarygodnej, mogącej być zresztą przypadkową omyłką Norblina.

Co do techniki malarskiej, po której możnaby się spodziewać rozstrzygającego wyjaśnienia w kwestyi autorstwa, to nieda się nic stanowczego powiedzieć. Niefortunne przemalowanie przy odnawianiu, które musiało się odbyć wkrótce po powstaniu Norblinowskiej ryciny, a przedtem jeszcze zbyt radykalne wymycie płótna, przemieniły pierwotne malowidło w niepowrotną niestety ruinę. W każdym razie całość pomimo wszystko wskazuje swem prostem, ale pełnem nastroju ujęciem na pomysł, który mógł powstać w wyobraźni tylko wybitniejszego artysty.

Czy obraz wyszedł z pod ręki kopisty i daje nam powtórzenie zaginionego później malowidła Rembrandta, czy jest własnem dziełem któregoś z jego uczniów, wykonanem pod okiem mistrza, albo też, czy

*) Fréd. Hillemacher: Catalogue des estampes qui composent l'oeuvre de Jean Pierre Norblin, Paris 1. éd. 1848, 2. éd. 1877. Nr. 14.

jest on w ogólności utworem jakiegoś z współcześnie żyjących Holendrów, naśladujących zazwyczaj tak zręcznie styl Rembrandta, że dzieła te później w XVIII w. swoim wyglądem a nierzadko i sfałszowanym podpisem łudziły zbieraczy i artystów, wreszcie, czy należy autora szukać w osobie J. Lievensa, który z najbliższego otoczenia mistrza winien tu być najbardziej może wzięty pod uwagę, lub w osobie Salomona Konincka, jak to doświadczony zbieracz i znawca tej miary co JE. L. hr. Piniński przypuszcza — może pozostać tymczasem kwestyą otwartą.

Nie należy przemilczeć, że obraz nasz jest malowany na płótnie a nie na drzewie, jak to było zwyczajem u Rembrandta we wcześniejszych latach, o ile wchodził w grę utwór niewielkich rozmiarów. Nie można jednak z drugiej strony przeoczyć tego, że obraz nasz nie powtarza się nigdzie w żadnej replice, a przynajmniej badacze Rembrandta takiej repliki dotychczas nie zarejestrowali.

Jakikolwiek sąd można sobie urobić o tym zniszczonym obrazie, w każdym razie pozostaje niezbitym fakt, że znamy pierwowzór akwaforty Norblinowskiej, który ukryty przed okiem naukowego świata uważany był za zaginiony *).

ZYGMUNT BATOWSKI.

---

*) Dr. A. v. Wurzbach: Niederländisches Künstler-Lexikon II. 446.

O prochy Słowackiego.

Dawniej, zanim jeszcze pomyślano o przewiezieniu prochów Mickiewicza do Polski, stawała często przed oczyma wyobraźni mojej chwila „dziwnie osobliwa". Jakiś dzień uroczysty i cichy, owiany tchnieniem świętości, niby wieczór Rezurekcyi. Jakieś niezliczone gromady ludu, na twarzach wesoła powaga, w postaciach siła i duma. A gdzieś w górze, popod wiejącemi sztandary, otoczenie królewskiego majestatu... Może dzień koronacyjny... Wtem rozstępują się gromady ludu, jak łan żyta, który wiatr przewieje. Nad falą głów pochylonych unosi się i płynie szkarłatem okryta trumna. Powstaje król z majestatu, idzie naprzeciw niej, wita ją pokłonem i prowadzi pod sklepienia grobowe, gdzie spoczywają królowie. Bo powrócił jeden z tych, którzy w czasie bezkrólewia duchem dzierżyli berło narodu, wygnaniec protestujący na obczyźnie przeciwko wyzuciu narodu z praw majestatu, wiążący nieprzerwaną nić tradycyi między tymi co śpią w grobach, a tymi którzy przyjdą i tron zasiędą... A za tą jedną trumną, widzę cały niby klucz bocianów wracających z wiosną do ojczyzny; trumna za trumną... Zlatują do gniazd opuszczonych, rozchodzą się po cmentarzach miast i siół.

Wizya prysła. Nie przyjdzie już taka chwila nieporównanego dziejowego patosu. Prochy Mickiewicza sprowadzono przedwcześnie, zanim wiosna nadeszła. Złożono je w pohańbionych grobach królewskich między królmi bez ziemi. Złamano ową zasadę emigracyi, którą ona sama o sobie głosiła, a która otaczała ją nimbem poetyckim, iż jest Aniołem Veto, stojącym pośród ludów Europy, o głowie promiennej — z usty otwartemi, krzyczącemi: nie pozwalam! — chociaż szaty na nim od nędzy spróchniały, połowa ciała w smętarzy obcych glinę się zapadła (Słowacki). ...Toż kiedy trumna Mickiewicza wśród

huku dzwonów szła rynkiem krakowskim, nie było tam nastroju dumnej pogody i powitalnego wesela, ale gardła patrzących dławiło pytanie: na co wracasz i do czego?...

Życie nie jest sztuką, boć sztuka jest właśnie dlatego, aby wydobyć z jego zgiełku ton czysty; życie nie dotrzymuje tragicznego patosu. Jest to aktor fuszer. Trudno się skarżyć; leży to już w naturze rzeczy.

Kiedy więc już raz złamano zasadę emigracyjnego veta, sprowadzając prochy Mickiewicza do kraju, szły za tem dalsze konsekwencye. Za tym jednym, dlaczegóż nie mieli powrócić i inni „protestanci"... Rok jubileuszowy Słowackiego uznano za odpowiedni do sprowadzenia jego prochów.

Powstało pytanie: gdzie je złożyć? Znalazły się różne pomysły. Zrazu w pięknem i rzewnem drgnieniu serca chciano je darować Warszawie, ogołoconej z pamiątek, a dla której zdawała się przez chwilę świtać godzina dnia lepszego. Ale ten świt nie nadszedł. — Zwróciły się więc myśli ogółu tam, gdzie już spoczywała trumna wielkiego współzawodnika Juliusza, ku górze wawelskiej. Zjazd odbyty w Krakowie powziął wreszcie w tym duchu ostateczną uchwałę.

O tem, czy wybór ten był trafnym, można być różnego zdania; a zdanie przeciwne nie musi wynikać z uprzedzeń społecznych czy religijnych, albo z nieznajomości rzeczy. Takie zdanie odosobnione zresztą, ale argumentami rzeczowemi należycie podparte, słyszeliśmy od p. Zygmunta Wasilewskiego (w „Słowie Polskiem"). Wychodzi on z tego założenia, że Wawel nie jest polskim Westminsterem, którego zadaniem byłoby pomieścić w grobach swoich wszystkie chluby narodu. Wawel jest grobowcem królewskim, a jeśli na nim znajdują pomieszczenie także trumny wielkich wodzów i trumna Mickiewicza, to ma to znaczenie symboliczne, którego przez nadużycie osłabiać nie należy. Wawel jest symbolem dziejowym państwowości polskiej, której reprezentantami są królowie, a w czasie bezkrólewia ci, którzy byli łańcuchem między jednym a drugim brzegiem, bądźto walcząc orężnie o tę państwowość, bądźto utrzymując nieprzerwanie jej ideę w duszy narodu. Reprezentantem takiego duchowego ogniwa jest Mickiewicz; Słowacki, gdyby nawet był odeń większym, byłby nim zawsze tylko jako artysta. — Przesłanki tego rozumowania, wedle mojego widzenia rzeczy, są zupełnie trafne, a jednak wniosek z rozumowania wynikający jest błędny. Bo sprawa ta należy do spraw tego rodzaju, których się logiką nie rozstrzyga. „Wawel nie jest polskim Westminsterem"; bardzo słusznie, — tak było dotąd. I to słusznie, że zatarcie jego

właściwego, dotychczasowego charakteru, zaciera niestety ów wspaniały patos symbolu trumny Mickiewicza w grobach królewskich. Ale ta cała koncepcya jak jest wzniosła, tak jest i subtelna, a tam gdzie chodzi o uczucia mas, nie można ważyć argumentów na aptekarskiej wadze. Nawet kiedy masy składają się z osobników bardzo subtelnych, w całości swojej mogą się zgodzić na to tylko, co tym osobnikom jest wspólne, — a tem nie jest to, co subtelne, ale to co grube. Subtelność każda bowiem ma cechę indywidualną, różnicującą. W uczuciu mas Wawel stał się poprostu skarbcem wielkich pamiątek; co wielkie i co drogie, to chcemy w skarbcu tym przechować. — A zresztą i druga przesłanka rozumowania jest tylko względnie prawdziwą; Słowacki z wielkiego artysty staje się z biegiem czasu w uczuciu ogółu coraz to wyraźniej „wieszczem", jednym z zesłanych narodowi „Królów Duchów". Już i do niego stosowane są słowa: milion jestem. Stało się to odkąd wagę jego twórczości przenosić zaczęto z wcześniejszej epoki na epokę mistycyzmu. Czy ta ewolucya pojęć o społecznem znaczeniu Słowackiego jest logicznie słuszną? — nie wiem — a nawet wątpię. Ale trzeba pamiętać, że to znowu taki fakt, który się „dzieje", a nie taki, który się wyrozumowuje. Pomyślmy na chwilę, czy tę treść, która się mieści w symbolu trumny Mickiewicza na Wawelu, można było całą od początku logicznie wyrozumować? Czy sprawa gdyby była podległą że tak powiem kanonicznemu procesowi chłodnej krytyki, byłaby rozstrzygniętą tak samo? Ale tu działały inne czynniki. To co się stało — „stało się" poprostu, — stało się samo, bez rozumowania, niemal poza progiem świadomości... Tak się robią nastroje mas, tak się robi w wielkiej mierze historya. Otóż znowu „dzieje się" przed naszemi oczyma jedna z tych świeckich kanonizacyj, jakich dokonuje naród na swoich ulubieńcach; jak wogóle kanonizacyom, towarzyszy temu proces tworzenia się legendy... A któż wie, może ta legenda jest właśnie prawdą, jakąś prawdą pneumatyczną, którą śmierć i oddal odsłania?... Bądź jak bądź, Słowacki dorasta w oczach naszych do symbolu, a jako taki dorasta i do Wawelu, może i do tego Wawelu, który „nie jest — tylko polskim Westminsterem". — Niema więc żadnego powodu uważać pomieszczenia prochów Słowackiego na Wawelu za rzecz z jakichkolwiekbądź względów niewłaściwą. Owszem, przeciwnie: jest to jedyne miejsce, które obecnemu uczuciu ogółu odpowiada, a zatem jedynie odpowiednie; — boć jakież może być tutaj inne kryteryum? Sam fakt tej ewolucyi uczuć, czy pojęć, już opanować się nie da, — może być tylko przedmiotem obserwacyi i refleksyi, a na to zaiste

zasługuje. Bo uwidamia się w nim bądź jak bądź ten charakterystyczny dla narodu naszego od czasów romantycznych stosunek do poetów, stosunek niewątpliwie nienormalny. Jest to jednak temat wychodzący poza ramy niniejszych uwag. Ale komu to wydaje się opacznem, niech pomyśli, jakiego rodzaju odruch odczułby w duszy, gdyby oto nagle wyłonił się zkądś projekt pomieszczenia prochów np. Kopernika w grobach królewskich... Nieprawdaż że ten odruch byłby przeczący?... Otóż to właśnie!...

Zamiar pogrzebania Słowackiego na Wawelu nie dał się — jak wiadomo — urzeczywistnić z powodu przeszkód zewnętrznych. Przeszkody te są w każdym razie tylko czasowe. Ale opinia zaczęła być niecierpliwą; wydało się jakby sprowadzenie zwłok Słowackiego stało się rzeczą tak nieodzowną i naglącą iż na wszelki sposób musi być zaraz dokonanem. Co dziwniejsza, to zniecierpliwienie nie ustało jeszcze i wtedy, kiedy już minął rok jubileuszowy i kiedy dla owej nagłości żadnego już, choćby pozornego, nie można przytoczyć powodu. Skoro Słowackiego nie możemy pochować na Wawelu, powiedziano, wynajdziemy mu inny, jeszcze godniejszy grobowiec. Toż był on zawsze duszą samotną, wylatującą jak orzeł w pustkowia wyżyn, zasłuchującą się na niedostępnych szczytach w ciszę błękitu... Złożymy więc trumnę jego pod wolnem powietrzem gór, wysoko w turniach tatrzańskich..

Ojcami pomysłu tego są podobno Henryk Sienkiewicz i Stanisław Witkiewicz, jedni z najlepszych ludzi w dzisiejszej Polsce. Nazwiska te onieśmielają. Lecz czytam w odezwie komitetu zawiązanego niedawno, taki piękny zwrot: „Skoro daliśmy wygnańcowi, wielkiemu poecie, to najdroższe dlań na co nas stać — dostojny grób w Ojczyźnie — nasza godność a jego zasługa nie pozwala na to, ażebyśmy gnuśnie mu tę łaskę dziś odebrali dlatego, że jeden z nas na to się nie zgodził“. Otóż i ja jestem „jednym z nas“, a ten mój drogi klejnot i godność uprawnia mnie i zobowiązuje, jeśli już niemam prawa i mocy przeciwstawić zamiarowi skutecznie odmowy zgody mojej, to przecież dać głos przeciw temu, co mi się nie zda.

Najznamienniejszą cechą pomysłu pogrzebania Słowackiego w Tatrach jest jego „literackość“. (Tem dziwniejsze że oświadczył się za nim tak niepospolity malarz jak Witkiewicz!) Literackiej natury są wszystkie przytaczane za nim motywy. Wszystkie one dadzą się bardzo ładnie napisać i powiedzieć.

Słowa: orły, wyżyny, wolność, samotnia — mają właściwy sobie ton uczuciowy, co prawda z tą wadą, że blednie w miarę częstego użycia. Cały pomysł samotnego na szczytach grobowca da się bardzo

poetycznie opisać, ale tu pono chodzi o to czy da on się dobrze wcielić w kamień. Kamienie są oporniejsze, ale i uczciwsze od słów. One będą stać nieodmiennie i pozostaną same sobą, kiedy obrzękujący je rój słów rozpłynie się i zczeźnie, a cała literacka koncepcya obleci jak przegniły łach teatralny. Wskaźnikiem mogą tu być nie względy retoryczno-literackie, ale wyłącznie architektoniczno-plastyczne. Na nic się bowiem nie zda najpiękniejsze opiewanie pomnika, jeśli on sam będzie wyglądał jak guzik przyszyty niedorzecznie na kołnierzu. Mojem zdaniem zaś tak właśnie będzie wyglądał. Przemawiają za tem już względy proporcyi; nisza wykuta w ścianie Kościelca (bo tę turnię wskazali ostatecznie „znawcy Tatr" — nie mający tu zresztą żadnej kompetencyi — jako najodpowiedniejszą), nisza wykuta na wysokości dwustu metrów nad poziomem miejsca, z którego ją najbliżej można oglądać, a oddalona od tego miejsca bez mała może na tysiąc metrów, będzie się przedstawiać tak okazale jak dziupla puhacza. O wrażeniu monumentalności nie może być mowy. A tę monumentalność wykluczają inne jeszcze względy. Niemasz monumentalności bez wrażenia siły, a niemasz wrażenia siły, bez wrażenia architektonicznej celowości monumentu. Tutaj to wrażenie celowości wykluczy samo położenie; monument w połowie Kościelca będzie robił wrażenie miejskiego panoczka, co się wygramolił najniedorzeczniej na turnię, a nie mogąc zleźć woła o pomoc. „Hej, panoczku, a cóż was też ta wyniosło!" Będzie on nawet duchowo do tego panoczka podobny, — będzie wyglądał jak „dólski ceper", co włazi na każdą wantę, kiedy ma perć pod nosem. Co go tam wyniesie? Literatura. — A przytem sztuka ze swą cechą i wymogiem celowości stoi w pewnem przeciwieństwie do natury, której kształty z tego wymogu nie wynikły. Dlatego wszelkie blizkie kojarzenie kształtów architektonicznych z naturalnemi daje wynik ujemny. Można to zauważyć na każdym kroku. Ścieżki ogrodowe wijące się niby przypadkowo i nierozmyślnie są ohydne przez brak uwidocznionej celowości, która jest niezbędnym warunkiem piękna każdego ludzkiego dzieła; — sztuczne skały, jako podstawa pomników, robią wrażenie teatralne i t. d. Z tego samego powodu najodpowiedniejszem otoczeniem dla wszelkich monumentów jest otoczenie architektoniczne, bo ono tylko wykazuje w liniach swoich tę samą zasadę celowości, którą musi mieć wszelkie dzieło ręki ludzkiej. A jeśli otoczenie skał uwłacza charakterowi monumentalności ludzkiego dzieła, to z drugiej strony dzieło to uwłacza piękności skał. Celowa dążność konstrukcyjna człowieka i ślepa dążność niszczycielska natury zdają się sobie wrogo patrzeć w oczy. „Znawcy Tatr" jeśli mieli tu

co do powiedzenia, to powinni byli to jedno tylko powiedzieć, że Tatr psuć sztuką nie wolno, bo sztuka należy do innej kategoryi piękna. Czy tą sztuką będą „monumentalne schody", czy nisza o kracie bronzowej, czy posąg, czy sarkofag, czy choćby tylko pływająca nad szczytem w nazwaniu jego literackość, wszystko to jedno. Człowiek kochający Tatry powinien przechodząc zacierać za sobą ślady stóp.

Ale wyznaję, że mam jeszcze inną kategoryę argumentów, które może wynikają z czysto osobistych właściwości duchowych. Osobistych, o ile znajduję się w środowisku „kulturalnem", ażeby nie użyć mniej sympatycznego określenia; natomiast czuję się w tych właściwościach zupełnie zestrojonym z każdym tatrzańskim góralem, który nie uległ jeszcze cywilizatorskim wpływom „dolskiego gościa". Kiedym rozmawiał o tem z jednym z moich góralskich przyjaciół, człekiem mądrym i poważnym, spotkaliśmy się w myślach zupełnie. „E, bójcie się Boga, zacóż go też chcom tele światy jako psa od dziedziny odegnać? Kieby go już tu mieli przyprowadzić, to najdzie się na Pęksowym brzyzku*) ziemia święcona". I ja tak myślę, że w Tatrach jest dla żywych samotników „strzeleckie posłanie". Ale umarłych miłość w pustaci nie zostawia; nie zostawia ich na fujawicy śnieżnej, na zmiękach wiosennych ze skał ciekących, gdzie przez większą część roku oko tkliwe nie popatrzy, stopa przyjazna nie zachrzęści. Dziwna to miłość, samotnym za życia ludziom samotne dawać groby. Z ojcem rodzonym nie uczynilibyśmy chyba tego za cenę literackiego efektu. Czyż nie stać nas na tę zwyczajną miłość dla nadzwyczajnego człowieka...? Tak, i ja wybrałbym raczej Pęksów brzeżek...

Ale rozumiem że ludzie mają różny sposób odczuwania. Mówiąc o swoim, nie chcę zajrzeć nikomu. Staram się wyrozumieć to, co w uczuciu mnie samemu jest obcem — i do tego punktu, do którego wyżej doszedłem, wyrozumieć to mogę. W ostatnich czasach pojawił się jednak projekt, podpisany zresztą przez ludzi bardzo szanownych, który wszelką granicę mego wyrozumienia przekracza, tak wydaje mi się karykaturalnym i niemal świętokradzkim.

Tok zawartej w nim myśli jest następujący: złożyć prochy Słowackiego na Wawelu jest pięknie i przystojnie, bo należy mu się grobowiec królewski, — ale złożyć prochy Słowackiego w turni Kościelca jest pięknie i poetycznie; szkoda byłoby zaniedbać sposobności zrobienia czegoś tak pięknego, a w dodatku czegoś, czego jeszcze nie było... Zróbmy więc jedno i drugie!... Chwila ku temu nastę-

---

*) Pęksów brzeżek — tak nazywa się cmentarz w Zakopanem — P. R.

cza się jedyna; „jeden z nas“ odmówił pomieszczenia prochów na Wawelu; jest to liberum veto przeciwko woli narodu, które z czasem przełamanem być musi; na razie jednak z drogi usunąć się nie da. Nim więc chwila sposobna nastąpi, pomieśćmy prochy Słowackiego w Tatrach; — koncepcyę „królestwa z ducha“ poety zamieńmy na razie na równie poetyczną koncepcyę duszy samotnej, uciekającej od ludzi na wyżyny samotne...

Cały ten kapitalny pomysł jest niewątpliwie w stylu Słowackiego, a to Słowackiego wedle modły prof. Tretiaka... Słyszę jak mówi ten Słowacki: „Należą mi się honory królewskie, lecz skoro mi ich zaprzeczają, odejdę w góry i uczynię z siebie samotnika pogardzającego wszystkiem co ludzkie. Gotów jestem jednakże w każdej chwili porzucić moją samotnię, skoro mi ludzie oddadzą to, do czego się w prawie poczuwam“. Szczery typ wolnodumca, gotowego zawsze do pogodzenia się z porządkiem tego świata za przyzwoitą posadę! Koncepcya ta dlatego tylko nie jest dość śmieszną, że jest tak tragicznie ohydną, a dlatego nie jest dość ohydną, że jest tak śmieszną. Czyż projektodawca nie uczuł tak prostej rzeczy, że takie połączenie tych dwóch projektów w jeden, znosi zupełnie to, co każden z nich ma w sobie pięknego — lub choćby tylko dorzecznego? Tu bo już nawet i literatura zawiodła! Efekt natury literackiej jaki charakteryzuje ową koncepcyę pogrzebania Słowackiego w Tatrach, został zupełnie zniesiony przez zły gust okazany w nieorganicznem zlepieniu go z innym. Tak się przedstawia „estetyczna“ strona sprawy. Z logiczną jest nie lepiej. Prawdziwych bo koziołków logicznych potrzeba aby uzasadnić taki projekt. Oto co pisze odezwa: „Odwlekanie załatwienia tej sprawy byłoby zniewagą wyrządzoną dostojeństwu poety (?). Na taki akt woli (?!), jak sprowadzenie do kraju zwłok Juliusza Słowackiego, społeczeństwo nasze, aczkolwiek przyciśnięte ogromem nieszczęść, rozszarpane i przebite nowemi ciosami, może się zdobyć i powinno. Proch głosiciela nieśmiertelnej woli narodu, miłości Ojczyzny, apostoła idei ofiary — przyniesiony dziś na naszą ziemię, może się stać cementem, który spoi rozszarpane dzielnice (!!), złączy rozdarte zawsze warstwy i w przeciwne strony biegnące stronnictwa, tchnie w nas przynajmniej na ten dzień (!) jedność i miłość — ku wiecznemu celowi (?!) skieruje umęczone oczy żyjących“. — Co za słowa! Co za słowa! — Szkoda że one rumienić się nie umieją... Słowa jako miedź brzęcząca i cymbał brzmiący. Co wyraz to paradoks, co zdanie to frazes. Argumentacya najpospolitszej demagogii. Bo czyż można brać na seryo choćby jeden z tych powodów, uzasadniających rzekomą nieodzowność

niezwłocznego sprowadzenia prochów poety na to, aby im dać grób tymczasowy i to nawet nie gdzieś tuż przy Wawelu gdzie mają ostatecznie spocząć, ale właśnie aż pod szczytem Kościelca?! Którenże z tych powodów choćby pozornie usprawiedliwić może taką poniewierkę tej cichej garstki kości, wystrajanie trupa w papierowe łachy teatralne na jarmark dla uciechy gawiedzi!... A jakby nie dosyć jeszcze było tego pomnika histeryi literackiej, projektowi temu przydano jeszcze różne ornamenta; dla „baśniowego bogactwa“ pomysłów współczesnej literatury dwa grzyby w barszczu jest oczywiście za mało. Projekt zawiera jeszcze następujące „numera“: „Zwłoki Juliusza Słowackiego mogłyby być przywiezione do Krakowa i na przeciąg 24 godzin wystawione ku uczczeniu narodowemu na wysokim artystycznie wykończonym katafalku, w Barbakanie przed bramą Floryańską, w tej naszej bramie tryumfalnej. Poczem zwłoki poety winnyby być — nie przewiezione — lecz przeniesione (sic) z Krakowa w Tatry przez czcicieli ze wszystkich warstw społeczeństwa i złożone w tym tymczasowym, czy wiecznym grobowcu“. Nie chcę już popuszczać cugli wyobraźni i szukać tanich efektów w pastwieniu się nad tym projektem. Każden kto nie jest pozbawiony zmysłu rzeczywistości może sobie dośpiewać jakby wyglądał na prawdę taki pochód — przez mil czternaście — trwający najmniej tydzień — z noclegami po karczemnych zajazdach, z „szubienicznym humorem“ znudzonych pątników... Danse macabre, czy kulig! Ale za to napisać dałoby się to tak pięknie! Dla „napisanych“ ludzi o „napisanych“ sercach to jest przecież jądrem rzeczy. Dość tego! Chciałoby się powtórzyć za poetą: „chociaż mi serce pęka, śmiech mię bierze“!

Ludzie wybitni, ludzie szlachetni są między tymi, którzy na ten fatalny projekt wyrazili swą zgodę, nazwiska niektóre o doskonałem brzmieniu. Czyżby czerw dekadencyi literackiej dotarł już tak głęboko, aż do tych serc? Nie wierzę. Ale jest to znak czasu, groźne, prawie straszliwe memento. Odsunięci od tylu dziedzin czynu, źle wychowywani, przejedliśmy się literaturą. Zaczynamy robić literaturę z najświętszych uczuć. Patrzymy na świat przez literę. Czujemy go nie swojem ale pożyczanem sercem. A gdzie jeszcze tak nie jest, to przecież zgadzamy się milcząco na ten typ myślenia, uważamy go za uprawniony i normalny. Oddajemy mu rządy; pozwalamy mówić za siebie. Nie wątpię, że wielu z tych ludzi, którzy ów projekt podpisali, uczyniło to odruchowo, z nałogu, przez kwietyzm. Ale dość już źle, że treść jego nie uderzyła ich odrazu obuchem w głowę, że mógł on wydać się im czemś — wedle normy.

Czyby tak nie pomyśleć o innym — najpiękniejszym bez wątpienia pomniku dla Słowackiego: o tem — aby z okazyi jego jubileuszowego roku, który właśnie minął — podjąć walkę przeciw chorobie, która była tragedyą i jego także życia — przeciwko chorobie wewnętrznej nieprawdy i pozy. Słowacki zwyciężył ją — wiarą mistyczną. Nam innym oby dano ją rozwiązać wiarą w wyższość czynu nad słowem, zwycięztwem życia nad literą. Możeby w Tatrach zamiast grobowca Słowackiego założyć pustelnie, w którychby przychodziły do siebie i rozprostowywały się dusze skrzywione...

A przed rozmyślaniem na pustelni — pokuta. Początek od tego z pomiędzy nas, kto ówże sławetny projekt sprawienia Słowackiemu podwójnego pogrzebu z kuligiem i figurami pierwszy wymyślił. Kto nim jest — niech się przyzna. Bez fałszywego wstydu. Na skrzywienia duchowe lekarstwem jest natura; na pokutę recepta człowieka natury, chłopska recepta. Oto w Barbakanie odczytać nad nim orędzie do narodu, które spłodził, przeżegnać, wrzepić obitelnie*) dwadzieścia pięć kijów gdzie potrza — za swawolę — i puścić z przebaczeniem.

Bo złości i ja niemam nijakiej; nie o satyrę mi chodziło ale o spowiedź... Duszo wrzeszcząca i skręcana histeryczną konwulsyą — idź w pokoju...

A co do prochów Słowackiego, jedynem hasłem odpowiadającem czci naszej dla niego i naszej własnej godności jest: pamiętać i — czekać.

JAN GW. PAWLIKOWSKI.

---

*) Obitelnie — w gwarze góralskiej: jak obyczaj lub przyzwoitość każe. P. R.

Polonica.

PORTRETY MINIATUROWE W NIEMCZECH.

Dawne miniatury portretowe, owe cacka malarskie na słoniowej kości, porcelanie, pergaminie lub innych jeszcze cenniejszych materyałach, w których na przestrzeni kilku zaledwie cali nieraz tęgi się objawia talent, stanowią obecnie, jak wiadomo, przedmiot wielce poszukiwany na rynkach artystycznych. Liczba zbieraczów portretów miniaturowych coraz bardziej się zwiększa, a snobizm europejski i amerykański, jak zwykle, gdy zamiłowanie do pewnej gałęzi sztuk pięknych modą się staje, już harce swe na tem polu wyprawia. To też ceny za autentyczne miniatury portretowe wciąż idą w górę i często do niebywałej dochodzą wysokości. Jednocześnie ze wzrostem zamiłowania do tej specyalnej sztuki i ogólnem zainteresowaniem się jej dziełami, naturalnym biegiem rzeczy, daje się zauważyć i bardziej wyczerpujące badanie historyi malarstwa miniaturowego. W przeciągu ostatniego dziesięciolecia w różnych krajach pojawiła się znaczna liczba mniej lub bardziej obszernych monografii w tym zakresie, między innemi doskonała praca prof. Leisching'a o historyi portretów miniaturowych w Austryi. Świeżo ukazała się analogiczna publikacya, poświęcona Niemcom, p. t. „Die Bildniss-Miniatur in Deutschland von 1550 bis 1850". (Monachium, F. Bruckmann), w opracowaniu p. Ernesta Lemberger'a.

Wspaniałe to wydawnictwo, zalecające się szczególnie arcybogatym materyałem ilustracyjnym i pięknemi barwnemi planszami, zawiera pewną liczbę portretów polskich, wyszczególnienie których zbytecznym może nie będzie.

Pośrednio, t. j. jedynie przez wzgląd na autorów, zastanawiają nas w dziele Lembergera portrety miniaturowe, w wielkiej liczbie przez rodzinę Chodowieckich w Berlinie wykonane. Malarstwo miniaturowe uprawiał bowiem nie tylko sam znakomity Daniel Chodowiecki, lecz zarazem i brat jego, Gottfried, syn Wilhelm, oraz żona ostatniego Henrietta, pochodząca z osiadłej w Berlinie rodziny hugenotów Le Coq. W dalszym ciągu nie są pozbawione dla nas ciekawości dwie miniatury pędzla znakomitego

Antona Rafaela Mengs'a, przedstawiające Augusta III, króla polskiego i elektora saskiego, wraz z jego małżonką Maryą Józefą. Podobizny te przechowywane są w drezdeńskiej galeryi obrazów. Wartość ikonograficzną posiadają dla nas jeszcze miniatury dwuch księżniczek polskich — Radziwiłłówien. Pierwsza, roboty Samuela Blesendorf'a, stanowi portret księżny Luisy Charlotty, primo voto żony Ludwika, margrabiego brandenburskiego, a po jego śmierci w r. 1695 poślubionej przez Karola Filipa, palatyna neuburgskiego. Druga miniatura nosi podpis „Radziwil fecit 1714" i według mniemania p. Lembergera, jest autoportretem księżny Maryi Eleonory Radziwiłłówny.

Najcenniejszem jednak Polonicum w dziele Lembergera, tak pod względem historycznym jak i artystycznym, to niewątpliwie miniatura ks. Józefa Poniatowskiego, pędzla Augusta Grahla, bodaj czy nie najbardziej wybitnego miniaturzysty niemieckiego zeszłego stulecia. Piękny ten portrecik, będący własnością profesorowej Adolfowej Stengel w Heidelbergu, co prawda, określony jest tylko jako podobizna „eines Mitglieds der Familie Poniatowski", ale wobec zupełnie wyraźnego podobieństwa, wątpliwości nie ulega, że mamy przed sobą konterfekt księcia Józefa. Ponieważ Grahl brał udział w wojnie r. 1813, więc i powstanie portretu dość jasno się tłómaczy.

August Grahl wykonał jeszcze jeden portret polski w r. 1836 — hrabiny Potockiej, imienia której autor niestety nie podaje. Szkic z natury do tej miniatury na deszczułce ze słoniowej kości niezwykle dużych rozmiarów znajduje się w drezdeńskiej galeryi obrazów.

PAWEŁ ETTINGER.

Nowe książki.

KWIATKI ŚWIĘTEGO FRANCISZKA Z ASSYŻU,

w przekładzie i ze wstępem Leopolda Staffa. Lwów, Nakładem Księg. Polskiej B. Połonieckiego, Warszawa, E. Wende i Ska. 1910.

...nacque al mondo un sole.
Dante Alighieri. Paradiso XI. w. 50.

Kwiatki św. Franciszka należą do tych nielicznych bardzo książek, co nie giną. Poprzez wszystkie zamieszki i zawieruchy dziejowe spogląda ku nam z kart tych legend prostych i szczerych jak dusza dziecięca, jedna wielka prawda, której na imię prostota i szczerość. Dlatego mimo zasadniczy przewrót w warunkach, pojęciu i ukształtowaniu życia i wszelakich wyobrażeń, uczuć i myśli — nie zaginęło w niepamięci ani to krótkie stosunkowo życie mnicha z Umbryi, na przełomie dwóch stuleci, ani ten zbiór opowieści, najdokładniej odzwierciedlających życie Franciszka i jego braci.

Jeśli wmyślimy się w minione dzieje, to poprzez wszystek tragizm średnich wieków i epok późniejszych, spojrzy ku nam zawsze jednako pogodne i uśmiechnione oblicze biedaczyny bożego, wzywające stworzenie i żywioł wszelki do czynienia zbożnej chwały Panu nad Pany. Do postaci onej nie można zbliżyć się inaczej, jak z umiłowaniem, boć przecie w niej tkwią w zarodzie wszystkie drogie nam pierwiastki, zestrzelające się w duszy ludzkiej w swej najtajniejszej istocie po wsze czasy niezmiennej. Tam bowiem trwa niespożycie przez stulecia — niezależna od zmian wszelkich — radość i prostota życia i duszy ludzkiej.

Rzecz dziwna. Uczniowie, oraz ich bezpośredni następcy uczuwali istotę życia Poverella jedynie w radości i pogodzie. Ztąd wszyscy jego biografowie i kronikarze przyrównują Franciszka do słońca lub do radości, jaka weszła nad światem w dni te pełne smutku i bojaźliwego zamyślenia o rzeczach ostatecznych. Treścią bowiem życia i nauki Franciszkowej była wesołość ducha, w czem najdokładniej ujawnił się cały jego pogląd na życie ludzkie, jak w miłowaniu wszystkiego stworzenia i wszelkiego żywiołu — istota

stosunku człowieka do świata i jego Stwórcy. Najdokładniej więc wypowiedział się św. Franciszek w słonecznej pieśni (Cantico del Sole), sławiącej Stwórcę, stworzenia i żywioły. —

*

Szybko przeminęło życie Franciszka (1182—1226) na pracy, głoszeniu słowa bożego i zamyśleniu o rzeczach boskich. Dziecinny mnich był zupełnie nieświadom tego, co stworzył w ciągu żywota swego. W najśmielszych nawet marzeniach i nadziejach nie mógłby był śnić tej wielkości, jaką mu potomność przysądziła. A przecież niezależnie od tej nieświadomości, życie i słowa biedaczyny bożego padły na urodzajną glebę, plon wydając stokrotny.

Życie minęło chyżo, zostawiając jednak na duszy i świadomości ówczesnej piętno niezatarte. Prawie że współcześnie, jeszcze za życia Franciszka, bezprzykładne jego kazania, czyny i wędrówki zaczęły stawać się w pojęciu ogółu legendą. Jestto proces zwyczajny — każde wielkie zdarzenie historyczne, czy jakaś postać historyczna na tle jego wyrosła, zawsze prawie staje się baśnią, legendą. Tak było zawsze w średniowieczu — na dowód dość wspomnieć Karola Wielkiego, Króla Artusa, Rolanda, Vergilego, Walgierza i cały długi szereg wyolbrzymiałych królów i rycerzy, których życie i czyny są treścią epiki średniowiecznej.

Życie Franciszka było tak poetyckie, legendarne rzec można, iż nie trzeba było długiego czasokresu, iżby stało się legendą. Ono samo w swej istocie już posiadało wszystkie legendarne pierwiastki. Kryło w sobie wszystko to, co potem nazwano kwiatkami św. Franciszka — więc nic dziwnego, że prawie równocześnie stawało się legendą. Tak też powstawały kwiatki, spisane dopiero na początku wieku XIV.

Lud spokojny, rozsiany po Umbryi, widywał tę radosną a ubogą brać Franciszkową, zaczem opowiadał sobie prawdziwe dziwy o ich życiu i czynach. Więc opowiadano sobie, jak to święty Franciszek kazał do ryb, do ptasząt, jak nawrócił straszliwego wilka z Agobbio, jak oswoił turkawki, ku pokucie a skrusze przywiódł zbójców okrutnych, jako prawił bratu Leonowi o doskonałej radości, w czasie wędrówki do Sieny. Podobne opowieści krążyły o życiu brata Idziego, Jałowca (Ginepra), a potem dopiero, po spisaniu tych legend dodano rozdziały, usiłujące zamknąć w pewniejszych i stalszych granicach nauki św. Franciszka lub brata Idziego, oraz wiadomości o cudownych stygmatach Franciszkowych. Są to już późniejsze dodatki mnichów, usiłujących spisać z kronikarską dokładnością i wiedzą początki Franciszkanów i ich założyciela. Z tej przyczyny jasno biją w oczy te dwa pierwiastki w kwiatkach zawarte. Jednak mimo wszelkie usiłowania kwiatki zachowały cały swój powab świeżości oraz tej bezpośredniej prawdy, jaka cechowała żywot św. Franciszka. Wszystkie usiłowania przystosowania życia Franciszkowego do potrzeb kościoła — na szczęście — zawarły się w żywotach świętego oraz kronikach zakonnych, a zwłaszcza w życiorysach, skreślonych trzykrotnie przez Tomasza z Celano.

*

Przez badaczy lekceważone i pomijane dla swej naiwnej i dziecięcej prostoty kwiatki, zdobyły należne im pierwszorzędne stanowisko, głównie dzięki P. Sabatier'owi. ...„Zjawiskom tym i wizyom przeczyć — byłoby większym błędem niż wierzyć w ich rzeczywistość"... — mówi P. Sabatier na jednej z kart swej znakomitej biografii Poverella.

I tak jest w istocie.

W opowiadaniach zawarło się i najdokładniej przechowało życie Franciszka. Nieskończony urok tych kart — mówi Sabatier — leży w tem, co możnaby nazwać ich atmosferą. Niewątpliwie, są legendarne, przekształcone, przesadne, nawet fałszywe, a jednak umieją jaśniej i żywiej, niż jakiekolwiek inne dzieło, przedstawić krąg życia św. Franciszka. Mimo wszystkie niedokładności szczegółów — istota przekazanych rysów pełna prawdy, a ton doskonale trafiony.

Jakim sposobem się to stać mogło? Parę słów rozjaśni cały ten proces.

Po za naszą świadomością dokonywa się jakaś tajemna praca, która jedne rysy w pamięci zaciera, gasi pewne blaski, a inne znowu rozświetla lub rozczepia na całe szeregi składników. Ta codziennie widywana rzeczywistość przekształca się w jakąś nową prawdę, na nowych oparta wartościach, prawdę poetycką i psychologiczną, zupełnie częstokroć niezależną od prawdy historycznej.

Pamięć ludzka posiada jakąś nieznaną nam jeszcze logikę — ztąd częstokroć niepojętą i niezrozumiałą. Nie wchodzę bliżej w analizę tego pojęcia, gdyż wystarczy, mniemam, stwierdzenie jej wyników bez roztrząsania pytania czy to jest logiką czy też pracą celową, samorzutnie spełniającą się po za granicami naszej świadomości, w zakresie naszego myślenia. Dość, iż na każdym niemal kroku przekonywamy się o spełnianiu się jakiegoś sądu nad myślami naszemi, skutkiem którego jedne rysy olbrzymieją, inne zasuwają się w mrok i zapomnienie. Wniknąwszy bliżej w to zjawisko, dostrzeżemy pewną nieraz niezgodność, a może i nawet sprzeczność, z utartemi pojęciami o ważności zjawisk. Niezawsze bowiem wydarzy się tak w tym procesie myślowym, że rysy i cechy uważane przez nas za najważniejsze, zostaną wyłącznie utrwalone, a z drugiej strony cechy i rysy drugorzędne pamięć wykreśli, jako bezpotrzebny ciężar. Bardzo jednakże często dzieje się inaczej.

Pamięć zanotuje nieraz zdarzenia na pozór małoważne na niekorzyść rzeczy uchodzących za wielkiej wagi — i rzecz dziwna — że w tych zapoznanych rysach przejawi się nowa jakaś treść, poprzednio zupełnie niedostrzeżona, a w owych rysach ważnych nagle niekiedy objawi się taka bezdenna, przerażająca pustka.

Zatem przyjąć należy, iż niema właściwie żadnego kryteryum ważności wydarzeń w życiu umysłowem. Wszystko jest jednakowo ważne i uprawnione do bytu, tem, że istnieje.

Skutkiem tego duch ludzki niezawsze wyjawia się w zdarzeniach ważnych i wielkich, częstokroć tajemne oblicze jego spojrzy ku nam zamyślonych oczu głębią — z poza rzeczy tak niepozornej lub małej, że chyba nikt w niej podejrzewać nie śmiał istnienia, ani odrobiny tej otchłannej głębi i prawdy, jaka do nas właśnie przemówiła.

Wiedza ścisła usiłuje wprowadzić stałe kryteryum rozgraniczające rzecz

ważną od mniej ważnej, prawdę od nieprawdy... Czy taka skala wielkości i doskonałości wszelakich wydarzeń ma istotną prawdziwą i niezbitą podstawę istnienia? Mnie się zdaje, że nie, jako że do największych złudzeń należą wszystkie granice i prawa w jakie ujmujemy zjawiska życia.

Stwarzamy te granice jako chwilowo potrzebne wytwory pracy i myślenia — mury ochronne, drogowskazy, chroniące myśl od zboczenia na szlaki nieskończoności.

A zatem fantazya, a raczej zbiorowa świadomość prawdy poetyckiej i psychologicznej czyni dobrze.

Istota ducha ludzkiego jest zniekształcona, okryta szeregiem najrozmaitszych złud, narzuconych bądź przez życie, bądź przez jakieś z głębi płynące nakazy, konieczności. Chcąc przeto wyrazić ducha w jego istocie i treści, trzeba go uwolnić od wszelkich kłamliwych pozorów, od wszelkich cech przypadkowych — a to jest trudem podjętym przez sztukę.

Zbiorowa fantazya pokoleń również dokonywa tego zadania. Ztąd nieraz legenda trafniej wyrazi owo nieuchwytne poczucie prawdy, niż całe szeregi prac naukowych. To zadanie podejmują kwiatki św. Franciszka i przyznać trzeba, iż spełniają je znakomicie.

Przekład, dokonany kunsztem niepoślednim, tchnie tą prostotą, jaka mi staje przed oczyma, ilekroć pomyślę o św. Franciszku, lub ilekroć wczytuję się w niezapomniane „Kwiatki".

ST. MACHNIEWICZ.

NADESŁANE DO REDAKCYI:

Katalog ilustrowany wystawy mistrzów dawnych we Lwowie urządzonej staraniem Andrzejowej X. Lubomirskiej na dochód Tow. im. Dzieciątka Jezus MCMIX — zestawił Mieczysław Treter (z 50 reprod.).

Tekst polski i francuzki, wydanie wytworne. Jedno z tych rzadkich wydawnictw, które przynajmniej część polskiego skarbca ukazują. Skarby te należy cenić. Rabunkowej gospodarce naszych przyjaciół zawdzięczamy, że wszystkiem, czem szczycić mogłyby się nasze publiczne galerye, wzbogaciło się Drezno i Eremitaż. Ocalało to, co schowano gdzieś głębiej, po dworach ustronnych, co było uciechą samotnych miłośników piękna, dla niewielu tylko przeznaczone oczu. Wobec wywożenia, zbywania i bogacenia zagranicy wieloma z tych ocalonych rzeczy, dziś jeszcze przez ludzi o zmarniałem poczuciu obywatelskiem, tem więcej cenić powinniśmy sobie to, co zostaje.

Z niewielką stosunkowo częścią tych cennych rzeczy poznajamia nas katalog wystawy mistrzów dawnych; to jednak co nam daje, zasługuje na baczną uwagę historyka sztuki i tych, którzy do dobytku polskiego przywiązują pewną ambicyę, pewien serdeczny niepokój. — Najpoczęśniejszą część wystawy zajęły zbiory: Andrzejów X. Lubomirskich i Leona hr. Pinińskiego, który małą zaledwie część cennej kolekcyi swojej wystawił, Jerzego X. Czartoryskiego, prof. W. Łukasiewicza i p. St. Oleksińskiego. — Z reprodukowanych w katalogu na szczególną uwagę zasługują: znany, może najpiękniejszy autoportret Rembrandta z lat wczesnych, mający już bardzo obszerną literaturę, Sofonisby Anguisciola portret damy, M. Berchema: gloryfikacya pokoju westfalskiego, Brekelenkama pustelnik, Basaitiego znany z litografii portret Kopernika (ze względu na temat), Greuze'a: akt dziewczyny, Vigée Le Brun: X. Izabella Lubomirska, szkoły Rubensa: męczeństwo św. Jerzego, R. Mengsa: portret Winckelmanna, szkoły niderlandzkiej XV w.: pożegnanie Chrystusa z Maryą, wreszcie nieznanego malarza XVII w.: portret Karola Chodkiewicza.— Prócz tego katalog reprodukuje Madonnę Sassoferrata, Steena, kilka ciekawych Ruijs-

daelów, Lampich i Grassich, Kupetzky'ego, Verneta bardzo piękną burzę morską, Angelik Kaufmann bardzo ładny portret Henryka X. Lubomirskiego jako Kupidyna i w. i. — Katalog spisuje ogółem 134 obrazy i zawiera prócz tego odczyty i przemówienia Leona Pinińskiego, prof. Jerzego Mycielskiego, prof. J. B. Antoniewicza i dra Wł. Witwickiego.

Wartość katalogu i cena jego jak na tak piękne wydanie (98 stron tekstu i 50 ilustracyi na osobnych kartach, wykonanych starannie w zakładzie „Zorzy") wcale nie wygórowana (7 K) — jeśli już nie mówimy o celu na jaki fundusz z rozprzedaży przeznaczono — zjednają mu zapewne poważniejsze zainteresowanie.

Rychłowski Kazimierz (przełożył): Współcześni poeci francuscy — wybór poezyi.

Króliński Kazimierz: I mówi do mnie wieś. (Poezye serya druga, nakł. księg. Maniszewskiego i Meinharta — Lwów 1908).

Mossoczowa M. (M. Koliskówna): Arcydzieło Juliusza Słowackiego Król-Duch (Kraków. Gebethner i Sp. 1910).

Zegadłowicz Emil: Nad rzeką (*Poezye* Kraków 1910, skł. gł. w księg. Friedleina).

Juliuszowi Słowackiemu Grono nauczycielskie gimnazyum II we Lwowie (1909 — treść: Dr. Bernard Hausner: Słowacki a biblia, dr. Adolf Bednarowski: Słowacki jako tłómacz Homera, J. W. Rollauer: Słowackiego „Fantazy" a „Tasso" Goethego, Zygmunt Bromberg Bytkowski: Słowacki jako dramaturg, dr. Wasyl Szczurat: J. Słowackij w ukraińskim pyśmenstwi i perekładii, dr. Stanisław Kossowski: Kwestya genezy wiersza: „Testament mój".

Nora Walicka (Bolesławowa Wręby-Bucewiczowa): Prometeya (Wybór poezyi).

Lipińska Jadwiga: Źródło *(Poezye).*

Ottonówna: Podlaskie „Hospody pomyłuj" — 1872-1905. Kronika 33 lat prześladowania Unii, przez naocznego świadka (Kraków 1908).

To samo w przekładzie ruskim w skróceniu (alfabetem ruskim): „Wyimki z pamiatnika Ottoniwny o pereslidowaniu Unii" (czast perwsza). (Nakładom komitetu wydawnictwa knižoczok lidowych — Lwiw 1909. Redaktor Br. Sokalskij) *dołączona reprodukcya ze znanego obrazu Eljasza: Prześladowanie Unitów.*

Feldman Wilhelm: My artyści... Sztuka w 4 aktach — Lwów księg. H. Altenberga).

Żuławski Jerzy: Bajka o człowieku szczęśliwym (nowe opowiadania).

Brzozowski Wincenty Korab: Dusza mówiąca.

Brzozowski Stanisław Korab: Nim serce ucichło. *Obydwie książeczki Brzozowskich wydane bardzo starannie* (nakł. J. Mortkowicza Warszawa 1910). *Należy się wdzięczność wydawcom że poezye zmarłego Stanisława Brzozowskiego przyszły wreszcie do wytwornego wydania.*

Wize Kasimir Filip: Die Definition des Schönen in Kants Kritik der Urteilskraft. (Sonderabdruck aus den Verhandlungen des III internationalen Kongresses für Philosophie. Heidelberg 1908).

Lutosławski Wincenty: Darwin i Słowacki (Warszawa 1909).

Lament chłopski na pany (wydał Józef Kallenbach). *Pierwszy zeszyt wydawnictwa „Białe kruki" wydawanego przez Karola Badeckiego. Niezwykłą staranność widać w tem przedsięwzięciu pożytecznem. Dawno potrzebowaliśmy takiego wydawnictwa, któreby dawało przedruki najrzadszych starych druków i z taką gorliwością uprzystępniało je szerszemu ogółowi. Na zeszyt (liczący około 40-u stron, papier czerpany, okładka stylowa) skłaaają się: słowo wstępne prof. Kallenbacha, wstęp do „Lamentu", „Lamentu" prze-*

druk homograficzny wykonany przez p. Badeckiego z taką starannością, jakiej od czasu sławnych reprodukcyi Pilińskiego nie pamiętamy, przedruk w pisowni dzisiejszej, słowniczek wyrazów przestarzałych, wskazówki bibliograficzne. Wydawnictwo powinno zająć nietylko bibliofilów. (Lwów, nakł. księg. Zienkowicza i Chęcińskiego 1910, druk Józefa Chęcińskiego).

Badecki Karol: Pierwsze wydanie „Pamiątki Janowi z Tęczyna“, Jana Kochanowskiego — studyum historyczno-literackie. (Odbicie z „Pamiętnika literackiego“).

Sinko Tadeusz: Hellenizm Juliusza Słowackiego (nakł. Akademii Umiejętności, Kraków 1909). *Obszerna praca jednego z najlepszych znawców języka i kultury greckiej.*

Arystofanes: Gromiwoja — przetłómaczył, wstępem i objaśnieniami opatrzył Edmund Żegota Cięglewicz. *Język bogaty, styl jędrny i jasny tłómacza, wyborne władanie formą, a przytem znajomość i odczucie ducha greckiego, daje tłómaczeniom jego szczególną wartość. Przypominamy inne tłómaczenia jego n. p. „Żaby“ i „Chmury“, których pierwsze wydania rozeszły się w tak krótkim czasie. — Do „Gromiwoi“ dołączył tłómacz bardzo interesującą przedmowę.*

*

Sfinks. Miesięcznik artyst. literacki i naukowy pod red. Wład. Bukowińskiego.

Przegląd Narodowy. Miesięcznik poświęcony zagadnieniom życia narodowego w zakresie politycznym i naukowym, społecznym, literackim i artystycznym; pod kierownictwem Zygmunta Balickiego. (Red. Jerzy Gościcki).

Przegląd polski. *Miesięcznik artyst. literacki i naukowy wychodzący w Krakowie pod red. prof. Jerzego hr. Mycielskiego.*

La Nouvelle Revue Française. Revue mensuelle de littérature et de critique. (Comité de direction J. Copeau, A. Ruyters, J. Schlumberger).

TYGODNIKOWI ILLUSTROWANEMU na rozpoczęcie drugiego półwiecza jego zasłużonego istnienia wyraża Lamus serdeczne: „Szczęść Wam Boże!“

*

Część druga — Wczoraj.

Mikołaj Kopernik a Zakon krzyżacki.

WŁASNORĘCZNY LIST KOPERNIKA.

Najjaśniejszy i najmiłościwszy władco,
Królu i Panie najłaskawszy!

Po zapewnieniu o naszem przywiązaniu i gotowości do kornych usług.

Często już chcieliśmy użalić się przed Tobą, najmiłościwszy Panie, na krzywdy nasze, lecz wstrzymywała nas jakaś nieśmiałość nasza i majestat dostojnego imienia Twojego, do któregośmy powinni zawsze zwracać się raczej z czcią aniżeli ze sprawami. Teraz jednak i trudne położenie nasze i niegodziwość zaszłych wydarzeń, a także i sam honor Waszej Królewskiej Mości zmuszają nas naprzykrzać się naszemi żalami i błaganiem Waszej Miłości, zajętej już zkądinąd bardzo ważnemi sprawy. Nie jest to bowiem tajnem, jakich obelg doznajemy już przez pełnych lat siedm ze strony zbrodniczych i bezczelnych ludzi, przez to, że zarówno my jak i nasi poddani nękani jesteśmy ogniem i mieczem, napadami i rozbojami od coraz to wzrastającej liczby wrogów; że dalej sami jesteśmy jakby uprowadzeni w niewolę tak, iż nawet godziny bezpiecznie nie mieszkamy w domach naszych, które leżąc wśród otwartego pola, wystawione są na łaskę i niełaskę zbrodniarzy, a nawet przybytek Boży i świętości ledwo od zbezczeszczenia chronimy, że wreszcie prawie nie wolno nam bezkarnie wymierzyć samym sobie sprawiedliwości, której od innych rzadko tylko doświadczamy. Z czyjej zaś pobudki te przykrości nasze tak się wzmogły, to już skądinąd, sądzimy, Waszej Królewskiej Mości jest znane. Jest bowiem także dobrze wiadomem, gdzie się owi rozbójnicy aż dotąd wylęgają, gdzie się na nas zbroją, dokąd się ze zdobyczą chronią. Myśmy to dotąd znosili w cierpliwości ponieważ poświęciwszy się stanowi duchownemu mniej mamy doświadczenia w rzemiośle wojennem. Jednak, ponieważ na walnym sejmie w Elblągu świeżo zapadła była uchwała, że wszyscy mają chwycić za oręż przeciwko tej pladze, ażeby ją wyplenić i ponieważ rozumieliśmy, że jest to także postanowione edyktem Waszej Królewskiej Mości, nie uchyliliśmy się od obowiązku, lecz owszem pierwsi staliśmy się mścicielami tak wielkich zbro-

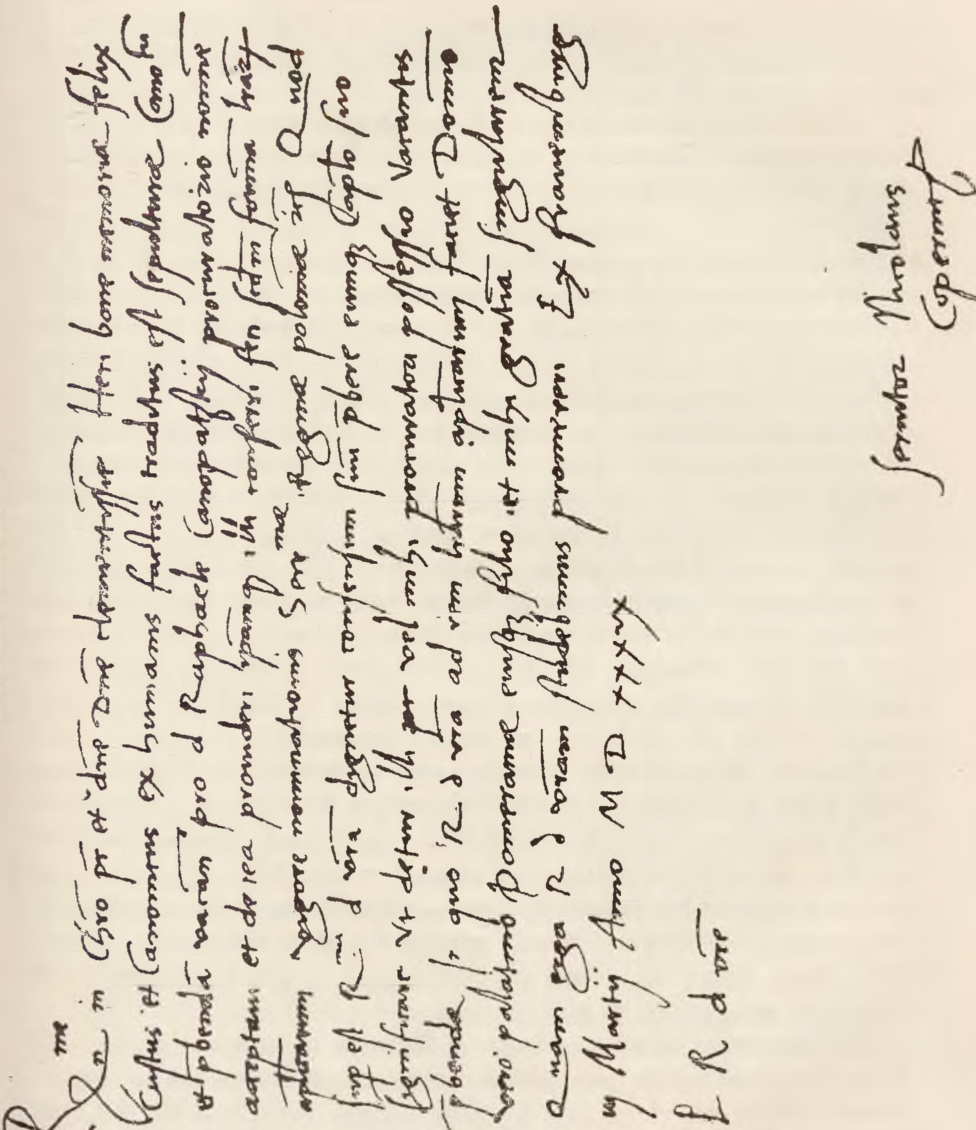
dni. Albowiem, gdy na początku tego miesiąca na naszej ziemi ośmiu rozbójników napadło na publicznej drodze pewnego poddanego Waszej Królewskiej Mości, obywatela miasta Elbląga i odciąwszy mu obiedwie ręce, obrabowali go ze wszelkiej majętności: burgrabia nasz, zebrawszy wkrótce małą garstkę naszych poddanych, wkroczył bezustannym marszem prawie sześć mil w głąb terytoryów Zakonu za śladami owych okrutnych rozbójników, napadł na nich, wpierw niżby się po domach rozprószyli, zajętych podziałem łupu w pewnym bagnistym lesie; schwytawszy zaś jednego z nich, szlachcica rodem z Marchii (inni ucieczką się ratowali), odwiózł go z powrotem do domu wraz z całą zdobyczą, oraz z końmi i z uzbrojeniem samych rozbójników, wpierw uprosiwszy i uzyskawszy pozwolenie owego rycerza, któremu podlega owa okolica, jakkolwiek pozwolenie w tym razie nie było potrzebne.

Lecz teraz już nietylko ów rycerz użala się, że doznał krzywdy (bo widzi może, że ta sprawa także i jemu niebezpieczeństwem zagraża), lecz i komtur w Baldze, a nawet sam dostojny w. mistrz, niedość że żąda, lecz także usilnie się stara, by owego schwytanego rozbójnika, z całą uprowadzoną zdobyczą, powrócić do Balgi, którą to sprawę Najprzewielebniejszy nasz biskup Waszej Królewskiej Mości szerzej przedstawił. Z tego powodu rabusie już zuchwalej niż przedtem podnoszą przeciwko nam głowy i jak przedtem zagrażali miastom, teraz wszyscy przeciwko nam się zwróciwszy, wszelaką prowokacyą, różnemi obelgami i częstemi pogróżkami nas napastują; następnie widzimy także, iż ze strony w. mistrza grozi nam już prawie niebezpieczeństwo i przemoc, której niemamy sposobu odeprzeć, ponieważ zajęciem naszem jest modlić się a nie walczyć; chyba, że przyjdzie nam z pomocą Wasza Królewska Mość z wrodzoną Swą łaskawością, do której z tem większą ufnością zwrócić się nakłania nas z jednej strony niewinność naszej sprawy, a z drugiej niebezpieczeństwo naszego Kościoła, który w Waszej Królewskiej Mości ma i zawsze miał najszlachetniejszego opiekuna. To też uniżenie Wasz Majestat zaklinamy i błagamy, racz Królewską Swą mądrością i stanowczością zapobiedz tym zbrodniczym usiłowaniom, Kościół nasz i nas samych, w oczywistem niebezpieczeństwie pogrążonych, otoczyć opieką Swą i obroną, abyśmy mogli i służbę Bożą i nas samych, którzy nie ustajemy w modlitwach o pomyślny stan dostojnego królestwa Twojego, lepiej zachować w cieniu wzniosłych cnót Twoich, ofiarując wierne usługi nasze i samo życie nasze Waszej Królewskiej Mości, którego czcimy jako najłaskawszego Pana naszego, kornie Mu się polecając.

Waszego najmiłościwszego Królewskiego Majestatu

uniżeni i oddani kapelani
Kapituła Warmińska.

Z Warmii dnia 22 miesiąca lipca, roku 1516.



INNY LIST KOPERNIKA.

WSPOMNIENIA I REFLEKSYE, WYWOŁANE ŚWIEŻO WYKRYTYM AUTOGRAFEM KOPERNIKA W ARCHIWUM SZTOKHOLMSKIEM.

„...Et vivens quidem Theutonicorum Cruciferorum Magistrum Copernicus inimicum sensit...“ „....Jakoż i za życia miał Kopernik nieprzyjaciela w mistrzu Krzyżaków teutońskich...“, mówi w r. 1627 najwcześniejszy Kopernika biograf, zacny nasz X. Szymon Starowolski w swej Setni (Hekatontas) uczonych polskich, na świadectwo prawdy tych słów powołując się na oryginalne dokumenty, jakie miał wówczas w swych rękach. A były to pisma pierwszorzędnej w tej mierze wagi: własnoręczne listy zaprzyjaźnionego z Kopernikiem warmińskiego kanonika, Gizego, następnie (od r. 1537) biskupa chełmińskiego, a wreszcie (od r. 1549) następcy Dantyszka na stolicy warmińskiej. Listy te — było ich przeszło dwadzieścia — istniały napewne jeszcze w połowie XVII. stulecia, a podobno nawet jeszcze z początkiem następnego, później jednakże zaginęły — niestety! — bez śladu. Podzieliły owe smutny los tylu innych po wielkim astronomie pamiątek: pism, listów, ksiąg i aktów, bądź jego własnością niegdyś będących, bądź też w ten lub w ów sposób z życiem jego związek mających. Skutkiem politycznych nieszczęść narodu, rozprószyły się one na wszystkie strony, częścią zmarniały, a w znacznej części — jak się zdaje — na zawsze przepadły...

Ta to u Starowolskiego przechowana wiadomość spotkała się, swojego czasu, z niechęcią i z niedowierzaniem w pewnym obozie nowszych biografów Kopernika, a także i u niektórych dziejopisów ziemi pruskiej, jakoteż chełmińskiej. Znacznej mianowicie większości historyków niemieckich wiadomość owa wydawała się mało prawdopodobną, w każdym zaś razie wielce niedogodną, a u niektórych z pośród nich, tych, którzy się zowią pruskimi, sprawiła złą krew i wywołała oburzenie pomięszane z konsternacyą.

Był czas, wkrótce potem, kiedy podkopując systematycznie znaczenie Setni Starowolskiego, jako źródła historycznego, usiłowano z owej to strony osłabić jej wiarygodność. Zamiar się nie udał, nie mógł się udać. Wydobyto mianowicie tymczasem na jaw, nieznane wpierw, własnoręczne zapiski innego znów uczonego polskiego, profesora szkoły Jagiellońskiej, Jana Brożka, Brosciusem zwanego († 1652), który — jak o tem z nich się dowiadujemy — te same listy Gizego nietylko że miał w swych rękach, ale co więcej, niektóre z nich streścił

a wreszcie dwa, nawet — w niezmiernie dziś rzadkiem pisemku — drukiem w r. 1618 ogłosił.

Po tem wszystkiem stawało się już, dla tamtej strony, niepodobieństwem prawdziwości owej tradycyi jeszcze dłużej zaprzeczać. Ustaliło się jednak zdanie, że coś przecie należałoby w tej mierze przedsięwziąć... Wówczas to chwycono się zwykłej, wielorako przez się wypróbowanej, metody, ażeby, wszelakiem krętactwem historycznem, znaczenie i doniosłość owej wiadomości osłabiać, zacierać i — jeśliby się to dało — z czasem doszczętnie zatrzeć...

Ale veritas temporis filia nie mogła na zawsze niemą pozostać. Z biegiem czasu, dzięki intenzywnym poszukiwaniom po archiwach i bibliotekach, poczęły, w kilku ostatnich dziesięcioleciach, wychodzić na jaw liczne, nieznane wpierw wiadomości, odnoszące się do dziejów życia i myśli mędrca warmińskiego, oświetlające jego postać nietylko jako myśliciela, lecz także jako obywatela, człowieka. Pomiędzy niemi znalazły się również i takie, które posiadały przyczynowy związek z ową — daremnie przez tamtych zrazu zaprzeczaną! — historyczną u Starowolskiego tradycyą i niedość, że w pełni prawdziwość jej potwierdziły, obydwóch polskich uczonych zrehabilitowały, ale przydawszy nowe szczegóły do jej zbytniej zwięzłości, odkryły nam zarazem źródło owej nienawiści wielkiego mistrza... I zaiste, jak gdyby na zadośćuczynienie wielokroć pogwałcanej prawdy historycznej, musiało się zdarzyć, że najpierwszy, biorąc chronologicznie, z pośród owych cennych dokumentów, wykryty został — lat temu przeszło pięćdziesiąt — właśnie przez główno dowodzącego hyperkrytyką Starowolskiego, a zarazem przez najżarliwszego szermierza za niemiecką rzekomo narodowością Kopernika*). Dokument ów, to dłuższa i energiczna skarga, Querela, kapituły warmińskiej, przeciwko gwałtom, grabieżom, rozbojom i spustoszeniom, jakich podczas rozejmu w r. 1521, dopuszczali się „ogniem i mieczem“ rycerze Zakonu krzyżackiego na podległej berłu króla polskiego ziemi warmińskiej, skarga, będąca pod względem zarówno rzeczowym, jak i stylistycznym, duchową wielkiego astronoma własnością, dochowana po dziś dzień w sztokholmskiem archiwum państwowem, jako własnoręczny brulion Kopernika, wielorako przez niego samego poprawiany i wygładzany.

Za tym najpierwszym poczęły z biegiem lat wychylać się na światło dzienne inne jeszcze tego rodzaju, również jak tamten wymowne, akta i dokumenta.. Jednym z ostatnich, z pomiędzy dotychczas wykrytych,

---

*) Profesor toruńskiego gimnazyum Dr. Leopold Prawe.

na razie ostatnim, jest ten, którego podobiznę fotograficzną i wierny polski przekład dziś tu podajemy.*)

Ale o tem więcej dopiero za chwilę. Jako drobny fragment znacznie obszerniejszej sceny dziejowej, dokument ten posiada w swej osnowie tło szersze, którego niepodobna nam tutaj, chociażby pokrótce nie dotknąć. Jest to ów długoletni spór o narodowość wielkiego astronoma niejako proces w obliczu historyi, który swojego czasu obydwom stronom spornym dał był właśnie popęd do pilnych poszukiwań archiwalnych za potrzebnym tu i tam materyałem dowodowym.

Nie tutaj jest miejsce i pora roztaczać, a choćby tylko streszczać obszerny w tej mierze aparat krytyczny i dowodowy, zawarty w znacznie już potąd narosłej literaturze kopernikańskiej. Musi nam na dziś wystarczyć, jeżeli w szybkim przeglądzie uprzytomnimy sobie najgłówniejsze tylko tu należące momenta, odnoszące się do genealogii i życia wielbionego męża, jakoteż i najbliższej jego rodziny. Luźna to będzie wiązanka faktów i bez pretensyi do jakiejkolwiek spoistszej konstrukcyi historycznej, materyał niemal surowy, opatrzony co najwyżej w niezbędny do zrozumienia komentarz. Lecz może tak będzie i lepiej dla sprawy. Wydaje się nam bowiem, że wówczas to, wolny od przymieszki osobistych mniemań piszącego, jego wyobrażeń, myśli i uczuć, tem wyraziściej da się usłyszeć niczem nie zamącony głos prawdy dziejowej...

Z góry należy nam jednak zaznaczyć, że owa kwestya sporna, postawiona została swojego czasu nie najfortunniej: z obydwóch mianowicie stron popełniono bezsprzecznie rodzaj anachronizmu, wyobrażając sobie pojęcie narodowości w średniowieczu... prawie po dzisiejszemu i na podstawie takiego to mylnego założenia gorące debaty prowadząc...

Dalecy od mniemania, jakoby pojęcie to miało być w całości wytworem nowszych dopiero czasów, to wszakże uważamy za pewne, że w społeczeństwach średniowiecznych — i później jeszcze — podmiotowe w tej mierze poczucia nie doszły były jeszcze do ich dzisiejszej wyrazistości i że nawet w takiej to niewykończonej ich

---

*) Wykryty przez autora niniejszych wspomnień w archiwum państwowem (Riks-Arkivet) w Sztokholmie d. 12 sierpnia 1908 r. — Archiwa i biblioteki warmińskie złupione zostały głównie w r. 1626 przez wojska Gustawa Adolfa i wywiezione do Szwecyi. Ztąd to poszło, że cała niemal dawna biblioteka frauenburskiej katedry, a z nią także i niewielki księgozbiór, będący niegdyś prywatną Kopernika własnością, testamentem przez niego kapitule legowany, zawędrowały do Szwecyi, a mianowicie w części największej do uniwersyteckiej biblioteki w Upsali, gdzie dotąd dotrwały. Gorszy los spotkał obydwa archiwa warmińskie, biskupie w Heilsbergu i kapitulne w Frauenburgu: z obydwóch tylko resztki ocalały.

formie, zdołały zdobyć dla siebie słabe tylko uświadomienie. Przyczyn tego zjawiska nie trudno się dopatrzeć. Jedność religijna, jeszcze przed jej rozłamem, zwanym reformacyą, wszystko niwelująca łacina w kościele, w urzędach, w nauce, w piśmiennictwie i w szkole, a nawet i w życiu prywatnem wykształceńszych jednostek, dalej instytucye niemal że międzynarodowe, takie jak związki hanzeatyckie krajów i miast, wszelakie cechy, bractwa i zbożne stowarzyszenia, samo nawet ustawodawstwo owoczesne, wszystko to razem składało się niezawodnie na zacieranie, w podmiotowem poczuciu i rozumieniu średniowiecznego człowieka, różnic pomiędzy różnojęzycznymi mieszkańcami Europy chrześcijańskiej. Nie pokrywające się nawzajem jeszcze dotychczas obszary etnograficzne i polityczne, przedstawiały, jak wiadomo, w średniowieczu nieporównanie większą od dzisiejszej mieszaninę i rozmaitość, za czem też iść musiało, że nawet światlejszemu człowiekowi owoczesnemu wystarczała najczęściej świadomość, że należy do tego, albo do tamtego organizmu państwowego. Mimo to obcem było pod ten czas nowoczesne pojęcie kosmopolityzmu. Od popadnięcia w drugą tę skrajność chroniło bowiem jednostkę dostatecznie wyrobione i żywe poczucie miejscowego patryotyzmu, przywiązane co prawda najczęściej do terytoryów szczuplejszych, a oparte raczej na geograficznej wspólności, aniżeli etnicznej.

Tak więc za decydujące kryterya przynależności pewnej uważanej jednostki, w średniowieczu żyjącej, do tego albo do tamtego narodu, niepodobna uważać wyłącznie, zwykle w takich razach przytaczanych: nazwiska, pochodzenia, a nawet języka, jakim ta osobistość posługiwała się w życiu codziennem. Za kogóż to uważali się, gdyby ich wszystkich można było dziś o to zapytać, tacy Betmani, Bonerzy, Elgoty, Wierzynki, Hozyusze... albo z pomiędzy późniejszych, a wreszcie dzisiejszych, tacy Kalksteiny, Mosbachy, Bedermany, Trauguty, Helclowie, Manteufle i tylu, tylu innych, pomimo swych nazwisk niepolskich? Kimże to byli kardynał Zbigniew, arcybiskup Jan Łaski, biskupi Piotr Tomicki, Erazm Ciołek, Maciej Drzewicki, historyk Bernard Wapowski i znowu tylu innych, którzy władali, w mowie a nawet w piśmie, obok rodowitego także niemieckim językiem, a których listy niemieckie do dziś dnia jeszcze dotrwały? Za kogóż to, zapytajmy wreszcie, za Polaków, czy też za Niemców, uważały się „pruskie" rodziny szlacheckie takich Bayzenów, Czemów, Działyńskich, Kostków, Jordanów, Orłowskich i Konopackich...*) gdzie w całym XV. i jeszcze

*) Rodzina Koperników była spowinowaconą z zasłużonym rodem Konopackich, o czem już Niesiecki dobrze wiedział (Herbarz, wyd. Bobrowicza, V., str. 207—208). Istnienie drugiej jesz-

daleko w głąb XVI. stulecia, obok polskiego języka, także niemiecki w codziennem pozostawał użyciu?... Zaiste, zawodne to częstokroć owe rzekome kryterya narodowości, zwodne aż nazbyt często oznaki zewnętrzne, mało co o wewnętrznym nastroju myśli i uczuć człowieka informujące. O ileż to bezpieczniej takie rozeznawania i sądy oprzeć na przebiegu życia uważanej osobistości, w jej czynach, w nich przedewszystkiem szukać odpowiedzi na postawione pytanie! One dopiero zdołają odsłonić przed nami uczucia, poruszające sercem owego człowieka i pozwolą dosłuchać się w nim tego głosu wewnętrznego, który każe mu do tej, umiłowanej przez się, społeczności ludzkiej przyznawać się raczej, aniżeli do tamtej... Wszak nie napróżno zostało powiedziane, że „z owoców ich, poznacie ich".

Niechaj jednakże przemówią najpierw głos krwi, pochodzenie, miejsce urodzenia, brzmienie nazwiska...

Mikołaj Kopernik był najmłodszem dzieckiem Mikołaja Kopernika starszego i Barbary z Watzelrodów. Przyszedł na świat w Toruniu w r. 1473, w siedm lat po znanym pokoju toruńskim, którym, oderwane niegdyś przez Zakon niemiecki podstępem i przemocą od dziedzin piastowskich ziemie chełmińska i michałowska, jakoteż Prusy zachodnie, z Polską napowrót połączone zostały.

Pokój r. 1466 był zakończeniem 13-stoletniej uporczywej walki o niepodległość „ziem i miast" pruskich przeciwko ciemięztwu tych krain przez Zakon krzyżacki. Przygotowywana przez dłuższy czas tajemnemi organizacyami mieszczaństwa i ziemian, takiemi jak „Związek jaszczurczy" i inne, wybuchła ta walka na „śmierć lub życie" zaraz po odprawieniu — w lutym 1454 r. — uroczystego do króla Kazimierza poselstwa z tą prośbą gorącą, aby te to „oderwane niegdyś przez Zakon od Polski" dzielnice raczył pod swoje berło napowrót przyjąć i zbrojnie wystąpić, razem z mieszkańcami tych ziem, przeciwko wspólnemu wrogowi. Po dłuższych naradach króla z panami nastąpiło wreszcie przyzwalające na to słowo monarchy...

Ludność Torunia — tego w najstarszych dyplomatach Tarnowa mazowieckiego — składała się o te czasy, według wiarygodnych świadectw historycznych, z obywateli, mówiących mniej więcej w połowie

---

cze tych samych rodzin kolligacyi — przez Annę Pękowę (Peckaw) i Watzelrodów — wynika z aktów, jakie niedawno wykrył Boniecki (Herbarz, t. XI., Warszawa 1907, str. 89). Dochował się szczegół, świadczący, że Kopernik młodym Rafałem Konopackim (syn Jerzego, 1516 kasztelana gdańskiego, 1519 wojewody pomorskiego i starosty świeckiego — Świecie, niem. Schwetz — zmarłego przed r. 1544) zajmował się niemal jakgdyby własnym synem. Rodzona po ojcu babka Rafała i matka naszego astronoma, obie były Watzelrodówne. Także pomiędzy Czapskimi i Działyńskimi z jednej, a Kopernikami i Watzelrodami z drugiej strony, istniało powinowactwo, ale już dalsze.

po polsku, w połowie zaś po niemiecku, tych i tamtych, pomimo różnicy języka, jednako lojalnych poddanych królestwa, wszystkich zarówno wiernych królowi i przywiązanych do Jagiellońskiej dynastyi.

Ojciec naszego przyszłego astronoma, zamożny kupiec i mieszczanin najpierw krakowski, przesiedlił się, w r. 1454 — raczej aniżeli dopiero w następnym — z Krakowa do Torunia i tutaj niebawem pojął za żonę Barbarę, córkę bogatego patrycyusza toruńskiego Łukasza Watzelrode i Katarzyny z domu Modlibożanki, po pierwszym małżonku Pękowej (Peckaw, Peckawynne).

Zkąd wyprowadzały swój początek rodziny Koperników i Watzelrodów zanim osiadły w metropolii ziemi chełmińskiej? wiemy, przynajmniej co do pierwszej z nich, już oddawna, a świeżo powiodło się nam ustalić to samo także i co do rodziny naszego astronoma po matce. Obiedwie rodziny pochodziły ze Ślązka, obadwa nazwiska były pierwotnie nazwami miejscowości, z których rody te swój początek wywiodły. Zaznaczamy podkreślając, że fałszywemi były, nieśmiałe ale chętliwe domysły — na niczem nieoparte — kilku nowszych historyków t. zw. pruskich, jakoby Watzelrody mieli pochodzić z Westfalii, czy nawet z Meklemburgii.

Najtroskliwsze poszukiwania archiwalne, wykazały, że przodkowie naszego astronoma po ojcu wyszli z istniejącej do dziś dnia wsi kościelnej Kopernik, leżącej na górnym Ślązku w pobliżu Nissy i Odmuchowa*). Istnienie jej, a do pewnego stopnia nawet jej losy, dają się śledzić wstecz przynajmniej aż do trzeciej ćwierci XIII-go stulecia. Nazwa tej miejscowości, jak niemniej — na co zamało dotychczas uwagi zwracano — mnóstwa innych w najbliższem sąsiedztwie leżących, jest niewątpliwie słowiańska, polska.

Na nic się nie przydadzą, prowadzone gorliwie z pewnej strony ckliwe, etymologiczne rzekomo wywody, oparte na dobrze nam znanej, starej metodzie, na powolnem przekręcaniu pisowni nazwiska i naginaniu jej stopniowem do brzmienia nibyto niemieckiego. Ani reduplikacyą litery *p* w nazwie miejsca, ani zmianą pierwszej samogłoski *o* na *ö*, ani podwojeniem końcowego brzmienia gardłowego *k* na *gk*, czy nawet — jak z pewnej strony usiłowano — aż potwornem potrojeniem na *gck*, fakt ów nie da się przeinaczyć, a wyrazy Koppernik, Köppernik, Köppernigk itp., pozostaną na zawsze monstrami językowemi, w rodzaju n. p. owego dzikiego przekręcenia nazwy wsi ślązkiej Jemielnicy — w dawnej pisowni Gemelnitz, od jemioły —

*) Zob. m. i. Fr. Hipler Spicilegium Copernicanum, Braunsberg 1873, pag. 293—6. Także Ign. Polkowski, żywot Mikołaja Kopernika, Gniezno 1873, str. 51 i nast.

na pozbawione sensu i śmieszne Himmelwitz, oraz innych jeszcze takich dziwolągów. Nie może ulegać dziś wątpliwości, że nazwa owej wsi kościelnej urobiona została niegdyś tym samym trybem jak i mnóstwa podobnych na Ślązku i ziemiach polskich, takich jak n. p. Prądnik, Jodłownik, Kurnik, Rybnik, Rzepiennik i tylu innych, a warto zaakcentować, że każda z tych nazw posiada rozsądne znaczenie, czego niepodobna powiedzieć o tamtych. Najdawniejsze dyplomata z XIII-go stulecia piszą zresztą tę naszą miejscowość: Coprnik (1272), Copirnik (1284), Copirnich (1284), Copernic (1290), Copernik (1291), Kopernic (1298), stale z pierwszą samogłoską *o* bez żadnego pochylenia i bez reduplikacyi którejkolwiek spółgłoski. Zbytecznem nawet będzie przypominać, że cały Ślązk, a zwłaszcza ów jego zakątek, był w stuleciu XIII-tem rdzennie polskim. „In nostra terra scilicet Polonia, quae est sub 50 gradu latitudinis......", mówi w ogólności o Ślązku, a w szczególności o okolicach Wrocławia i Lignicy, uczony nasz Witelo, autor niezmiernie ciekawego traktatu Optyki, około 1275 r. powstałego. Że stan ten, nieosłabiony zwłaszcza po wsiach, trwał jeszcze po koniec XIV-go wieku, świadczą o tem mnogie wskazówki i fakta. Z nich dwa chociażby niechaj znajdą tu miejsce. W dokumencie z r. 1383 spotyka nas Stanislaus de Copernik, mansyonaryusz kościoła św. Krzyża w Wrocławiu, dalej w r. 1417 może ten sam, raczej jednak już inny, znów Stanislaus de Copernik, także jak tamten mansyonarz przy tym samym kościele, obydwaj zarówno chrzestnem imieniem, jak i nazwiskiem legitymujący się przed nami dostatecznie ze swojej narodowości. O prastarem zasiedleniu się w całej tej okolicy polskiej wyłącznie ludności, jak niemniej i o niezwykłej jej odporności przeciwko postępom kolonizacyi niemieckiej, świadczy fakt, na ówczesne stosunki niezmiernej rzadkości, a przy tem wielce znamienny, że tuż sąsiednie, a po Nissie najgłówniejsze w okolicy tej miasto, że Odmuchów (Ottmuchau), niegdyś kasztelania, rządził się polskiem prawem aż po ostatnią ćwierć XIV-go stulecia. Warto w tej chwili przywołać to do pamięci, że nawet stolica Małopolski, że Kraków o wiele wcześniej, już bowiem w r. 1257 przyjmuje lokacyę na prawie niemieckiem.

Z różnymi Kopernikami: Piotrami, Janami i Mikołajami spotykamy się na górnym Ślązku w przeciągu XIV-go i XV-go jeszcze stulecia, a jedną ich gałąź, o tych samych chrzestnych imionach, znajdujemy w Krakowie, wcześnie, bo już przed rokiem 1370 osiadłą.*) Z archiwal-

---

*) Najwcześniejsza, dotychczas znana wiadomość o Kopernikach już w Krakowie osiadłych, jest z roku 1367, na trzy lata przed śmiercią Kazimierza Wielkiego. Zob. oryginalny

nych wiadomości jakie dotychczas na jaw wydobyto, nie daje się wprawdzie jeszcze zbudować genealogiczne ich drzewo, wszelako tyle przynajmniej jest pewnem, że z nich to pochodził ojciec naszego astronoma, że z Krakowa był rodem, że tutaj przez szereg lat mieszkał i że nawet po przesiedleniu się w wieku dojrzałym do Torunia, z rodzinnem swem miastem utrzymywał zażyłe i ścisłe stosunki.

Ze Ślązka również, jak rzekliśmy, wiedzie początek rodzina naszego astronoma po matce. Nazwisko jej, o pisowni niedostatecznie dotychczas jeszcze ustalonej, występuje w dyplomatach i kronikach ślązkich, aż w dwudziestukilku rozmaitych odmiankach, takich jak Watzenrode, Waiczenrode, Waczelrode, Waczenrode, Wazzelrode, Wazenrode itd. itd. Wobec tego kłopotliwego bogactwa stanęło rodzajem milczącej konwencyi pomiędzy biografami Kopernika na tem, ażeby a d i n t e r i m używać odmianki Watzelrode, przyjętej nie dlatego, iżby od innych miała być podobniejszą do prawdy, a chociażby tylko częstotliwszą w dokumentach, ale jedynie w celu uniknięcia nieporozumień i zamieszania. W takiej samej obfitości i rozmaitości pojawia się w ślązkich źródłach dziejowych nazwa wsi, blisko Świdnicy leżącej: Weyczenrode, Weyzenrode (1307), Wazenrode itd., raz nawet Wazengrode — dzisiaj Waizenrode, lub Waizenrodau pisana, — a równocześnie, w ciągu XIV-go stulecia występują tam dość liczne osobistości z różnemi imionami chrzestnemi, noszące stale predykat „d e Weyzenrode" i t. d., odgrywające poczestniejszą rolę w lokalnej historyi Świdnicy, a nieco później także Wrocławia.

Nie myślimy zaprzeczać, że na przełomie wieków XIII-go i XIV-go okolica Świdnicy, acz jeszcze na wskróś polska, była może nieco gęściej niż Odmuchowsko-Nissańskie obszary, także niemieckiem zasiana osadnictwem, wszelako należy pamiętać, że i tutaj, jak tam, żywioł niemiecki gromadził się niemal wyłącznie po miastach, wsi prawie nie dotykając. I nie wzruszy nas w tem przekonaniu także i nazwa owej miejscowości, rzekomo niemiecka. Przeczą bowiem temu twierdzeniu nierzadkie na Ślązku i w Prusiech nazwy miejscowości, z końcówką na *rod,* albo na *rode,* z których zła wola i wieki przecie nie całkiem zdołały zetrzeć słowiańskie pochodzenie, skoro przynajmniej niektóre z pośród nich, jak Schmiegrode (Zmigród), Vissegrode (Wyszogród) itp. zdradzają aż nazbyt wyraźnie genezę swoją, a tem samem i pozostałych, językowo z niemi powinowatych.

---

akt z tego roku ogłoszony w publikacyi: Libri antiquissimi Civitatis Cracoviae, wyd. w Monumenta medii aevi historica res gestas Poloniae illustrantia, T. IV, Cracoviae 1877—8, Partis posterioris pag. 12.

W trzeciej ćwierci XIV-go stulecia giną w ślązkich źródłach historycznych wzmianki o Waczenrodach..., natomiast zjawiają się one, prawie że równocześnie, w pruskich, gdzie wpierw wypatrywałbyś ich napróżno. Trudno żądać lepszego dowodu przesiedlenia się całego tego rodu do Prus, a raczej do ziemi chełmińskiej. Zdaje się, że istniały dwie tego rodu gałęzie, jednych bowiem — ci wkrótce wygaśli — spotykamy na ziemskiem dziedzictwie Sławkowo (niem. Fredau!), drugich widzimy niebawem osiadłych w Toruniu i tam, dobrze jeszcze przed upływem XIV-go wieku piastujących zaszczytne i ważne miejskie urzędy, a później także i ziemskie.

Z pośród nich musi historyka najwięcej interesować wspomniany już raz tutaj Łukasz Watzelrode, dziadek po matce wielkiego astronoma. Bogaty patrycyusz toruński, kupiec na wielką skalę, właściciel kilku domów w mieście i ziemskich posiadłości okolicznych, zrazu ławnik (od r. 1432), a wkrótce potem przewodniczący tej ławy sędziowskiej, na stanowisko to przez niemal ćwierć wieku — aż po koniec życia († 1462) — zaufaniem współobywateli stale powoływany, był Łukasz Watzelrode osobistością podówczas wiele znaczącą i wpływową, zresztą nie w samym tylko Toruniu*). Znaczenie jego i wpływ wzrosły zwłaszcza w latach bezpośrednio poprzedzających wybuch wojny „ziem i miast" pruskich przeciwko Zakonowi niemieckiemu. Jakoż i nie mogło być inaczej, skoro on właśnie należał do najprzedniejszych i najgorliwszych zwolenników tajnego zamiaru wyzwolenia się z pod jarzma krzyżackiego, do najczynniejszych przywódców spisku, a wreszcie otwartego „rokoszu" przeciwko ciemięzcy. Czytamy, że kiedy to Rada miejska toruńska, grozą położenia zniewolona w krytycznej chwili równoczesnego na kilku punktach wybuchu wojny, postanowiła się wzmocnić radą przyboczną z dwunastu mężów złożoną, na pierwszem zaraz miejscu tej nadzwyczajnej rady stanął nie kto inny, jeno właśnie nasz Łukasz. Znajdujemy go dalej pomiędzy owymi szesnastu mężami zaufania, których gmina wojowniczo usposobiona i zdecydowana orężem rozprawić się „na śmierć lub życie" z Zakonem, wysłała była jako swoich rzeczników do chwiejącej się w swych postanowieniach Rady miejskiej, znajdujemy go walczącego mężnie pod Malborgiem i pod Łaszynem, wespół z hufcami polskiemi, przeciwko wspólnemu wrogowi. Znajdujemy wreszcie jego nazwisko w rachunkowych z tego czasu zapiskach miejskich toruńskich, świadczących, że dzielny ten mąż i obywatel, prócz kontrybucyi nałożonej

*) Obszerne wskazówki źródłowe podają Hipler w swem Spicilegium, pag. 297 i 299—300, tudzież Polkowski, Żywot itd., str. 71 i nast.

przez Radę na wszystkich, łożył wiele, bardzo wiele, zarówno w naturaliach jak i w gotówce, nietylko tytułem pożyczki, (której tylko drobną część spadkobiercom jego później miasto zwróciło), ale i wprost darowizną, na znaczne koszta połączone z wywalczeniem wolności swej ziemi rodzinnej.

Takim był, mówiący po niemiecku, a po polsku myślący i czujący Łukasz Watzelrode starszy, ojciec Barbary Kopernikowej, takim był duch w domu dziadka naszego astronoma po matce. Bo że także i małżonka Łukasza, pani Katarzyna z Modlibogów, pierwszemi ślubami Pękowa, dobrą swą w tem cząstkę posiadła, wiemy dziś doskonale, pomimo aż nazbyt szczupłych, dochowanych o niej wiadomości, a to jak gdyby na potwierdzenie tej maksymy starodawnej, że te kobiety bywają zazwyczaj czci najgodniejsze, o których mówi się najmniej. Znalazła się przecie dla miejscowego kronikarza sposobność w latach późniejszych, już po jej śmierci, ażeby, wspomniawszy przygodnie jej imię, nazwać ją „cnotliwą matroną, a swego czasu koroną wszystkich niewiast toruńskich".

Z takiego to gniazda wyszła matka naszego astronoma Barbara i młodsza jej siostra Katarzyna, wydana za krakowianina Bartłomieja Gertnera, wyszedł wreszcie najmłodszy z rodzeństwa, imiennik swego ojca, także Łukasz, późniejszy biskup i pan udzielny warmiński, z takim to domem połączył się swem małżeństwem Mikołaj Kopernik starszy.

Liczne wiadomości, acz wogóle drobne, jakie się dochowały o tym ostatnim, przedstawiają go nam w świetle równie sympatycznem jak i teścia jego Łukasza. Nie jest on wprawdzie w tym stopniu jak tamten „vir robustus", niemniej jednak przedstawia się nam jako człowiek głęboko religijny, ofiarny, humanitarny, zapobiegliwy, a zawsze gotów do posługi bliźniemu, jak i do szerzej pojętej służby publicznej. On to, Mikołaj Kopernik starszy, siedząc jeszcze w Krakowie, wespół z dwoma innymi mieszczaninami tamtejszymi, przychodzi, w chwili krytycznej, z pomocą pieniężną — bardzo na owe czasy znaczną — poselstwu „ziem i miast pruskich" do króla, w lutym 1454 r., niemalże w przeddzień wybuchu wojny z Zakonem, w krytycznej powiadam, kiedy to król, z obawy uwikłania się w wojnę niepewną, zwlekał z daniem odpowiedzi — ostatecznie przychylnej — poselstwu, idąc w tem za radą kardynała Zbigniewa, wysuwającego na pierwszy plan trudności pieniężne... Ważny i ciekawy ten szczegół, jak z jednej strony świadczy o znacznej zamożności ówczesnego mieszczaństwa krakowskiego, tak z drugiej znów o wielkiej solidarności,

jaka — zresztą nietylko podówczas — istniała pomiędzy obydwoma emporyami nadwiślańskiemi. Złożenie przez mieszczan krakowskich znacznej sumy pieniężnej na cele sprawy ich współbraci toruńskich było bowiem natychmiastową odpowiedzią na ostatni, przez Oleśnickiego podniesiony, rzekomo najsilniejszy argument przeciwko wmieszaniu się Polski w zatarg „ziem i miast" pruskich z Zakonem. Jego to, ojca naszego astronoma, widzimy, właśnie że w chwili wybuchu wojny, rzucającego Kraków spokojny i przenoszącego się do Torunia, właśnie w sam centr teatru wojny. A chociaż nazwisko jego nie zostało wymienione pomiędzy tymi, którzy w ciągu owych trzynastoletnich z Zakonem zapasów, walcząc pospołu z polskiem rycerstwem, pełnili powinność żołnierską, to niepodobna ani na chwilę przypuścić, iżby młody małżonek Barbary Watzelrodówny, w poważnych tych chwilach dziejowych miał siedzieć w domu z założonemi rękami i to podówczas, kiedy tyle od niego starszy wiekiem teść jego Łukasz nadstawiał własną pierś przeciwko grotom krzyżackim. Gdy wraz z zawarciem pokoju w Toruniu nastały w r. 1466 czasy spokojniejsze, widzimy Mikołaja Kopernika, ojca, zajętego przeróżnemi sprawami obywatelskiemi, pomiędzy któremi zabiegi około powiększenia własnego majątku oczywista że nie najmniejszą odgrywały rolę. Widzimy go zajętego wielkim handlem, kupującego, sprzedającego nieruchomości i ruchomości, pośredniczącego w najrozmaitszych umowach, sprzedażach i kupnach, składającego porękę sądową za innych, łożącego grosz własny na cele publiczne, zajętego opiekuństwem sierót małoletnich... Dotykamy pospiesznie rysów jedynie najgłówniejszych, nie wdając się w liczne tu należące szczegóły, lubo częstokroć znamienne i zajmujące.

O jednym z nich jednakowoż niepodobna teraz nie wspomnieć, tem więcej, że historykom naszym wydaje się być, z jednej przynajmniej strony, nieznanym. Nieobcy dziejopisom Kościoła w Polsce, dominikanin Jakób Godziemba z Bydgoszczy († 1478), wieloletni prowincyał Zakonu kaznodziejskiego prowincyi polskiej, niepospolity teolog i kaznodzieja, ten sam, który doprowadził do skutku inkorporacyę dominikańskiego kleru krakowskiego do głównej Szkoły Jagiellońskiej i wzajemną pomiędzy jednem i drugiem Zgromadzeniem filadelfię zawiązał, ten mąż dzielny, sam jako mistrz i profesor czynny czas dłuższy na katedrze teologicznego wydziału, pozostawał — jak to nie wszystkim może wiadomo — z domem Koperników w ścisłych i przyjacielskich stosunkach. Dochował się po dziś dzień pergaminowy oryginał attestu, wystawionego w Krakowie dnia 10-go marca 1469 r., podpisanego przez rzeczonego Jakóba Godziembę i jego pieczęcią

opatrzonego, mocą którego małżonkowie Mikołaj i Barbara Kopernikowie, wraz z własnemi ich dziećmi, zostają przyjęci do współuczestnictwa w modlitwach, postach i wszelkich zbożnych uczynkach t. zw. trzeciego (świeckiego) Zakonu św. Dominika*). Szczegół to wielce charakterystyczny, acz nie jedyny, świadczący zarówno o głęboko religijnym duchu, jaki panował w domu rodziców naszego przyszłego astronoma, jak niemniej i o tem trwałem przywiązaniu jego rodzica do Krakowa, nieosłabłem nawet po kilkunastoletniej już rozłące jego z tem miastem. Wszakże nie tylko w Krakowie byli Dominikanie, lecz także na miejscu, w Toruniu, gdzie przecież o wiele dogodniej byłoby tym bogobojnym małżonkom spełnić zbożny ich zamiar. — Rzecz omawiana tu, znana zresztą już dawniej, ma jednak drugie jeszcze oblicze. Że nasz uczony dominikanin, że Godziemba był Polakiem i nim się uczuwał, wiadomem było oddawna; wynika to z różnych okoliczności, z pośród których czysto polskie, bodaj czy nie szlacheckie nazwisko, najmniejszym zaiste jest rzeczy tej argumentem. Mniej natomiast jest znanem, a przez historyków naszych jak gdyby niespostrzeżonem, że ten to, niezwykły bądź co bądź mąż, poza swem prowincyalstwem, amboną i egzegezą teologiczną, poza nauczycielską działalnością na uniwersyteckiej katedrze, że mnich ten w poważnej dobie dziejów Prus i Polski, odegrał prócz tego także rolę polityczną, odprawił misyę niebłahą, wysoce patryotyczną, a osobiście dla siebie niezupełnie bezpieczną. Z krzyżackiego źródła historycznego dowiadujemy się mianowicie,**) że w październiku 1452 r. — a później to samo powtórnie — kanclerz w. koronny Jan Koniecpolski, w towarzystwie dwóch osób: nieznanego nam bliżej prepozyta krakowskiego i prowincyała polskiej prowincyi Dominikanów, przybył incognito „w nieznanym celu“ do Torunia, o czem komtur tamtejszy, węsząc w tem coś dla Zakonu niebezpiecznego, w. mistrzowi niezwłocznie donosi. Musiało zaniepokojenie owego komtura być znaczne, skoro po pierwszym liście sekretnym wysyła zaraz nazajutrz list drugi, a w dwa dni później jeszcze trzeci, z uzupełnieniem poprzednich relacyj wiadomością alarmującą, że w mieście i w kraju zanosi się na jakieś większe przewroty, że kanclerz polski, tudzież ów prepozyt, jakoteż przybyły wraz z nimi do miasta prowincyał Dominikanów polskich, konferują potajemnie z przywódcami oppozycyi i cichej roboty przeciwko władzy Zakonu, z Winterem,

*) Dosłowny tenor owego attestu, tudzież należące tu szczegóły podaję m. i. Hipler l. c. pag. 298, R***, Beiträge etc., p. 124, Polkowski, l. c. str. 95.

**) Toeppen, Acten der Ständetage Preussens, III. Nr. 247, 248 i 249; regest u Anatola Lewickiego, Index actorum etc., Nr. 2764, 2765 i 2766.

tudzież z obydwoma Bayzenami, z Gabryelem i z Mikołajem. Na tle ówczesnych wydarzeń politycznych wiadomości te są dziś dla nas doskonale zrozumiałe bez komentarza. Czyż bowiem potrzeba dowodzić, że przybycie — sekretne — kanclerza polskiego do już już rewoltującego się miasta pozostawało w najściślejszym związku z politycznemi wypadkami, zaszłemi w kilkanaście miesięcy później: z uroczystem — błagalnem — poselstwem Stanów pruskich do króla polskiego o przyłączenie napowrót „oderwanych niegdyś przemocą i zdradą“ ziem pruskich pod swoje berło, z pisemnem wypowiedzeniem posłuszeństwa w. mistrzowi Ludwikowi von Erlichshausen, wysłanem w imieniu wszystkich „ziem i miast“ pruskich, właśnie przez wspomnianych co dopiero Bayzenów, z rozpoczętemi wraz potem krokami wojennemi?... Jaka część w tej trudnej missyi toruńskiej przypadła w udziale naszemu Godziembie, to zapewne nigdy nie da się już rozświetlić z taką jaką pragnęlibyśmy dokładnością; lecz mniejsza o to. Wystarczy bowiem tutaj dla nas ta pewność, że w chwili tak jak owa następstwami brzemiennej, ten Polak w dominikańskim habicie, a przyjaciel rodziny Koperników, znajdował się na trudnym posterunku narodowym, tuż przy boku kanclerza polskiego, że w celu tym samym co i ten najpierwszy urzędnik królestwa, nie wahał się dobrowolnie leźć w paszczękę krzyżackiego tygrysa... Wspomnijmy, że z pośród miast pruskich i ziemi chełmińskiej, Elbląga, Gdańska, Tczewa, Malborga, Grudziądza... Toruń pierwszy chwycił wówczas za broń przeciwko znienawidzonemu ciemięzcy.

Takim był ów zakonnik, z którego rąk rodzice wielkiego astronoma przyjmowali niegdyś, dla siebie i dla swej dziatwy pasek św. Dominika jakoteż szkaplerz tercyarski. Porówno z innymi jeszcze wielkimi mężami ludzkości, z Dantem, Kolumbem, Raffaelem..., którzy należeli byli do trzeciego Zakonu św. Dominika, albo św. Franciszka, także i Mikołaj Kopernik, zaraz od najmłodszych swych lat, był więc tercyarzem i to kaznodziejskiego Zakonu: szczegół niedostatecznie uwydatniany przez świeższych nawet biografów mędrca frauenburskiego, a przez niektórych z nich zacierany rozmyślnie. Stygmatem tym, niemal sakramentalnym, naznaczył go mąż boży a patryota polski... I któż z nas może się dziwić sercom wierzącym, gdy znajdą to podobnem do prawdy, że wówczas to na dziecięciu tem spoczął ów, który jest „septiformis munere“, że z takich to rąk spłynęły nań, utwierdzone jakoby bierzmowaniem, najszlachetniejsze ludzkie uczucia: wierności, miłości i przywiązania do ziemi ojczystej.

Kiedy nasz przyszły astronom, w roku 1482, licząc niespełna dzie-

sięć lat życia, utracił ojca, nad wdową i sierotami objął opiekę rodzony brat jego matki, Łukasz Watzelrode młodszy, podówczas kanonik kujawski, gnieźnieński i frauenburski, a w siedm lat później biskup i pan udzielny warmiński. Niepospolita to i niemal posągowa postać w dziejach Kościoła, a bardziej jeszcze w politycznych sprawach wewnętrznych królestwa polskiego na przełomie dwóch wieków, mąż godny zaiste ze wszech miar, aby jemu samemu, bez związku nawet z wielkim jego siostrzeńcem, powołany historyk pióro swoje poświęcił. Nie myślimy bynajmniej kusić się tutaj o szkic takiego rysunku chociażby najpobieżniejszy, a poprzestaniemy na krótkiem zestawieniu ważniejszych wydarzeń w życiu tego księcia kościoła, tych zwłaszcza, które jakkolwiek zaważyły na wychowaniu i wpłynęły na przebieg życia genialnego jego siostrzeńca.*)

Uczeń uniwersytetów, nasamprzód krakowskiego, następnie kolońskiego, a wreszcie bolońskiego, opuszcza on tę starodawną uczelnię ze stopniem doktora dekretów, t. j. prawa kanonicznego, wykłada tam przez dwa półrocza, bawi czas jakiś w Rzymie zajęty w kuryi papiezkiej, a z końcem 1474 r. powraca do swej północnej ojczyzny. W latach bezpośrednio następnych przebywa krótkotrwale bądź w Chełmży, w Toruniu, bądź też w Łęczycy, gdzie obejmuje kanonię kollegiaty tamtejszej; niebawem, nie później jak pod koniec 1477 r., zostaje kanonikiem katedry kujawskiej w Włocławku. Z kanonii tej n i e zrezygnował nawet już po swej późniejszej promocyi na stolicę warmińską. Z dochowanych o nim, z tych lat i później, licznych wiadomości wynika, iż w osobie Zbigniewa Oleśnickiego (młodszego), podówczas jeszcze biskupa kujawskiego i podkanclerzego koronnego (od 1472 r.), a wkrótce potem Kallimachowego socyusza, miał kanonik Łukasz protektora wielce życzliwego, że m. i. znajdował się on razem z nim na sejmie pruskim w Grudządzu, zwołanym na koniec marca 1478 r. przez Zbigniewa, jako przez królewskiego namiestnika Prus, celem odebrania przysięgi na wierność królowi od nowych jego poddanych itp. Blizkie pomiędzy nimi stosunki zacieśniły się jeszcze bardziej, gdy Oleśnicki (młodszy) z biskupa kujawskiego posunął się był (w 1482 r.) na arcybiskupstwo gnieznieńskie. Odtąd — jak to z aktów kapitulnych wykazał nieodżałowany X. Korytkowski — jest nasz Łukasz

*) Wskazówki źródłowe do obszernej już dziś literatury historycznej o biskupie Łukaszu znaleźć można m. i. u Hiplera l. c., 315—319, u Polkowskiego l. c., str. 76 i nast., a wreszcie w wydawnictwach histor. Towarzystwa warmińskiego, wyd. przez Eichhorna i jego następców. — Autor niniejszego artykułu zebrał i ogłosił dość liczne, nieznane wpierw wiadomości odnoszące się do tej samej osobistości. Zob. naszą książkę p. t. Mikołaj Kopernik, Część pierwsza, Studya i materyały biograficzne, Kraków 1900, na kilku miejscach.

jako prawny doradca i t. zw. iudex surrogatus prawie że nieodstępnym towarzyszem prymasa, w Gnieźnie, Żninie, w Opatówku, w Skierniewicach i wszędzie indziej. Z aktów kapituły kujawskiej wiemy, że przynajmniej w latach 1478—1485 i 1488 miał on stałą rezydencyę przy katedrze we Włocławku. Szczegół ten, acz drobny, nie jest mimoto dla nas błahym, skoro wespół z kilku innymi zaświadcza, że kanonik Łukasz zaraz po śmierci swego szwagra Mikołaja Kopernika starszego († 1482) zabrał był obydwóch osierociałych siostrzanów swych, a równocześnie pupilów, 10-cio letniego Mikołaja i małoco starszego odeń Andrzeja, do siebie, do Włocławka, że więc najlepszą reputacyą, i przedtem i potem, ciesząca się katedralna Szkoła kujawska była tą, w której nasz przyszły astronom przysposabiał się do wstąpienia (w 1491 r.) na uniwersytet krakowski.

Przebiegnijmy szybko inne jeszcze, chronologicznie najbliższe szczegóły, odnoszące się do Łukasza. W 1479 r. zostaje on kanonikiem warmińskim, w lipcu tego to roku jest obecny, jako doktor praw i delegat jednej z kapituł, na sejmie w Piotrkowie, gdzie widzi, jak biskup warmiński Mikołaj Tungen, podżegany wpierw przeciw królowi naraz z dwóch stron — przez w. mistrza Marcina Truchsesa i przez króla węgierskiego Macieja — ostatecznie się upokarza i zyskuje przebaczenie królewskie. W 1485 r. bierze Łukasz, jako pełnomocny wysłannik kapituły kujawskiej, czynny udział w prowincyonalnym synodzie również w Piotrkowie, a tego samego roku, d. 28 kwietnia, zostaje kanonikiem przy archikatedrze gnieźnieńskiej i jako patrimonium otrzymuje wieś Braciszewo w pobliżu Gniezna leżącą. Następnego zaraz dnia przedstawia on zgromadzonej kapitule kosztowne dary króla Kazimierza dla archikatedry gnieźnieńskiej, co samo, chociażby nawet innych wskazówek nie było, byłoby dostatecznem świadectwem, że kanonik Łukasz już o te czasy nie był obcym dworowi polskiemu. W Gnieźnie bywał dość rzadko, przesiadując bądź to w Włocławku, bądź też w Wolborzu i w Frauenburgu; ostatni raz jest w Gnieźnie d. 17 marca 1487 r., a w cztery tygodnie później, w samą W. Sobotę d. 14 kwietnia 1487 r., przyjmuje, z rąk prymasa Zbigniewa, święcenia kapłańskie w skierniewickiej kaplicy pałacowej. Z kanonii gnieźnieńskiej zrezygnował w 1490 r., już po konsekracyi swej na biskupa warmińskiego. Jako agent kapituły frauenburskiej bawi Łukasz Watzelrode, wraz z drugim jeszcze jej kanonikiem, od jesieni 1488 roku w Rzymie: tutaj dochodzi go wiadomość o śmierci biskupa Mikołaja Tungena i o tem, że — w pięć dni później, d. 19 lutego 1489 r. — kapituła wybrała go swoim biskupem. Prekonizowany przez Inno-

centego VIII brewem z d. 18 maja t. r., przyjął Łukasz w Rzymie sakrę biskupią, pospieszył zaraz do ojczyzny i już d. 22 lipca t. r. mógł odprawić uroczysty ingres do swojej katedry.

Że zatrzymaliśmy się, może nazbyt długo, przy tych to szczegółach z pierwszej połowy życia biskupa, — niech nam czytelnik wybaczyć raczy. Nie mogliśmy się jednak odważyć pójść śladem niektórych nowszych Kopernika biografów, którzy o całym tym okresie życia Łukasza Watzelrode młodszego, a w szczególności o rezydencyi jego w stolicy Kujaw Włocławku, o sprowadzeniu tam obydwóch siostrzeńców, o jego tak ścisłych z arcybiskupem Zbigniewem stosunkach itp. niedogodnych dla swej tendencyi faktach, głębokie zachowali milczenie. Nie widzimy przyczyny, dla której szczegóły takie np. jak ten, że rodzony wuj, opiekun i dobrodziej Mikołaja Kopernika utrzymywał ścisłe stosunki przyjaźni z polskim prymasem itp., należałoby przed światem wstydliwie ukrywać...

Po za tem ograniczmy się jednak już tylko do najogólniejszej charakterystyki biskupa Łukasza. Był to człowiek posiadający niezwykłe zdolności polityczne, zręczny i przewidujący kierownik spraw zarówno świeckich jak i duchownych, znawca ludzi i bystry spostrzegacz. Nienawistne mu pióro kronikarza Zakonu krzyżackiego przedstawia go jako postać surową, na której ustach rzekomo nigdy uśmiech nie spoczął. Była w tem może i jakaś drobna część prawdy. Małomowny i w sobie zamknięty, co bywa zresztą jedną z zalet polityków przezornych, niemiał on ponoś daru pozyskiwania ludzi, łatwego jednania sobie ich przychylności. Zarówno jednak jako biskup i jako pan udzielny warmiński, jako senator królestwa polskiego i najzaufańszy doradca trzech po kolei królów: Olbrachta, Aleksandra i Zygmunta, spoił on Warmię ściślejszym węzłem z Polską, podniósł wysoko znaczenie tego księztwa, zaprowadził w niem ład przez dzielną administracyę i przez wytrwałe przeprowadzanie swoich zamiarów. Że w nich także i jego własna ambicya, a może także i chęć rozszerzenia świeckiej władzy książąt-biskupów, nie najmniejszą odgrywała rolę, wydaje się podobnem do prawdy.

Działalność jego w ciągu ćwierćwiekowych niemal rządów, była skierowaną głównie do wprowadzenia ładu w rozluźnionych stosunkach duchowieństwa swej dyecezyi, tudzież do wyjaśnienia stanowiska prawnopaństwowego Warmii, będącej oddawna kością niezgody pomiędzy Polską a Krzyżakami. Jasno widział to biskup, iż w dyecezyi swej tak długo nie przywróci spokoju, dopóki będzie miał pod bokiem zaborczy i chytry Zakon niemiecki. Rola tego dziwotwora średnio-

wiecznego była już dawno skończona: w końcu XV-go wieku nie było już kogo w tamtych stronach „nawracać“ na chrystyanizm, czy ewangelią, czy nawet — po krzyżacku — orężem. Był więc już wielki czas, ażeby ta osobliwsza kongregacya zakonna, spełniając resztę swych ślubów, przybrała regułę innych zakonów duchownych, ażeby w. mistrz, komtury i bracia zakonni pozostali nadal już tylko przy brewiarzach i przy różańcu, jeżeli miała wogóle istnieć jakaś racya dalszej ich egzystencyi na ziemi pruskiej, oddawna już chrześcijańskiej. W przeciwnym razie należałoby pomyśleć o tem, aby Zakon ten przenieść na jakieś inne terytoryum, gdzie mógłby znaleźć właściwe sobie pole działania, czy to znów „nawracania“ mieczem niewiernych, czy też wogóle odpierania wrogów Kościoła. Tych zaś nie brakło pod ten czas i to nieporównanie groźniejszych, aniżeli mogli nimi być pogańscy Prusacy XIII-go stulecia: Osmanie, będący natenczas postrachem całej chrześcijańskiej Europy. Przewodnia myśl wszystkich niemal papieżów drugiej połowy XV-go wieku, Kaliksta III-go, Piusa II, Sykstusa IV, Innocentego VIII, to wielka krucyata przeciwko Turkom, zagrażającym zalewem swym wszystkim chrześcijańskim monarchiom, wciskającym się, po zdobyciu Bizancyum, już w dzierżawy węgierskie i w sąsiednią Podolu Mołdawię, a niepokojącym — za Aleksandra VI-go — już nawet Illiryę, Friul i posiadłości weneckie.

W tej porze groźnego niebezpieczeństwa, w pierwszych latach panowania Jana Olbrachta, wystąpił biskup Łukasz z projektem, ażeby Zakon krzyżacki przenieść na sąsiadujące z Mołdawią Podole, gdzie jako przedmurze chrześcijaństwa przeciwko Turczynowi, mógłby w ten sposób spełniać właściwe swe posłannictwo. Wśród aktualnego, a wzbudzającego poważne obawy położenia państw środkowej Europy, był to projekt wielce rozumny, świadczący zarazem o bystrym i przewidującym zmyśle politycznym warmińskiego biskupa. Ileż to klęsk i nieszczęść byłoby oszczędzonych chrześcijaństwu, ziemiom węgierskiej, polskiej i pruskiej, gdyby ten projekt wówczas wykonano!...

Bezskuteczne były jednak te zamysły biskupa, daleko sięgającego wzrokiem politycznym. Pomimo, że już stolica Apostolska była dla myśli tej pozyskaną przez śmiałego w planach króla polskiego, a była również nadzieja zjednania dla niej także i cesarza za pośrednictwem szwagra Olbrachtowego, margrabiego brandenburskiego, projekt ten został udaremniony zabiegami Krzyżaków. Widziano w nim z oburzeniem jedynie środek użyty przez nienawistnego sobie biskupa, do pozbycia się ich sąsiedztwa z ziemi, którą uważali za swoją własność

wpierw, zanim nawet ją jeszcze ujrzeli... Wszak 270 lat temu wielki mistrz Herman Salza, choć zrazu zdumiony naiwnością zaprosin ich przez Konrada Mazowieckiego na ziemię chełmińską, rychło ochłonął z zadziwienia, skoro wysełając tam, wiosną 1228 r., „brata“ Hermana Balka na tamtych ziem mistrza, przemówił do niego słowami Jehowy do Jozuego zwróconemi: „Zbierz męstwo twoje i bądź obrotnym, ty bowiem wprowadzisz Izraela, to jest brać twoją, do ziemi, którą Pan im przyobiecał, a Bóg będzie z tobą“. I z tej to ziemi, którą posiedli w swem rozumieniu na własność prawem zdobywcy, a gdzie tak dobrze im było, mieliby się wynosić! cała ta suma więcej niż dwuwiekowych zabiegów, podstępnych knowań miałażby pójść na marne! Usuwanie się stopniowe z pod ich nóg ziemi pruskiej, począwszy od klęski grunwaldzkiej aż do pokoju toruńskiego w 1466 r., miałożby znaleźć teraz epilog w wydaleniu Zakonu i to gdzie?... gdzieś tam aż na Podole i to za sprawą bezpośredniego następcy Tungena na stolicy warmińskiej, następcy tego najwierniejszego ich sprzymierzeńca?... Tego już było za wiele. Dawniejsza podejrzliwość i niechęć, żywione samemi już wspomnieniami na Watzelrodów nie tak dawnej przeszłości, świeżo zaś tem, że energiczny biskup nie ścierpiał, aby w. mistrz miał mu się wtrącać w sprawy warmińskie, że wpływ jego i znaczenie wzrastały na dworze krakowskim..., zamieniły się w otwartą przeciw niemu nienawiść, odkąd wszem wobec jawnem się stało, kto jest autorem projektu, kwestyonującego najoczywiściej dalszą egzystencyę Zakonu.

Nie wiemy dzisiaj, czy to pod wpływem wynikłych ztąd złości bezsilnej i przerażenia, czyli też może przy innej sposobności, dostały się wujowi Kopernika te słowa zelżywe od „braci“ Zakonu teutońskiego, mianujące go „wielkim zdrajcą, pochodzącym z rodu najbardziej zawziętego na Zakon i wcielonym djabłem, gotowym do wszelkich czynów najniegodziwszych“, które kronikarz krzyżacki zanotował skwapliwie i zaraz dodał, że brać zakonna modli się „codziennie“ o to do Pana Boga, ażeby tego wcielonego szatana raczył z tego świata zabrać co prędzej“, ... „Vellet Deus, ut hic carneus diabolus, quod in dies a Deo postulamus, e medio sublatus esset, ne si diutius viveret, plura mala adiuveniret“.

Nie wiemy..., gdyż także i później nie zabrakło było wielorakich sposobności do wylewu potoków jadu i nienawiści, przynajmniej słowami, na tego mężnego księcia Kościoła. I tak, że pominiemy inne, zanosiło się później na wypuszczenie Prus Zachodnich i Warmii w dzierżawę Zakonowi i to za pokaźnym, obiecywanym — teore-

tycznie — przez w. mistrza czynszem dzierżawnym, na co się już już miano zgodzić na dworze krakowskim. Wymowne i energiczne wystąpienie biskupa Łukasza, na zjeździe poznańskim w 1510 r., przeciwko podstępnym tym propozycyom, odwiodły króla Zygmunta i Stany od tego zamiaru, a tak pokrzyżowawszy znów plany krzyżackie, ściągnęło nowe „braci zakonnej“ gromy na nieustraszonego biskupa.

Takim był nieodrodny syn tych Watzelrodów, co pod Malborgiem i pod Łaszynem, za swoją i polską sprawę niegdyś walczyli, rodzony wuj Kopernika, jego opiekun i dobroczyńca, żywy przykład i mentor. „Tribus successive regibus Poloniae, Alberto, Alexandro et Sigismundo totique Regno Poloniae acceptissimus...“, mówi o nim, w niewiele tygodni po jego śmierci, Paweł Deusterwald, pierwszy jego biograf. Nie dziwno nam to usłyszeć o mężu, którego ci trzej po kolei Jagiellonowie, w dochowanych do dziś dnia swych listach, zowią „najdzielniejszą podporą swojej dynastyi, najwierniejszym obywatelem królestwa....“*)

*

Na tem moglibyśmy już niemal te nasze wspomnienia zakończyć. Kopernik, a Zakon krzyżacki!... Najszlachetniejsza — ostatnia — latorośl tych samych Koperników i Watzelrodów, wielki astronom był i pozostał całe swe życie wiernym, tych samych co u nich myśli i zasad, tych samych uczuć i pragnień, wyznawcą i spadkobiercą. Rozumiemy teraz dobrze, zkąd to się wzięło owe upamiętnione najpierw u Starowolskiego „...Et vivens quidem Theutonicorum Cruciferorum Magistrum Copernicus inimicum sensit...“ Nienawiść w. mistrzów i całego Zakonu krzyżackiego do ojców, przodków, spadała więc, spaść musiała, jakoby prawem dziedzictwa, także na syny, siostrzany, wnuki... Rozdmuchiwały żar jej jeszcze bardziej śmiałe wielkiego męża czyny, już nie naukowe, ale społeczne, obywatelskie, wszystkie nacechowane wielką miłością prawdy, odwagą cywilną i przywiązaniem do Polski niemniej gorącem, jak i do szczuplejszej swej ziemi rodzinnej.

Wychylają się przed nami w tej chwili różne wspomnienia z pomrocza wieków ubiegłych. Widzimy oto najpierw kilkunastoletnie pacholę, na którem już wcześnie spoczął duch boży, w katedralnej szkole „kanoników włocławskich“, potem czteroletnie studya genial-

---

*) Zob. Acta Tomiciana, wyd. staraniem Tytusa hr. Działyńskiego, tom I-szy. Listy o których tu mowa wydane zostały z oryginałów.

nego młodzieńca w krakowskiej Jagiellonów uczelni, patrzymy na te ścisłe i długotrwałe związki przyjaźni, jakie tu zawarł z rówieśnikiem swym Bernardem Wapowskim. Nastąpiły wędrówki po dalekiej obczyźnie, studya prawnicze w Bolonii, pobyt w Rzymie w jubileuszowym roku 1500, wpis do matrykuły nacyi polskiej w Padwie i kilkuletnie tam studya lekarskie, doktorat w Ferrarze, powrót przez Alpy na północ do Warmii, a w przelocie powtórny pobyt w Krakowie 30-to letniego już tymczasem mężczyzny. Odtąd powiernik najtajniejszych zamiarów wuja-biskupa, jego sekretarz i lekarz przyboczny, towarzysz częstych jego podróży na różne sejmiki i zjazdy, w Malborgu, Sztumie, Elblągu, w Poznaniu... Tak, w Poznaniu, na św. Jan 1510 r., na ów zjazd, który jak wiemy miał rozpętać całą nienawiść Zakonu do biskupa i do stojącego przy nim „jako Achates wiernie przy Eneaszu“, *) jego siostrzeńca.

Nadszedł jednak wiek męzki... wiek klęski. Niecierpliwie z tamtej strony wyczekiwana, niemal tragiczna śmierć biskupa Łukasza († 1512) wyrwała nagle zaporę wzniesioną patryotyzmem, rozumem i energią zmarłego, przeciwko naporowi lutrzącego się już niebawem krzyżactwa, na Warmię, wierną Polsce i katolicką. Ten, o którego śmierć jak najrychlejszą modliła się „codziennie“ pobożna brać krzyżacka, biskup Łukasz Watzelrode już nie żył.

Ciężkie nastały czasy dla nieszczęśliwej krainy. Rozsypały się najpierw po Warmii liczne bandy rozbójnicze zorganizowane przez Zakon i całkiem otwarcie przezeń wspierane: bierze w nich udział także „brać zakonna“, częstokroć właśnie im przewodnicząc. Przez siedm lat z górą grasują one bezkarnie znacząc swoje wyprawy mordami, pożogą i łupieztwami. W tych niewesołych czasach (1516—1520) wyprzedzających kilku latami wybuch samejże wojny i później jeszcze, jest Kopernik administratorem dóbr kapitulnych i rezyduje stale w inkastellowanym Olsztynku. Z tych to lat, z października 1518 r. datuje się ów wielce znamienny jego list do kapituły warmińskiej, w którym jej doradza przezorną odpowiedź na list w. mistrza pisany w imieniu całego Zakonu, aby uniknąć przewrotnej i obłudnej z ich strony interpretacyi „...domino Magistro Ordini responsum... quo magis perversa illorum interpretatio et cavillosa precludatur“, a donosząc pod koniec nowinę polityczną, że toczone w tajemnicy układy w. mistrza z Moskwą schizmatycką o alians przeciwko Polsce, rozbiły się ostatecznie

*) Temi kilku wyrazami określił był wzajemny stosunek biskupa Łukasza i Kopernika bawiący r. 1508 w Warmii Wawrzyniec Korwin, znany humanista z Środy na Śląsku, niegdyś uczeń uniwersytetu w Krakowie i tam, nieco starszy naszego astronoma kolega.

wskutek przymierza króla z w. księciem moskiewskim, dodaje z nietajonem zadowoleniem: „Tak więc runęła wszystka nadzieja naszych sąsiadów“. *) Bez jakiegokolwiek wypowiedzenia wojny zostaje Braniewo (Brunsberga) przez w. mistrza zdradą zajęte i zrabowane, w sam Nowy Rok 1520, a zanim jeszcze zdołano ochłonąć z przerażenia, Frauenburg, serce Warmii, dobyty, złupiony, spalony, a kanonicy porozpędzani. Niektórzy z nich w Elblągu, inni aż w Gdańsku szukali schronienia, poczem całą już Warmię zalało krzyżactwo. Jedynie obronny zamek w Olsztynku (Allenstein) oparł się wówczas przemocy i podstępowi drapieżcy, a komendantem — w pełnem znaczeniu tego wyrazu — tej jedynej twierdzy warmińskiej, był — należy to wiedzieć — kanonik Mikołaj Kopernik.**)

Po roku wojny prowadzonej z obydwóch stron zacięcie choć opieszale, znaczącej się zgliszczami, łupieztwy i pospolitymi mordami, a zresztą drobnemi tylko utarczkami, zawarto rozejm z końcem lutego 1521 r. Jak tyle razy przedtem, tak i tym razem, wiarołomny Zakon nie dotrzymał swych zobowiązań, lecz owszem, jakgdyby żadnej zaprzysiężonej umowy nigdy nie było, siał w ciągu dalszym spustoszenia na zajętem przez się terytoryum warmińskiem. Wówczas to, wiosną 1521 r., z dorady Kopernika, wystąpiła kapituła na sejmie w Grudziądzu, wobec delegatów króla, z uroczystą skargą na w. mistrza i jego Zakon, przeciwko tak oczywistemu pogwałceniu praw wiary i uczciwości rycerskiej, a ciężkie swe krzywdy w dziesięciu punktach skargi szczegółowo uzasadniła. Jest to owa słynna, tutaj już raz wspomniana: Querela Capituli Warmiensis contra Magistrum Albertum et eius Ordinem super iniuriis irrogatis a. 1521 sub induciis belli, której oryginał własnoręcznie przez wielkiego astronoma napisany, po dziś dzień dotrwał. A kiedy znowu w rok potem, na pruskim sejmiku r. 1522 także w Grudziądzu, debatowano nad sposobami poprawy monety pruskiej, spodlonej do ostateczności wielką mnogością falsyfikatów, wybijanych z najlichszego aliażu — zamiast srebra — w królewieckiej mennicy w. mistrza, wystąpił obecny na tym sejmiku Kopernik z tym swoim arcyciekawym traktatem, czy memoryałem o środkach do jej poprawy niezbędnych, który, z uwagi na bystrość znajdujących się tam spostrzeżeń i pomysłów, oraz na odległą, w jakiej powstał, epokę, wzbudza podziw dzi-

*) „Sic corruitur tota nostrorum vicinorum fiducia“.

**) Zob. w tej mierze regesta u Hiplera l. c. pag. 272 i nast., zwłaszcza w 30, 48, 51, dalej dwa listy Jana Skulteta do Kopernika (z r. 1520) tamże, pag. 334—343, także u Polkowskiego, Żywot itd., str. 180 i nast.

siejszych jeszcze ekonomistów... Podówczas jednak, co prawda, u jednej, dobrze nam znanej, części obecnych na owym sejmiku, traktat ten wcale odmienne, od naszych dziś, wzbudził uczucia i myśli. W projekcie swym, pomiędzy środkami zamierzonej poprawy żąda Kopernik bezzwłocznego zamknięcia królewieckiej mennicy, tej kuźni monety oszukańczej... Zaprawdę nie można się dziwić, iż tak trudno było w. mistrzowi, chociażby nawet był tego chciał, zapomnieć, że biegły w sztuce gwiaździarskiej kanonik warmiński jest rodzonym siostrzeńcem biskupa Łukasza, tego „najzaciętszego wroga Zakonu krzyżackiego". Zanadto bo też często przypominał mu o tem sam kanonik Mikołaj!...

Ale dość już tych szczegółów, dosyć, może aż nazbyt...

*

Oryginalny akt z r. 1516, którego podobiznę obok widzimy, jest autografem Kopernika i jako „koncept" duchową jego własnością. Jest to w brulionie list do króla Zygmunta, skomponowany przez wielkiego astronoma, gdzieniegdzie przezeń własnoręcznie poprawiany, a zwrócony do monarchy w imieniu całej kapituły warmińskiej. Był bowiem Kopernik, zresztą nietylko w owym to roku, lecz także czas dłuższy i przedtem i potem, kanclerzem („Cancellarius") kapituły, jak na to mnogie mamy dowody: ta okoliczność, wspólnie z treścią aktu, a wreszcie z duktem jego ręki i z jakością wiązania liter, znanemi dziś doskonale w szczegółach najdrobniejszych, wyklucza możność jakiejkolwiek w tej mierze pomyłki.

Osnowa tego dłuższego listu pozostaje w ścisłym związku z owoczesnemi wydarzeniami, jak je powyżej naszkicowaliśmy w rysach najpobieżniejszych. Jest to ciężka żałoba na sprawców tych nieustannych napadów rozbójniczych, dokonywanych przez złoczyńców, naprowadzanych od siedmiu lat przez Zakon na Warmię, a siejących dokoła „igne et ferro" śmierć, zgliszcza i spustoszenie. Z godnością, a zarazem w wyrazach pełnych przywiązania i czci dla majestatu królewskiego roztacza kapituła przed monarchą swe skargi, bóle i żale na owych „praedones, latrones et homines scelerati" — łupieżców, zbójców i zbrodniarzy — wyraża obawę, że wkrótce może oni sami „bezbronni, których zajęciem ma być modlitwa, nie oręż", wydani zostaną na pastwę owych złoczyńców, skargi swe illustruje świeżo zaszłymi faktami, komtura z Balgi i samego nawet „dostojnego" w. mistrza („illustris dominus magister") przytem nie oszczędzając, a wreszcie gorąco i kornie uprasza o wzięcie w obronę zawsze wier-

nych królowi tamtejszych poddanych i o wydobycie nieszczęsnej krainy z ciężkiej niedoli. Co nas w tem piśmie także uderza, to śmiałość niezwykła, z jaką list, na dwóch miejscach, opowiada o moralnym sprawcy owych rozbojów, o w. mistrzu Albercie. Kompozytor tego pisma, kanonik Mikołaj, miał przed sobą, to pewna, niełatwe zadanie. Z jednej strony miał obowiązek prawdę napisać, zanieść przed tron energiczną żałobę i protest, z drugiej zaś, majestatu królewskiego nie mógł i nie chciał urazić. Wszak w. mistrz Albert, był, bądź co bądź, rodzonym Zygmunta siostrzeńcem!...

*

Drobny to rozmiarami i niepokaźny ten półarkusz pożółkłego papieru w archiwum sztokholmskiem, pokryty pismem jednego z największych geniuszów ludzkości. A jednak, ileż to wspomnień wzbudza on w nas, ile refleksyj, jakże dziś dla nas wymowny! Prawda..., zapominamy, że nawet kamienie umieją czasem przemówić.

Wywołane nim, stają przed nami różne widziadła... obrazy dawno minionej przeszłości. Siedmiowiekowy niemal dramat dziejowy, którego pierwszy akt sięga czasów wyłudzenia ziemi chełmińskiej przez Zakon na mazowieckiem książęciu; następne rozgrywają się na pełnych chwały polach Grunwaldu, opowiadają o błagalnem tych Bayzenów, Jordanów i Watzelrodów...... poselstwie, o dobrowolnej inkorporacyi „ziem i miast“ pruskich do Polski, w ślad za tem tyloletnia walka z krzyżactwem, pokój toruński, hołd r. 1525 na rynku krakowskim i jeszcze dalej, dalej..., aż po te narodu w ostatnich wiekach nieszczęścia, co dramat ów zamieniły w tragedyę, aż po te otwarte jego rany i bóle w dobie dzisiejszej. Znojna i udręczona tem widowiskiem posępnem: tylowiekowych zapasów cnoty z występkiem, prawdy z nieprawdą, światła z ciemnością... myśl nasza szuka dla się jakiejś ostoi i pokrzepienia, a zapatrzona w przeszłość, z omdlewającą już niemal wiarą, zapytuje trwożliwie geniusza przyszłości: Czyż... podobna, aby to co dziś, miało być już ostatnim aktem owej sceneryi dziejowej?...

Wywołane zaklęciem serc naszych stają przed nami i przemawiają cienie wielkich mężów i niewiast narodowej przeszłości... Usłyszy, kto się uważnie w jej szepty wsłucha, więcej niżli jeden głos... Chór dawno zmarłych a nieśmiertelnych geniuszem i cnotą tych bożych wybrańców, którzy, jak ten oto! genialny myśliciel warmiński, syn wierny Kościoła i Polski, wielki jej obywatel Mikołaj Kopernik, żyli „w duchu i w prawdzie“, usłyszy zbawczą odpowiedź: „Et veritas liberabit vos“.

LUDWIK BIRKENMAJER

Historya medalami zaświadczona.

(Odbitka z Dziennika Poznańskiego Nr. 209 z dnia 13 września 1872 r.).

W dniu, w którym tryumfujące Niemcy obchodzą uroczyście czyn napiętnowany przez uczonych mężów, z ich nawet narodu, „mianem zbrodni" — godzi się stawić przed oczy historyę medalami zaświadczoną, tryumfu pruskiego narodu, z powodu zgniecenia jarzma Niemieckiego Zakonu.

Działo się to roku 1454, a w dwa wieki potem miasto Gdańsk i w trzecie stulecie, to samo miasto i miasto Toruń biły jubileuszowe medale, przypominające męztwo Prusaków, wypędzenie Niemców z ziem pruskich, i wdzięczność narodu, za błogosławione rządy polskie.

Historyi medali nie będziemy powtarzać (tylekroć przypominaliśmy ją w piśmie naszem), bo powody dla których miasta: Gdańsk i Toruń z własnego poczucia biły medale owe, już znane są wszystkim dokładnie.

Te cztery medale — to spiżowa pamiątka zrzucenia z siebie żelaznego jarzma Krzyżaków, uwolnienia się z pod panowania Niemieckiego Zakonu w pamiętnej nocy 6 lutego 1454 roku, monumentalne nakoniec wyznanie dobrodziejstw, jakich naród ziem pruskich wogóle, a miasta Gdańsk i Toruń w szczególe doznawały obficie pod błogosławionemi rządami polskiemi.

Oto przyczyny dobrowolnych oświadczeń, przekazanych potomności w wiecznotrwałych pamiątkach.

Pierwszy medal biło miasto Gdańsk w roku 1654. Dwa drugie biło miasto Toruń na pamiątkę trzechsetnego jubileuszu wydobycia się z pod tyrańskich rządów Teutonów. Średni największy medal miasto Gdańsk wybić rozkazało na tęż pamiątkę 1754 roku.

Opis medalu pierwszego:

Strona główna. Orzeł polski w koronie z rozpostartemi skrzydłami unosi się w obłokach, trzymając w szponie lewym berło, nad orłem w promieniach po hebrajsku imię Jechowy יהוה, pod orłem napis PRUSSIA. Poniżej

tego napisu drugi orzeł jako herb ziem pruskich, stojący na podstawie, z koroną na szyi i mieczem w górę wzniesionym *), w dali za orłem rozległa równina z miastami, zamkami, rzekami, pod podstawą orła krzyż rycerski, na podstawie głoski I. H. oznaczające ksylografa Jana Höhn, który rył ten medal. W otoku napis:

TEUTONICOS - PEPULIT - VIRTUS - PRUTENICA: PULCHRUM NUMINIS
ET REGIS CURA TUETUR OPUS †

Męztwo Prussów wypędziło Krzyżaków, Boga i Króla staraniem to piękne dzieło wzięte pod opiekę. Strona odwrotna: Herb miasta Gdańska, potem w dwunastu wierszach napis:

GEDANI
ANNOS - ANTE - DUCENTOS
SUB - AUGUSTIS D[omini] CASIMIRI
AUSPICIIS - UNIVERSA - PROPE
CUM - PRUSSIA - AB - INFANDA
CRUCIGEROR[um] TYRANNIDE - LIBE
RATAE. TERTIUM LIBERTATIS
SUAE - SECULUM - REGNANTE
JOANNE CASIMIRO
FELICITER INCHOANTIS
MEMORIA
AN. CIƆIƆCLIV.

Znaczy po polsku: Pamiątka miasta Gdańska. Pod błogiem panowaniem króla Kazimierza [Jagiellończyka] całe Prusy od niegodziwego Krzyżaków tyraństwa oswobodzone, pod panowaniem Jana Kazimierza, trzeci wiek zaczynającej się wolności swojej, szczęśliwie roku 1654 [obchodzą].

Medal ten dnia 6 marca 1654 roku po uroczystej mowie Jana Piotra Titiusa, profesora gimnazyum gdańskiego, rozdany był pomiędzy senatorów i znakomitych obywateli miasta Gdańska przez burmistrza gdańskiego Gerarda Bartsz, a wspomniany wyżej Titius, w mowie swej powiedzianej w dwóchsetletnią uroczystość zniesienia tyranii Zakonu krzyżackiego z ziemi pruskiej — i zaczęcia trzeciego wolności wieku, pod szczęśliwem królów panowaniem **), tak się wyraża:

„I otóż dzień, którego uroczystość radośnie dzisiaj obchodzimy, dziękując Bogu Wszechmocnemu za łaskę Jego niezmierzoną i żadnym nie wypowiedzianą językiem. Oto dzień, który po dwóch wieków upływie wróciwszy

*) Korona na szyi oznaczała hołdownictwo Prus Polsce, miecz w górę wzniesiony przypominał powstanie ziem pruskich przeciwko jarzmu Krzyżaków,

**) Excerpta ex Io. Petr. Titi oratione seculari de Prussia seculum sublata Cruciferorum Tyrannide, Libertatis, sub Augustissimis Polonorum Regibus tertium ordiente Gedani in folio 1654, także Acta Borussica II pap 147—202.

znowu, w szczęściu zastaje przesławną koronę Polską, w szczęściu którego jej zawziętość nieprzyjaciół tak mocno zazdrościła. Otóż dzień, który nam dał wszelkie prawa, wolności i przywileje mieszkańców królestwa polskiego, w którym nam porówno z Polakami pozwolono królów obierać i koronować, który nam zachował, zatwierdził, pomnożył swobody, prawa i przywileje i nadania od książąt duchownych, świeckich królów i panów uzyskane. Otóż dzień, w którym uwolniono nas od ceł hańbiących i podatków, i niezliczonemi innemi uszczęśliwiono dobrodziejstwy...

O szczęśliwy Monarcho Kazimierzu Jagiellończyku, wyryłeś na zawsze na wieki wdzięczną pamięć w sercach potomnych — Twoim orężem zgaszono płomień niszczących wojen — a cudem wszechmocnego Boga stworzone niejako znowu Prusy, pod skrzydłami orlemi wśród ciągłego pokoju mile wypoczywając i odradzając się, rany swe goić zaczęły".

Dalszych objaśnień medal ten nie potrzebuje, rylcem bowiem wyryta na nim nienawiść miasta Gdańska do minionych przed dwustu laty tyrańskich rządów Niemców Krzyżaków — sumiennie tu wyznana szczęśliwość mieszkańców pod rządem polskim *).

Drugi medal przedstawia na stronie głównej: Widok zamku Malborskiego, z którego wyjeżdża sześciu rycerzy na koniach, tym zastępuje drogę herold, który zsiadłszy z konia, wręcza pierwszemu z jeźdźców pismo — napis w otoku taki: PRUSSICI FOEDERIS EXECUTIO PER FECIALEM DENUNCIATA MARIEBURGI AC. 1454 D. 6 FEBR. Pruskiego związku manifest doręczony przez herolda w Malborgu 6 lutego 1454.

Na stronie odwrotnej: Widok miasta Torunia z palącym się zamkiem, w otoku napis: TER CENTUM ANTE ANNOS CRUCIATA THORUNIA NOCTE EXCUSSO EXULTAT LIBERA FACTA IUGO. Przed trzystu laty udręczony Toruń w nocy zrzuciwszy jarzmo oswobodzony cieszy się wolnością.

Trzeci medal odmiennego stempla, ale z temi samemi napisami, widok Malborga różny od poprzedniego. Wyjeżdżający rycerze pędzą na koniach, przy których biegną charty, herold zastępuje im drogę i wręcza pisma Wielkiemu Mistrzowi. Strona odwrotna ten sam napis jak na poprzednim medalu. Widok tylko palącego się Torunia odmienny **).

Objaśnień do tych obu medali nie dajemy, same się one dokładnie objaśniają, a miasto Toruń wybijając one w trzechsetną rocznicę zniesienia ja-

---

*) Oryginał tego medalu w złocie wagi gr. 15 średnicy 55 millim. znajduje się w zbiorze numizmatycznym gimnazyum gdańskiego, w srebrze i bronzie jest w zbiorze hr. Skórzewskiego. Opisany przez Vossberga: Danziger Münzen No. 933. Sztychowany i opisany w medalach Raczyńskiego No. 136.

**) Medal ten srebrny wagi łótów $2^7/_{10}$ średnicy 53 millim. znajduje się w zbiorze numizmatycznym hr. Czarneckiego. Opisany u Vossberga No. 429, u Raczyńskiego No. 410.

rzma Krzyżaków, temi samemi powodowało się uczuciami, co miasto Gdańsk, bijąc jednocześnie następujący, który opiszemy, medal.

Ten największy i ostatni medal przedstawia na stronie głównej widok miasta Gdańska w dali, na pierwszym zaś planie orzeł polski i orzeł ziem pruskich, dwa te orły łamią szponami krzyż Kawalerów niemieckich, w otoku napis: CRUX EQUITUM EXCRUCIAT PRUSSOS. PRUTENA POLONA HANC AQUILAE EXCUCIUNT REXQUE SALUSQUE REGANT. Krzyżacki krzyż dręczy Prusaków. Pruski i Polski orły takowy (krzyżacki krzyż) wyrzucają, Król i szczęście publiczne panują. W napisie tym większe głoski dodane do siebie dają rok 1754. Była to moda ówczesna tak ukrywać w napisie lata, naciągając niekiedy wyrażenia.

Strona odwrotna: w jedenastu wierszach napis, pod którym herb miasta Gdańska.

Napis tak brzmi:

DEO AUSPICE
AUGUSTO TERTIO
POLONIARUM REGE POPULORVM PATRE
FELICITER REGNANTE
JUBILAEUM GEDANENSE
UNIONIS PRVTENO POLONAE MEMORIA
SACRVM.
RELUCE INCORPORATIONIS DIE
FERIA QUARTA CINERUM SECULI QUARTI
NATALI
ANNO CIϽIϽCCLIV.

„Pod opieką Bożą za Augusta trzeciego króla polskiego, ojca ludów szczęśliwie panującego Jubileusz Gdański poświęcony pamiątce połączenia się Prus z Polską za nadejściem dnia wcielenia [Prus do Polski] w środę popielcową zaczynającą czwarte stulecie roku 1754". W otoku zaś następujący: PRUSSIACO LECHICI CASIMIRUS FOEDERIS AUTOR. TUTOREM AUGUSTUM SECLA TER ACTA COLUNT. Prusko-polskiego związku twórca Kazimierz trzy wieki upłynione opiekunem czczą Augusta *).

Na tem kończymy opis medali bitych w Gdańsku i Toroniu na pamiątkę zniesienia jarzma Krzyżaków, na pamiątkę poddania się dobrowolnego ziemi pruskich Polsce, pod której rządem nie musiało być tak źle mieszkańcom miast Torunia i Gdańska, skoro tak kosztowne i z takiemi pochwałami dla Polski bili medale.

---

*) Ten drugi medal odmienny od pierwszego rysunku, milej przedstawiający się oku, wykonany był nie na samą jubileuszową uroczystość, ale nieco później z tego powodu, że pierwszy nie podobał się Torunianom.

Z listów Artysty.

(Wiosna 1867).

23 stycznia.

Już ciemno, robić nic nie mogę a na obiad jeszcze zawcześnie. Trzy obrazki do Wojny są już wypoprawiane, nad czwartym właśnie dziś siedziałem i wszystko już z grubsza podłożyłem. Przez jutro i pojutrze zrobi się reszta, a tak do 1-go nie wątpię, że z pierwszą częścią Wojny będę zupełnie gotów. O, dużo i dużo jest lepiej. Przekonałem się że głównym grzechem była moja nieśmiałość. Teraz mam więcej odwagi i dlatego też rysunek mój dziś będzie wyrazistszy i gorętszy w pojęciu. Cieszę się nadzwyczajnie na część drugą, w którą o wiele więcej siły i fantazyi będę mógł włożyć.

Miałem znowu kilku gości. — Bronisława Zaleskiego rysownika, niegdyś sołdata w Orenburgu, kolegę Szewczenki, człowieka nadzwyczajnie zacnego i przyjemnego... W tych dniach będę miał Bohdana Zaleskiego u siebie, który mnie dziś zapytać kazał, kiedy mnie odwiedzić może. Ucieszyłem się bardzo, że będę miał sposobność osobiście poznać poczciwego naszego Ukraińca...

Mój Boże cóżbym dał za to, jaki byłbym szczęśliwy, gdyby owe dwa miesiące już były ubiegłe a moja Wojna już ...na wystawie! Ach długo jeszcze, bardzo długo trzeba na to czekać i jeszcze więcej pracować!...

24 stycznia.

...Był u mnie dziś zrana Skrochowski*). Cieszę się bardzo ze znajomości z tym człowiekiem. Jest to bowiem jeden z młodzieńców, do którego nie tylko przylgnie się już w pierwszej chwili, ale poweźmie także wielki szacunek. Z tego cośmy ze sobą mówili pozna-

*) Ś. p. ks. Eustachy.

em w nim chłopaka z czystem, pięknem sercem i zdrowym rozsądkiem, podniesionym wiadomościami i nauką. Spodziewam się, że znaomość naszą kiedyś w przyjaźń będziemy mogli zamienić.

...Był dziś znowu Żel i Mickiewicz. Przyjdzie w tych dniach z siostrą swoją oglądać obrazy.

Zacząłem czytać Alkadara Chojeckiego ...i książka ta bardzo przypada mi do gustu. Szkoda że to dzieło dla braku funduszów niezupełnie wyszło z druku. Połowa w manuskrypcie.

Dziś miesiąc jak przyjechałem do Paryża. Brr! Zdaje mi się, że rok tu już jestem, tak mi wszystko nudne, obojętne a nawet nieznośne, oprócz Louwru i Luxemburga. Jeszcze dwa takich będę musiał tu przebiedować.

25 stycznia piątek w południe.

Tak ciemno i zamglono na świecie, że rysować nie mogąc, poszedłem po interesach zaległych. Byłem w kilku miejscach a skutkiem dzisiejszej exkursyi jest to, że moja Lituanika pojedzie jutro zapewne zaprezentować się Panu Branickiemu a w poniedziałek do Hotelu Lambert, do Xcia Wład. Czartoryskiego. Co poniedziałek zbiera się tu cała créma niby polskiego i francuskiego towarzystwa. Co się dalej stanie doniosę zaraz. Ale mnie się zdaje, że skończy się wszystko na kilku, z uśmieszkiem perfumowanym, wyrzeczonych frazach a moją Lituanikę może kiedy znowu jakie poczciwe Angliczysko albo Węgrzysko zechce nabyć. Byłem i u Edmunda Chojeckiego, i z godzinę u niego bawiłem. Postać nadzwyczajnie zajmująca...

26 stycznia sobota wieczorem.

...Coraz bardziej się przekonuję, że moja robota w Porębie niekoniecznie na dobre mi poszła. Bo pomimo wszelkiego wysilenia z jakiem pracowałem, dziś we wszystkiem prawie odkrywam tyle bojaźliwości i nieśmiałości, że się sam przed sobą wstydzę... Ach, ja to przeczuwałem że się stać może, — ale czyż można było inaczej? Ograniczony tylko na własne zdanie, ogołocony ze wszystkich artystycznych zasiłków i podsyceń, — czyż mogło być inaczej? Ale niema nic złego coby na dobre nie wyszło, wielkie bowiem szczęście dla mnie jest już to samo, że wiem z pewnością gdzie pobłądziłem i jak ma się złemu zaradzić.

...„Pożegnanie“ teraz ledwie że byś poznała. Taki nędzny obrazek wprzódy, dziś mówi do serca głośniej jak wszystkie inne. Wszystkich zmian szczegółowo opisać Ci nie mogę, powiem tylko, że się niebo bardziej zasępiło, kwiecia i krzewia więcej porosło, drzewo w głębi obrazu bardziej pochyliło a potężnemi konarami swojemi tak jakby cały obraz w ramy ujęło. Natura żyzna bujna i rozkoszna, tem smutniejsza jeszcze biedna opuszczona.

Chciałem w obrazku oddać to samo, czego nieraz w życiu sam doświadczałem: że właśnie w chwilach kiedy ja się nieszczęśliwym czułem, ludzie, a nawet sama natura, jakby urągając zdawała się cieszyć i radować... O ileż biedniejszym czułem się w takiej chwili! — Ten kontrast będzie tu widoczny a obrazek o dużo zyskał na poetyczności, której przedtem nie miał. —

Popołudniu byli u mnie obaj Zalescy, Bronisław o którym Ci już pisałem i stary Bohdan. Ucieszyłem się bardzo, pokazałem im wszystko co miałem, z czego oni znów bardzo byli kontenci. Ale Bohdanisko biedne bardzo stary. Co do lat nie tak bardzo, więcej może jako człowiek, na którego czole „palec Boży“ spoczywa. Głowa jego niekoniecznie mi się podobała, a z całej jego postaci, obejścia i nawet ze sposobu rozmawiania o dziełach sztuki, podobny prędzej do kogokolwiek, jak do poety. Takie było pierwsze moje wrażenie i wiernie Ci je zapisuję. Ale nie wątpię, że bliżej go poznawszy, przekonam się o złudzeniu. Bo cóżby się stać miało z autorem tylu pięknych, pełnych życia i fantazyi utworów!

Wczorajszy wieczór spędziłem u Władka. Nie wiem jak dla kogo, ale dla mnie jest on tak miłą bestyą, że Ci tego wypowiedzieć nie mogę. Jeden z takich ludzi, w którego towarzystwie wydaje mi się nieraz że jestem lepszy jak rzeczywiście, taki którego towarzystwo robi na mnie wrażenie to samo, które odnoszę rozmawiając ze zacną, niewinną a rozumną kobietą. Nie mówię już o jego nieposzlakowanej poczciwości, o prawości, już dziś nie bardzo praktykowanej. Jest to chłopak na duszy taki czysty, jeszcze żadną światową złością niezarażony, że może posłużyć za ideał prawdziwego kochanka cudownej swojej Muzy. Grał mi dużo swoich prześlicznych rzeczy a potem do późnej nocy Cherubiniego Requiem i kilka boskich sonat Beethovena.

Moich Sybiraków dałem do introligatora aby to nalepił naprzód na papier, bo dzisiaj to nafiksowałem a ta bestya przynosi mi wszystko najokropniej pomarszczone a już suche! Myślałem że go zjem ze złości, bo teraz przynajmniej na cal około rysunku trzeba będzie obciąć i na nowo nalepić. Przecież to gałgany — a drą ledwie że

nie do krwi, bo za nalepienie — tylko nalepienie rysunku, jak się zwykle papier na deskę naciąga, kazał sobie 2 franki zapłacić. Nie są to złodzieje?!

...Długo ...tak sam jeden przechadzałem się zamyślony. Od niechcenia patrzyłem przed siebie i nic więcej nie widziałem, tylko moją własną postać, która w cieniu raz malała, raz rosła i olbrzymiała, stosownie do tego jak się zbliżałem, albo oddalałem od światła. I przyszło mi na myśl, jak to dziwnie zgodne z pojęciem, które mamy o stosunku ducha naszego do najwyższej jego doskonałości — do wszechświatła. Tak jak ja zbliżając się do mojej świecy stawałem się coraz większy, — a byłem mniejszy im bardziej się oddalałem, tak i duchy nasze im bliższe tej doskonałości swojej tem potężniejsze i kolosalniejsze — a małe i coraz więcej skarlałe, im dalsze od nich. — I głęboko się zadumałem, bo między dwoma rzeczami tak do siebie podobnemi, przecież nigdy większego przedziału nie znalazłem a nawet wyobrazić bym sobie nie potrafił. I smutno mi bardzo bo do tego światła mnie biedakowi trochę dalej, jak memu cieniowi do świecy! — Ach, ja pomimo tego pójdę... pójdę chociaż nie wiem, czy stanę u celu, — ale ciężka to będzie droga. — Już stary jestem a jak drzewo starsze, już niełatwe do nagięcia. A już nawet i słaby, — może i za słaby do takiej uciążliwej podróży...

...Gniewam [się] na siebie i wstydzę przed sobą samym, ale się pocieszam, bo mi przychodzi ten pewnik: że krzyż dany nam do zniesienia tu w życiu naszem, nigdy nie jest za ciężkim, bo i największy udźwigniemy, a tak i ja możebym taki uniósł, chociaż dziś siłom własnym nie dowierzam. — Ale właściwie takie pocieszenie byłoby bardzo małe; ja idę dalej i sądzę, że w stworzeniu całem, gdzie na każdem miejscu dostrzegamy nieskończoną doskonałość organiczną, gdzie w najmizerniejszej kreaturze przekonujemy się o nieskończonej mądrości Stwórcy, żadna mierność postać by nie mogła, a tak jak stosunkowo ptaszkowi dane większe i silniejsze płuca jak nam ludziom, motylkowi lżejszy tułubek jak ptaszkowi, tak i nam nie więcej przeciwności ile ich znieść możemy — a tak artyście więcej skrzydeł do latania pod obłoki, aniżeli nóg do chodzenia po ziemi.

27go stycznia, niedziela w południe.

...Czytam od dni kilku do poduszki „Alkadara“, o którym Ci nadmieniałem i przyznać muszę, że jeszcze żadna powieść nie zajęła mnie

do tego stopnia! O ile się już teraz dorozumiewam, jest to obraz stosunków towarzyskich u nas w Galicyi, przed laty 30tu. Nie wyobrazisz sobie, jak mnie ta książka zainteresowała, na każdej bowiem stronnicy przekonuję się coraz więcej o niezrównanych literackich i krytykarskich zdolnościach autora. Jego bystrość i trafność w nakreśleniu charakterów, potoczystość i gibkość w wysławianiu, lekkość z jaką własne rozumowania swoje czytelnikowi podaje, rozwiązując w nich kwestye najpoważniejsze a czasem bardzo suchej treści, dowcip i humor, chociaż się nieraz bez ironii nie obejdzie, to wszystko, a nareszcie rzutkość i polot genialny co do myśli, która całemu utworowi nadaje cechę prawdziwie artystycznej pracy — coraz bardziej mnie zadziwia i pociąga. Cieszę się z tej nowej akwizycyi dla nieszczęśliwej a zawsze zawodnej pamięci mojej, bo tą razą jest to przedmiot zbyt szacowny, aby go tak jak wszystko znowu zapomnieć.

10ta wieczór.

Po obiedzie miałem dużo gości, a raczej moja Lituanika. Był Mickiewicz i jakiś pan Buszczyński, pan Lange, pani Gorecka z domu Mickiewiczówna, jakaś pani francuzka, później pan Januszkiewicz, pan Gałęzowski i generał Władysław Zamoyski. Pierwsi sama młodzież a trzej ostatni sami staruszkowie. ...Jeden z nich w przyszłą sobotę zaprowadzi mnie do Księżnej Giedroyć, — pani, jak mówią wszyscy, nadzwyczaj szanownej. Gałęzowski doktor i jakiś profesor, człowiek którego może znasz ze słuchu ...a generał Zamoyski, to figura jeszcze bardziej znajoma. Stary dosyć mi się podobał, bo, mimo wieku, z rozmowy bardzo obszernej a głównie kwestye artystyczno-polityczne traktującej, zauważałem w nim dużo i serca i rozumu... Jutro w południe przedstawię się Władysławowi Czartoryskiemu a potem będę tam na wieczorze, gdzie się wystawa Lituaniki urządzi.

...Pytasz o Rafaela. Tu niema Madonny Sykstyńskiej i dlatego tu się jego nie widzi. Ja go wielbię w jego Loggiach rzymskich i w Madonnie Drezdeńskiej tylko; na inne rzeczy patrzę, ale go tam nie poznaję. Jest w Luwrze kilka obrazów, do których się wszyscy garną, naturalnie konwojowani przez Cicerona albo uzbrojeni w czerwono oprawnego Guida; ale myślę że podobnie jak ja niebardzo go pojmują, z tą tylko różnicą, że ja z całą pokorą przyznaję się do mojego nieuctwa, a oni rozdziawiają gęby i chwalą, syczą i wykrzykują. W swoich Madonnach jest albo mniej serdeczny jak Giovanni Bellini, Tycyan, Palma i inni, bo jest za wiele mistrzostwa a mniej tego prawdziwego

uwielbienia dla Matki Bożej — albo tak wielki i niedościgniony w pojęciu najwyższej świętości, jak żaden, np. w Madonnie Drezdeńskiej. Bo to jest obraz od którego każdy patrzący odchodzi nie z uczuciem najżywszej miłości dla tej prześlicznej a takiej świętej w cierpieniach swoich Matki Jezusowej, ale zdjęty jakąś dziwną skruchą i pokorą wobec Najświętszej Matki Boga Samego.

...Za godzinkę idę do Czartoryskiego na wieczór. Byłem tam już popołudniu, zapoznałem się z nimi wszystkimi a ich z Lituaniką i z Syberyą... Znalazłem wszystkich bardzo uprzejmych a mniej ceremonialnych jak się spodziewałem. W kilku twarzach nawet udało mi się dostrzedz dużo prawdziwego uczucia. Szczególniej się mną zajął pan Jan Działyński, szwagier X. Władysława ...ów na śmierć w Poznańskiem za powstanie ostatnie skazany... Żona artystka — maluje i rysuje i nadspodziewanie dobrze. Zaprowadził mnie mąż do jej pracowni bardzo pięknej, gdzie się bardzo ucieszyłem, widząc tu wszystko z prawdziwym artystycznym smakiem urządzone. Potem przewędrowaliśmy inne kąty pałacu, dla opatrzenia niektórych bardzo pięknych a tu bardzo licznie nagromadzonych historycznych pamiątek. Hotel Lambert przypomniał mi bardzo owe średniowieczne i do dziś dnia zupełnie co do urządzenia prześlicznie zachowane weneckie pałace; jak tam i tu dużo przepychu, takiej herbowej wspaniałości a mało światła — wszystko w jakimś mistycznym półcieniu, a jeżeli gdzieś jaśniej, to chyba od aureoli otaczającej głowę jakiegoś niegdyś wielkiego przodka. Nie widziałem małej galeryjki X. Władysława, która ma być nadzwyczaj szacownym zbiorem wszystkich najcenniejszych mistrzów starej szkoły malarstwa, a gdzie się ma nawet jakiś przecudny, oryginalny Rafael znajdować.

...Powracając do domu przypadkiem zaszedłem na Morgue. Domek nieduży położony nad Sekwaną a przeznaczony na kilkudniowe przechowanie, przypadkowo w Sekwanie, albo i gdzie indziej, znalezionych umarłych. Smutny przybytek zkąd biedni umarli czasem nie doczekawszy żalu i smutku krewnych i przyjaciół, wędrują do grobu. Leżą te ciała na tapczanach, wystawione na widok przechodnia, a to dlatego aby je w danym razie, albo krewni albo przyjaciele, nie wiedzący co się z nimi stało, rozpoznać mogli. Dziś tam leżał piękny kilkunastoletni chłopczyk i jakaś dosyć młoda kobieta. Suknie tych biednych wieszają zwykle każdemu z nich nad głową. Ale przychodzi mi na myśl, jak wielką jest siła oswajania się z wrażeniami... Ja np. wyszedłem ztamtąd smutny i zamyślony, podczas gdy wszyscy Francuzi tłocząc się ciekawie, najobojętniej na to patrzyli, a wielu ...nawet zabawne remarki albo śmieszne dowcipy robiło.

29go stycznia, wtorek z rana.

...Jestem cały olśniony świetnością wczorajszego wieczora a uszczęśliwiony dlatego, żem się przekonał, że moja praca umie przecie, chociaż tak skromną suknią przyodziana, tak silnie do serc, nawet w płaszcze książęce zatulonych, przemawiać, jak najwspanialej malowane obrazy. Bardzo się głównie unoszono nad uczuciem głębokiem i serdecznem, które w każdej z głów moich wyczytali. Kapliński malarz i Rodakowski (którzy obaj byli ze swojemi mało pięknemi połowicami) a szczególniej ten pierwszy nadzwyczajnie uradował się, że mnie poznał i te roboty widzieć może i nakoniec prosił do siebie dla przeczytania mi jakiejś rozprawy którą o wczorajszej wystawie napisać zamyślił. Tam także jakiegoś zfrancuziałego Polaka, Norblina czy Norwida poznałem, człowieka który mnie bardzo ściskał i winszował. Było z 80 osób, między tem z jakie 50 pań, postrojonych że mnie aż oczy bolały na widok tylu kamieni drogich, koronek, aksamitu i jedwabiu... Ale bez przesady był to widok bajecznie piękny, salon prześlicznie, wspaniale a bardzo poważnie, bo tylko rzeźbą w drzewie ciemnem, marmurze i obrazami starych Włochów przyozdobiony, a ożywiony grupami miękkich w kolorach i kształtach postaci kobiecych. Szkoda że tak tego odmalować nie można! Siedemdziesięciu siedmiu paniom umitrowanym i ukoronowanym zostałem przedstawiony, — od każdej słyszałem, a raczej przy każdej wytrzymałem, salwę rzęsistych pochwał a nawet nieraz białe ząbki albo jakieś blaski w oczach dały się dostrzedz. Prawie z całem męzkiem towarzystwem także się zapoznałem. Tyle było na nich orderów albo wstążeczek na klapach frakowych, że ja mimowoli patrzyłem, czy w tym natłoku gwiazdek i krzyżów, jakiś mimochodem nie przyczepił się do mojej czamary... Pani Molton, Angielka, śpiewała dwie piosenki narodowe, ale powiadam Ci tak pięknie, że byłem oczarowany, może nietyle głosem ile szkołą! Będę rysował jakąś jej siostrzenicę. Z Polek bardzo mi się podobały Panny Zamoyskie, zdaje się bardzo uczuciowych i serdecznych dwoje dziewcząt. Oprócz śpiewu słyszałem fortepian, pod mistrzowskiemi paluszkami X. Marceliny Czartoryskiej, Władek nic nie grał a żałowałem tego bardzo.

31go stycznia.

...Jakże mnie to ucieszyło, gdy zaszczycony odwiedzinami Chojeckiego Edmunda, usłyszałem od niego z uniesieniem wypowiedziane

zdanie o Wojnie!.. Siedział z półtorę godziny, zobaczył wszystko oprócz Syberyi i Litwy, a potem dużo i dużo mówiliśmy o „Alkadarze“... Cieszę się bardzo z jego tak łaskawej przyjaźni, bo to jest w samej rzeczy osoba, tu w literackim i nawet dyplomatycznym świecie, bardzo ceniona i szanowana...

[Piszący] bardzo zakłopotany: Jego Wojna a raczej obrazy jej jak na skrzydłach kolosalnego młynu wietrznego rozpostarte, poruszane całą burzą moich fantazyi, kołują w mojej głowie i jak Don Quichota czasem ze sobą porywają, aby go, przeniósłszy przez chmury i wichry, porzucić na drugiej stronie... Dziś, jutro już raz do roboty usiadłszy, nie da się więcej tak porwać.

Przy wczorajszej wizycie w Hotelu Lambert zrobiono mi nadzieję, że mi Syberyi zapewne już nie oddadzą, a więc ja wejdę w posiadanie szanownych Luidorów, a przeto [będę] w możności najęcia sobie tańszej i stosowniejszej dla mnie kwatery... Pan Branicki ma być w tych dniach u mnie aby zobaczyć Lituanikę. Jutro zapewne wezmę ją z Hotelu Lambert, a pokazawszy Panu Branickiemu, znowu w poniedziałek przyszły tamże ją wystawię... I Wojnę zanim pójdzie na wystawę, także do widzenia przez jeden wieczór ofiaruję, bliższe bowiem stosunki z naszymi Tuillerjami polskiemi, być może, że mi jakoweś przyniosą korzyści.

31go stycznia, czwartek.

...Zapomniałem Ci napisać, że wczoraj byłem u Kaplińskiego. Widziałem kilka rzeczy na sztalugach, ale niestety mało ładne. W jego robocie czasem rzeczy podrzędne doskonale zrobione, a to co ważniejsze mało dobrze. Zaprowadził mnie ze sobą także do obrazu sławnego tu w Paryżu młodego Fleury... „Massacre de Varsovie“. Niestety oprócz kilku figur które mi się bardzo podobały i kilku rąk i głów z reszty zupełnie nie byłem zadowolony. Przy tych dobrych rzeczach są takie fuszerady, że aż przykro patrzeć. I owszem, pomyślałem, wrażenie na publice nic przez to nie osłabnie a Matejko tem bardziej pójdzie w górę. — Ach Boże — niechby choć w tym zawodzie Polonia stanęła na równi z tym mądrym, zarozumiałym zachodem i pokazała mu, że i pod naszem mglistem, smętnem i chmurnem niebem bije serce pełne życia i miłości a głowy tam także tak otwarte i zdolne jak na zachodzie! O [piszącego] bądź spokojna, on swojemi... tylko prostą czarną kredką rysowanemi obrazkami nie powstydzi się przed Panami Francuzami. On im w tych rysunkach może cichym

głosem jakby tylko na ucho powie na co nas właśnie Bozia tu posłała: czy na to, abyśmy hołdowali smakowi głupiego, pieniądzmi brzęczącego motłochu, abyśmy schlebiali mu i łechtali przyjemnie w jego mizernych zachciankach, abyśmy byli kupcami, — podobnie jak aktor przedmieściowy, niezgrabnie okrywającymi się w draperye poważne i piękne, — boskiego artyzmu, czy na to, abyśmy w pracy naszej, nie suchem słowem, ale jakby łagodnym śpiewem, pełnym miłości i rzewności, ludziom powiadali, że mają wiele grzechu niecnoty, ale mają serce i poczucie prawdy w sobie, choćby nawet głęboko ukryte, a więc prawo i do Bóstwa nawet! — Mój Boże, gdyby mi ręka zawsze tak poszła, jakby ją serce moje poprowadziło, ach prawdziwie że byłbym wielkim malarzem! — Niestety o tem wielu z nas wiedzą, a jeżeli nie, to przeczuwają — a jednak dają się czasem uwodzić czy to jakimś zyskom, czy goniąc za próżną sławą i rozgłosem i odchodząc z tej pięknej drogi. I biada temu który ją raz opuścił bo na nią już prawie nigdy nie wraca, bo ona więcej ma ostów i ciernistsza jak wszystkie! I bardzo naturalne, taki człowiek w tej chwili przestaje kochać ludzkość, dla swojej własnej miłości... Raz tej zakosztowawszy, już tamta nie smakuje. A czyż można pracować szczerze i pięknie dla ludzkości jeżeli się jej już nie kocha? — Jeżeli u takiego człowieka zobaczę prawdziwie piękne dzieło na sztaludze to wówczas powiem, że to Bóg a n i e o n s a m malował, bo się to stało tak jak z niejednym wielkim wynalazkiem, gdzie ten mądry zarozumiały człowiek był tylko mizernym wówczas narządkiem przypadku, od Boga pokierowanego...

2go lutego, sobota popołudniu.

...Ale musisz wiedzieć... że się wyprowadziłem i mieszkam od wczorajszego wieczora na Rue du Four St. Germain 73 na drugiem piętrze, gdzie nie tyle płacę a mam więcej miejsca i dosyć dobre światło. Do wieczora siedziałem kołkiem w domu miałem kilka wizyt między temi P. Jana Działyńskiego (który mi oznajmił że Sybir zakupiony); dla Władysława Mickiewicza zrobiłem kopię podług fotografii P. Adama a po zwykłym obiedzie porobiwszy w domu rachunki i zapakowawszy wszystko, przeniosłem do nowego mieszkania... Ale jakie to dziwne że ja się tak łatwo do jakiegoś kąta przyzwyczaić mogę! — Np. teraz pomimo że moja teraźniejsza kwatera daleko lepsza i wygodniejsza — było mi już żal, że na nowej jestem, że nie tam gdzie tych długich,

smutnych pięć tygodni przemieszkałem... Długo, długo nie mogłem usnąć, czytałem bez końca i ciągle rozglądałem się w koło siebie i przykro mi było że wszystko nowe i takie obce.

3go lutego, niedziela przed wieczorem.

Byłem u Mickiewicza na obiedzie, gdzie kilku jegomościów Polaków, literatów, poznałem i gdzie mi czas bardzo mile zeszedł. Dużo pamiątek po P. Adamie widziałem, między temi maskę zdjętą z niego po śmierci... — Gospodarz był nam bardzo rad, bardzo rozmowny i zabawny...

21go lutego, czwartek wieczór.

...Poznałem się wczoraj z Duchińskim (ona jest Pani Pruszakowa) i innemi literackiemi wielkościami. Zdaje mi się, żem się im nie bardzo spodobał, bo w dysputacyi politycznej a zarazem narodowej która się między nami wywiązała, prawie we wszystkiem oponowałem... Są to panowie wszyscy że tak powiem przeszłowieczni... Powiedziałem wszystko co myślałem bez ogródki — ale czy mnie zrozumieli to nie wiem...

22go lutego, piątek.

...Wojna idzie naprzód, chociaż przy poprawkach samych i dokończeniu ostatniego z pierwszej części, jeszcze zawsze kilka dni posiedzę. Dzięki Bogu obrazki coraz lepsze. Od trzech dni wieczorem siedzę teraz nad pendentem do Sybiraków, — nie Nocy nad Amurem, jak chciałem, ale „Pochodu na wygnanie". Może Bóg da, że to szczęśliwie skończę, t. j. że i ten obrazek równie tyle wzbudzi współczucia dla naszych biedaków... Myślę w tych dniach przez Mickiewicza zapoznać się z P. Micheletem i zrobić jego głowę. Jest to człowiek wielkiej zasługi a podobnie jak Beranger u swoich rodaków bardzo popularny.

...Dzień mi teraz mija tak prędko, że nie wiem kiedy się skończył — a tu w duszy wszystko się we mnie gotuje, radbym robić wszystko w trójnasób — radbym pracować za dziesięciu, bo za dziesięciu garnie

się myśli do serca i głowy. — Poczciwy Żel codzień jest u mnie i zawsze mi coś zagra, prócz niego zwykle jeszcze kilku biedaków, z którymi wieczór przepędzam rysując, podczas gdy z nich jeden, na zakupionym przedwczoraj, na gospodarstwo samowarze i czajniku, przyrządza coś na kształt herbaty. Pijemy i delektujemy się nad tem, chociaż w duszy niejednemu przypomną się nasze rodzinne piękne sianożęci!..

...U nas w Paryżu na piękne zabiera się na wiosnę. Już się w paletotach nie chodzi i w domu na kominku nie pali — już wszystko zaczyna się powoli przygotowywać, do wiosennego rychłego zmartwychwstania. Na wystawę już się zjeżdżać powoli zaczynają i robić przygotowania kolosalne. Będzie to coś niewidzianego i niesłyszanego.

...Dziś kilka kursów omnibusami odbywając dużo miałem czasu do rozpamiętywania... Kto się pragnie odosobnić, być zupełnie samemu sobie oddanym, niech jedzie do Paryża a potem pójdzie na najludniejsze jego ulice. Tam znajdzie właśnie to co szuka, bo tam tak go nikt nie zauważy, tak się nim nikt a nikt nie potroszczy, każdy tak tylko swego patrzy, że wszystko to razem powoli stanie się dla niego jednym chaosem a tak ciągle jednakim, tak wiecznie tym samym, jak tykot monotonny zegara. I w samej rzeczy patrząc na ów ścisk i tłoczenie się na bulwarach — słysząc ciągłe a zawsze jednako powtarzające się turkotania i hałasy, można się tak zadumać, a nawet daleko swobodniej, jak gdzieś w cichym zakącie na wsi, za całe towarzystwo tylko tykotający, a czasem tylko syczący i warczący zegar mając. Ale też tylko w Paryżu i tylko w Paryżu, można się nauczyć tęsknić prawdziwie. Tęsknić z całej duszy — już bez miary! Ja tego nigdzie nie doświadczyłem w takim stopniu jak tu w Paryżu, bo nieraz mi się zdawało, że mi wówczas głowa bieleje, a serce całkiem kurczy się i wysycha... Ale dosyć o tem. Ot wolę Ci powiedzieć że za dni czternaście spodziewamy się już najoczywistszej wiosny. Wystaw sobie, że w ogrodzie Luxemburskim będąc dziś z rana, widziałem już wszystkie krzewy i drzewa zazielenione, nietylko pączkami ale rozpękniętemi listkami. Zamiast się ucieszyć, jak to zwykle bywa kiedy pierwszy raz rozkoszna wiosna całą naturą do człowieka przemówi, ja zasmuciłem się bo przypomniałem moją biedną ojczyznę, jeszcze długo w białych śniegach uśpioną i Lwów ze swoim tysiącem dzwonków i sanek i nareszcie swoją smutną a jak w dyabelski taniec porwaną, gwiżdżącą i śniegiem smagającą zawieruchę. Ach niema jej tu, niema! Tu już tak ciepło, że przy otwartem oknie dziś kilka godzin rysować mogłem.

25go lutego.

...Na Kraków tak się już gniewam, jak nigdy dotąd. Nie będę nic pisał, chyba o interesie Jarka*) i niełatwo dam się przebłagać. Jedno mnie smuci czasem, że nie wiem co się dzieje z moim siostrzeńcem. Do tego dziecka tak się przywiązałem, że nawet tęsknię za niem, a wreszcie wyśniwa mi się czasem, jak mnie całuje i rączętami swojemi malusiemi obejmuje... Nie wiem jak przebywa i wytrzymuje ząbki swoje, a że nie bardzo silny, więc o jego zdrowie dosyć niespokojny jestem.

...Wojna postępuje tylko niestety ślimaczym krokiem, bo od dni kilku jak uważam, jestem w peryodzie pewnego niedowierzania, co moją radyrkę przyprawia o zgubę. Od przedwczoraj połowę tabliczki wytarłem... Zapomniałem Ci napisać, że zrobiłem nową znajomość, a to z młodymi Żulińskimi, chłopakami bardzo zacnymi i pełnymi wiadomości, Warszawiakami...

...W tych dniach umarł na suchoty jeden z synów Zygmunta Krasińskiego (młodszy) — jeden z tych, do których nieraz przemawia ojciec w „Listach" swoich. Byłem zaproszony na egzekwie ale nie poszedłem, aby czasu nie tracić.

26go lutego, wtorek.

...Władek dziś siedzi w domu i czyta Walter Skotta, o którym mi nie może dosyć nagadać, naturalnie wprzód nagadawszy się do syta o swoim kontrapunkcie, harmonii i fudze. Reszta wiary, zwykli goście moi, gdzieś się porozchodzili tak, że sam jestem w domu i szczęśliwy, że choć raz przecie moje zaległe korespondencye popiszę. Cicho w około mnie, tylko w ulicach jeszcze turkot i tartas — a ze mną tylko rzewna i przeciągła myśl o wszystkiem co mnie czeka w przyszłości...

...[W Hotel Lambert] mnóstwo kobiet wczoraj widziałem, najmniej osiemdziesiąt.., tylko jedna była ładna a nawet bardzo ładna. Była to jakaś Pani Buolhoos, Angielka, kobieta tak ze 27 do 8 lat mająca, płci tak białej jak marmur, budowy ciała posągowej, blondyna, z oczami niebieskiemi — o ile mi się zdaje i z włosami naturalnemi — ubrana przepięknie, a przytem kobieta mająca zupełne przeświadczenie o swoich nadzwyczajnych wdziękach... była jakby ożywioną jakąś figurą z obrazu Rubensa. Patrzałem też na nią zupełnie nie jak na kobietę, tylko ja-

*) Brata Jarosława.

kieś arcydzieło tego wielkiego Holendra... — X. Marcelina i mąż jej obsypują mnie względami swojemi. Nie wiem czy ci pisałem, że przeszłego poniedziałku dużo o muzyce ze mną rozmawiała, a nakoniec zaprosiła do siebie, aby mi zagrać jeden polonez Chopina, (z którą to wizytą [piszący] po zwyczaju nie bardzo się spieszył, bo jeszcze u niej nie był) — co jest nadzwyczajnie zaszczycającym mnie dowodem wielkiej łaski, zważywszy, że księżna jest jedną z najlepszych uczennic Chopina, wielce cenioną nawet w najwyższych sferach muzykalnych — a wczoraj prosiła mnie — a i on także — na czwartek na obiad... Wczoraj także grała, jak za każdą razą, jeden z jego koncertów na dwa fortepiany, z jakimś polskim muzykiem, którego wczoraj widziałem po raz pierwszy, a za leniwy byłem popytać o jego nazwisko.

28go lutego, czwartek o 11tej wieczór.

...Do południa rysowałem jak zwykle i dzięki Bogu porządnie i prędko, — bez radyrki! Po śniadaniu musiałem się wybrać do Goupila... Tymczasem nie było go, więc ztamtąd poszedłem na chwilkę do Zienkowicza... Jeszcze chwilę dobrą przed zmierzchem porysowawszy, ubrałem się potem w galę i poszedłem do X. Marceliny na obiad. Tylko oni sami byli w domu, więc byliśmy tylko we trójkę. Po obiedzie zaprezentowawszy im książkę (album z rysunkami) i oglądnąwszy kilka pięknych rzeczy w salonie i sypialni Xiężnej, dopiero zacząłem prawdziwie rozkoszować. Jak mi przyobiecała, usiadła Gospodyni domu do fortepianu i odegrała kilka kawałków Chopina po mistrzowsku! ...Ach to prawdziwa artystka! ...Szczególnie, że z jej twarzy sądząc niktby się tego nie domyślił, mało młoda, mało ładna i mało sympatyczna, dopiero grając nabiera prawdziwie pięknego wyrazu. Nie potrzebuję mówić, że dzisiejszy wieczór na długo w pamięci mi zostanie. Serdecznie jej podziękowałem, tembardziej że mi niezmiernie pochlebiła, zaręczając, że tą razą mając mnie za jedynego słuchacza, z prawdziwą grała przyjemnością... Ja też z mojej strony okażę jej szczerą wdzięczność, bo przy pierwszej wizycie ofiaruję rysunek zrobiony na pamiątkę dzisiejszego wieczoru.

3go marca.

...Ani wczoraj, ani onegdaj nie znalazłem sposobności pisania... z przyczyny, że nietylko dnie całe prawie, ale i oba wieczory zajęty

byłem przyjmowaniem gości. Wczorajszego wieczora nawet, jakby na zakończenie karnawału, wyprawiłem moim znajomym mały wieczorek, na którym się wszyscy dobrze bawili... Zeszli się najbliżsi znajomi moi, kilku Francuzów i ich znajome kobiety. Z początku zabawa była bardzo poważna, bo słuchano muzyki Władka Żeleńskiego, który grał jak zwykle prześlicznie, ...tak, że ja zbudowany byłem prawdziwie, gdy naraz filut Pan Muzyk, ni ztąd ni z owąd, jakąś swoją nocturnę zakończa prawdziwie paryskim kadrylem. Naraz, jakby wszyscy nagle ze snu obudzeni, porywają się ze siedzeń, odsuwają stoły i stołki, przewracają kilka gipsów i wazonów z kwiatami, kilka lichtarzów i filiżanek i w mgnieniu oka ustawiwszy się w pary, puszczają się w tany. Naturalnie na jednym się nie skończyło, przyszedł drugi, trzeci i dziesiąty... że aniśmy się nie opatrzyli kiedy piąta na zegarze uderzyła i przypomniała wszystkim że dosyć tego dobrego.

...Studya do wszystkich figur pierwszej części Wojny już porobione. Oprócz dwóch małych dzieci... następne obrazy nierównie prędzej a nawet bardzo prędko będą zrobione, bo odrazu podług modela będą figury wyrastały a więc poprawki, te nieznośne, odpadną.

10go marca.

...Odwiedził mnie dziś poczciwy Duchiński. Byłem sam w domu a więc i on zupełnie swobodny. W samej rzeczy dziś się przekonałem, że na nim towarzystwo wogóle a szczególniej jego Pani dziwnie upokarzające robi wrażenie, t. j. o ile z jednej wizyty sądzić mogę, w towarzystwie jest skromny, cichy i tak potulny, że wrażenie które znowu on robi na spostrzegaczu, jest jakby niekorzystne... Sam tylko ze mną, był jakby inny, pełen życia, werwy, siły i pewności. Podobał mi się nadzwyczajnie, ma bowiem oprócz miłej powierzchowności i rzadki dar nietylko obalenia zdania przeciwnego, ale przekonania o jego bezzasadności i postawienia natomiast innego, a ugruntowanego na dowodach i faktach. Tak już po godzinie rozmowy, przekonał mnie najzupełniej, że Moskale są najoczywistsi Tatarzy a nasi Rusini najmniejszego z nimi pokrewieństwa nie mają.

Ku wieczorowi, jak zwykle, naszło się dużo wiary. Między innymi jeden z najzacieklejszych apostołów Mirosławskiego — i dziś po raz pierwszy skruszyłem kopię w gorącej walce z szalonym a dla mnie nieznośnym żywiołem Pana Ludwika... Pojedynek wypadł szczęśliwie dla mnie, bo też miałem czterech do pomocy, podczas gdy mój prze-

ciwnik był tylko sam jeden. Ale... nie myśl, że się wskutek tego może zapuszczę w ten labirynt intryg i skandalów stronnictw nieprzyjaznych, o nie, zanadto mnie to wszystko oburza a wreszcie tak mi się wydaje kramarskie i niepiękne, że do niczego mieszać się nie mogę i nie chcę. Niech się gryzą kiedy im się to podoba, ja sobie swoje myślić i swoje robić będę. Ale to przecie smutne, że tak jest a nie inaczej. Tu z Paryża sądząc, to nie byłoby na kuli ziemskiej narodu więcej fałszywego, intryganckiego, zjadliwszego i więcej zaciekłego w namiętności, jak są Polacy, a co gorsze że oni sami z całego gardła krzycząc nie inaczej się przezywają.

11go marca.

...Jak Ci wczoraj zapewne powiedziałem byłem na śniadaniu u Duchińskich — gdzie kilka godzin prawdziwie pięknej zabawy, minęły mi jako jedna chwila. I ją i jego serdecznie pokochałem, poznałem bowiem w obojgu nietylko ludzi pełnych zasługi i nauki, ale i ludzi z sercem i pełnych uczucia... Mówiliśmy o wielu rzeczach a głównie o kwestyi naszej i moskiewskiej, poczem ze strony gospodarza zachęcony zostałem do pewnego przedsiębiorstwa artystycznego, będącego z tem w ścisłym związku. Czy co z tego będzie jeszcze nie wiem — po czasie i bliższem przypatrzeniu się tej rzeczy, będę mógł coś więcej o tem powiedzieć.

26go marca, środa.

...Pracuję — pracuję — i pracuję! ...z całem możebnem wytężeniem... ...Jeden dzień tak za drugim przechodzi i nie wiem, gdzie w nich miejsca [na] dwadzieścia cztery godzin... a na obrazkach zawsze coś przyrasta, staje się wyraźniejszem, wymowniejszem, aż nareszcie skończonem! Możebym się zżymał, wyrzekał, może nieraz Boga obraził, może rozpaczał — może się zmarnował — gdyby nie praca, przy której przynajmniej losowi wszystko darować mogę, podczas gdy w innych stosunkach możebym go przeklinał...

...Mój obrazek jutro zapewne skończę i z tym już siódmy przybędzie. Ach jak sobie swobodnie odetchnę.

30go marca, sobota.

...Już mi znacznie lepiej. ...Dziś a zwłaszcza w tej chwili jestem zdrowy, to jest spokojny i nawet zadowolony, bo obrazek jeden szczę-

śliwie skończony a drugi również tak rozpoczęty. Nie uwierzysz jak te obrazki wszystkie zmieniają się na korzyść kiedy są w ramy oprawne! Nabierają ogromnie wiele powagi i niekiedy wdzięku. Ach, doczekać się nie mogę chwili, w której będę miał ich wszystkich dwanaście, w jednym nieprzerwanym szeregu — wyraźnych w myśli i wymowniejszych jak to, co o Wojnie napisać by można! Na tym, który teraz na sztaludze a na którym przychodzi scena schwytania szpiega wśród obozu, wszyscy moi najbliżsi znajomi będą mi pozowali, tam bowiem same męzkie przychodzą postacie... Głowę szpiega już zrobiłem i mogę sobie przyznać że dobra.

...Trochę mnie teraz oczy zaczynają nie pobolewać, ale męczyć się. Zapewne wskutek wieczornego rysowania nie na białym, tylko zawsze tonowym papierze, ale niedługo jeszcze będę ich tak gwałtownie nadużywał, więc się nie obawiam niczego gorszego...

31go marca, niedziela.

...Okropnie smutną mieliśmy dziś w małem a serdecznem gronku naszem niespodziankę! W południe przyszedł do mnie młody Gostkowski szwagier mojego kochanego Władka Żel. i powiedział mi że listownie o śmierci jego siostry, jedynaczki, a w rodzinie nadzwyczajnie kochanej, młodej jeszcze osoby, zawiadomionym został. Mnie proszono o to, abym ja jako najbliżej z nim żyjący przyjaciel, przygotował go do zniesienia tej okropnej wiadomości. Wyobrazisz sobie jak mi bardzo ciężko w tej chwili... Wyprowadziłem go też z domu... trochę po świeżem powietrzu, a tak powoli, wśród mijania tysiąca powozów i tysiąca ludzi — mój Boże takich wesołych i tak zupełnie obojętnych! — wśród turkotu i krzyku ulicznego, w kilku słowach zawiadomiłem o grożącem niebezpieczeństwie dla życia jego siostry a potem zalecałem, z całą odwagą mężczyzny, przygotować się i na najgorsze. Tak biedakowi nie dałem zanadto gwałtownie oddać się smutkowi... i do wieczora przytrzymawszy w ciągłem roztargnieniu, przed chwilą puściłem [go] do domu. Teraz mój biedak zacznie dopiero rozpamiętywać nad wszystkiem co mu powiedziałem... I jutro i pojutrze jeszcze nic mu nie powiemy... znam go zanadto dobrze z tej strony, że mu odrazu wszystkiego nie można wypowiedzieć bez obawy, że to na jego nadzwyczajnie delikatnem i wrażliwem i ogromnie uczuciowem usposobieniu mogłoby wywrzeć najfatalniejsze skutki. Biedak! Biedak mój kochany! — I to dziwne, wyobraź sobie: od dwóch miesięcy

dzień w dzień schodzimy się razem we czwórkę, nas dwóch, Krajewski i Konwicki, który chodzi z krepą na kapeluszu. Proszę Cię, nigdy sobie kapeluszy przypadkiem nie pomieniali, aż dopiero wczoraj i to dwa razy w jednym dniu, co nam się wszystkim niepodobało, tem bardziej że przez resztę dnia [Żel.] chodzić w nim musiał, bo Konwickiego odszukać nie mógł. Nie jest że to dziwne i niepojęte? On sam, jakby przeczuwając, zmartwił się trochę już wczoraj i kilka razy mówił że boi się czy to nie jest złą jakąś przepowiednią — co my znów jemu staraliśmy się wyperswadować. — Boże daj, aby to jakoś szczęśliwie przeszło i jakichś smutnych po sobie śladów nie chciało pozostawić. On tak bardzo kochał tę siostrę!

1go kwietnia, poniedziałek.

...Otóż Wystawa Świata otwarta. Miało się owo otwarcie odbyć nadzwyczaj uroczyście. Ja prócz kilku kolumn w paradzie przeciągającego wojska nic nie widziałem i przyznam się że zupełnie ciekawy nie byłem.

...Mój biedny Władek smutny jak wczoraj, ale dzięki Bogu więcej zrezygnowany. Ale jakżeż mnie nieraz serce zabolało, słysząc go mówiącego o chorobie swojej siostry i zawsze przecież przypuszczającego ocalenie jej życia. A ona biedna już nawet pochowana.

2go kwietnia, wtorek, bardzo późno.

...Biednemu Władkowi powiedzieliśmy już prawdę — więc już wie że stracił jedyną ukochaną siostrę! — jak to przyjął tego niema co opowiadać. Dodam tylko że znowu po długim, długim czasie widziałem mężczyznę płaczącego i muszę powiedzieć, że ten widok jest stokroć boleśniejszy jak gdy kobieta płacze...

3go kwietnia, środa.

Znowu dzień jeden przewędrował w niepowrotną przeszłość... Ach tak, ja kiedyś umierając, po długich latach szczęścia, jeszcze nad grobem, przypomnę sobie, że wiele, ach bardzo wiele pozostawiam rzeczy, których wykonać czasu nie miałem!...

4go kwietnia, czwartek.

...Byłem w katakombach! — ...Szczęśliwie się trafiło, że właśnie dzisiaj był wstęp do tego labiryntu podziemnego, a ja wraz z całem gronem najbliższych znajomych korzystać z niego mogłem... O pierwszej w południe stanęliśmy na miejscu, zkąd po krętych schodkach na 50 łokci w głąb ziemi prowadzących, dostaliśmy się do katakomb. Początek historyczny tychże sięga najdawniejszych czasów, chociaż nie jest tak świetny, co do swoich pamiątek, jak katakumb rzymskich. Powiadają że one datują z czasów wybudowania się Paryża i one to dostarczały całego materyału budulcowego... I w samej rzeczy są to niezmiernie długie, o naturalnem sklepieniu, często kamiennemi kroksztynami podpierane chodniki bardzo wązkie i oczywiście zupełnie ciemne. Postępując za czarną smugą nakreśloną na sklepieniu, przechodzisz raz w lewo raz w prawo, raz w górę raz znowu na dół, często, mijając [się] z ujściem innych podobnych chodników w inne strony wiodących a łańcuchami żelaznemi zamkniętych. Powietrze czyste, choć nieraz bardzo wilgocią i chłodem przesiąkłe. Chodniki te mają nazwę ulic lub placów, stosownie do tych, które właśnie w tych miejscach na powierzchni przebiegają. Dlatego, znając Paryż, mniej więcej i w jego podziemiach oryentować by się można. Tak z świecą w ręce posuwasz się coraz głębiej w te czarne, wązkie, czasem groźnie tajemnicze kurytarze i nieraz, świeczkę przysłoniwszy, gdy popatrzysz przed siebie to ci się zdaje, że niepodobieństwem aby twoja maleńka świeczka te niezgłębione ciemności przedrzeć zdołała. Szliśmy tak bardzo długo, aż wreszcie dotarli w okolicę gdzie są smętarzyska. Tam ów wązki kurytarz zwęża się jeszcze bardziej... obie jego boczne ściany wyłożone są kośćmi ludzkiemi które ze starych smętarzów wywożą i tu składają. Tysiące nieprzeliczonych czaszek poukładanych w pewnym porządku, groźnie tu spogląda na przechodnia i najżywiej mu przypomina, że jak powstał z prochu tak i on kiedyś w proch się zamieni... Jest tu także kilka innych pomników mających swoją wartość historyczną, a między temi nagrobki dla tysiąców ofiar z czasów Wielkiej Rewolucyi... Jest tam także stół na którym Karol IX. zwiedzając katakomby raczył się i ucztował... Żałuję bardzo że na drugą stronę Sekwany nie przeszliśmy, byłoby to bowiem bardzo zabawne wiedzieć że się wędruje popod koryto rzeki! Mnie się spieszyło do roboty, a to najmniej mila geograficzna na drugą stronę, więc woleliśmy już zostać na tej... Jakieżby te katakomby były dopiero wówczas wspaniałe, gdybyśmy np. wiedzieli że owe chodniki ręką prze-

śladowanych chrześcijan wykute, że je w pocie czoła wykopali biedni, ukrywający się przed napaścią... To też takiej tradycyi im brakuje a brak ten bardzo wiele odejmuje im uroku...

...Wieczór miałem znowu dużo gości. Między nimi był i poczciwy Eustachy Skrochowski. Ucieszyłem się że mnie odwiedził. ...Sztuka i sztuka były jedynym przedmiotem konwersacyi naszej a do zabawy przyczynił się głównie Władek, który chociaż smutny, dał się uprosić i dużo śliczności odegrał nam i odśpiewał.

8go kwietnia, poniedziałek.

...Poraz pierwszy byłem dziś na Wystawie od czasu jej otwarcia Ach powiadam Ci, że nieraz zapominałem się w zachwyceniu nad niektóremi obrazami francuzkiego oddziału... Portretów nie mają wiele, ale te które są, odznaczają się niezmierną pięknością... Widziałem obraz Perignona — portret kobiety tak prześlicznej, że z uciechy wykrzyknąłem oczarowany jego prawdą a zarazem niezrównanym wdziękiem. Za to historycznych obrazów jest bardzo wiele, równie jak i fantazyi. W tej ostatniej Francuzi są niezrównani. Na ich czele stoi Hamon a za nim cały szereg innych, może mniej już oryginalnych w pomyśle, choć czasem tęgsi mistrze. Z historycznych są głównie bitwy; Ivona a także i Bellangego zauważyłem. Gerôma jest bardzo wiele na wystawie — ...ale przyznam się, że oprócz jednego, to tamte niedosyć mi się podobały... a to dla swego zbytecznego realizmu i dla wszelkiego braku poetyczności. Meissoniera jest także mistrzowskich kilka kawałków... Po Francuzach najwięcej pięknych rzeczy a raczej oryginalnych mają Anglicy... Tam są rzeczy niektóre nierównie piękniejsze jak u Francuzów nawet. Niemcy całe i Rosya nie grzeszą zbytkiem arcydzieł. Poczciwy Matejko swoim obrazem dzielnie podtrzymuje honor biednych „Austryaków"... I słusznie powiedzieć można, że Jego obraz do najpiękniejszych w całej wystawie należy! — Wiwat Matejko! Daj Mu Boże zdrowie! — [Moje obrazy] tak fatalnie powiesili' że [ich] dopiero szukać potrzeba! Gałgany Szwaby... Zresztą mnie to zupełnie obojętne. Dziś... już tylko na Wojnie wszystko zawisło. Z tego będą mnie sądzili i w tem też wszystkie moje nadzieje położyłem... Byłem wczoraj u Chojeckiego i dostałem „une Legende" dla mojej Lituaniki. Będzie ona na małych złotych kartkach na każdym z odpowiednich obrazków umieszczona. Są to tytuły i jakby hasło dla każdego obrazka. Krótko, zwięźle a serdecznie! Tak jak sobie zawsze życzyłem — a ani sam wymyśleć nie mogłem, ani też

u nikogo wyprosić. Do Wojny także mi on to napisze a spodziewam się, że będzie dobrze!

10go kwietnia, środa.

...Dziewiąty obrazek już zacząłem i... spodziewam się, że będzie najpiękniejszy! — Jest to ów Artysta i Geniusz jego na pobojowisku wśród rozciągniętych i z sukni odartych umarłych, przerażony na widok złodziei, którzy, im nawet, pokoju nie dając, obdzierają ich z odzieży i kosztowności. Oświecenie księżyca — noc posępna i chmurna. Będzie to obraz nadzwyczajnie poetyczny a przytem pełny powagi i godności klasycznej. Szpieg udał się także niezgorzej, a tu cieszy mnie najwięcej jasne wytłómaczenie się myśli, bo wszyscy, zupełnie nawet niewtajemniczeni, odrazu poznają, o co tu chodzi. W tem leżała cała trudność i to był jedyny mój frasunek — dzięki Bogu że to się udało.

12go kwietnia, piątek, popołudniu.

...Wczorajszy wieczór nadzwyczaj mnie ucieszył a był zarazem niespodzianką. W chwili kiedy list do Ciebie dokończałem, przysłano dla mnie i Władka Żel. bilety na koncert Marceliny. Był to z jej strony dowód wielkiej uwagi i pamięci. ...Po obiedzie też oba się tam wybraliśmy, bo ...myślałem sobie że dla Muzyki i pięknej Muzyki, może nawet bym p o w i n i e n poświęcić jeden wieczór i tym sposobem użyć pewnego moralnego wywczasu. W samej rzeczy miałem go podostatkiem. Oprócz samej koncertantki, jak zawsze niezrównanej w odgrywaniu prześlicznych chopinowskich kompozycyi, słyszałem także jakąś amatorkę śpiewaczkę Panią Tellefsen i po raz drugi wiolonczelistę Franchommea. O Marcelinie nic nie powiem, bo ją znasz już z poprzednich listów moich, prócz tego, że grała dwa razy Mozarta z towarzyszeniem orkiestry, tak po mistrzowsku że o tem nawet wyobrażenia nie miałem. Pani Tellefson śpiewała jedną pieśń Händla, Schumana „Ich grolle nicht" i jakąś szwedzką piosnkę. Pierwsze i ostatnie przewybornie, ale Schumanna nie zupełnie zadawalająco. Głos jej bowiem zdawał mi się dla tej pieśni zanadto sentymentalny i miękki, a niemający dostatecznej energii i namiętności... Powróciłem do domu orzeźwiony, pełny ochoty i animuszu do pracy, tak jakby chwilowo odrodzony.

...Dziś rozpocząłem bardzo dobrze, bo do tej godziny już mam stu-

dyum do Geniusza ...i w pamięci kilka bardzo pięknych obrazów fresko z kościoła St. Sulpice, dokąd poszedłem na czas porządkowania mojego pokoju.

14go kwietnia.

...Radbym Ci coś powiedzieć, co dawno już chciałem ale do czego jawnych powodów nie miałem. Teraz mam taki jeden i bardzo wyraźny. Przekonuję się, że jestem Artystą, albo raczej aspirantem do tej godności i to nietylko dlatego, że powołaniem mojem jest malowanie obrazów, a w nich ducha ludzkiego, ale i dlatego że we mnie doprawdy mieszka coś — coś — co w innym człowieku trudno się znachodzi — że we mnie mieszka jakaś tajemnica piękna... czarująca, ale niedocieczona — a w której ja właśnie ów artyzm przeczuwam... Jest to jakaś niewidoma siła, która nietylko włada myślami mojemi, ale nawet wolą i uczynkiem... I dziwne, kiedy byłem prawie zrozpaczony, przyszła mi ochota zrobić postać kobiecą ze skrzypcami w rękach, do której jedynym tytułem albo komentarzem byłoby kilka taktów z jakiegoś utworu nieśmiertelnego Beethovena! Usiadłem wieczór do tego i głowę już skończyłem. Jest piękna, bo taka o jakiej tylko zawsze marzyłem dla postaci Muzyki... Teraz ożyła na moim kartonie... Tak, dowiedziałem się, że jestem artystą, że Muza doprawdy mieszka w mojej duszy... i oto masz to właśnie co mnie w tej chwili najbardziej ucieszyło!

14go kwietnia.

...Ja Ci nigdy nie potrafię wypowiedzieć co ja już przeszedłem, co przechodzę... a jak się okropnie na wszystko przygotowuję... Nawet mnie nigdy o to nie pytaj!

Bóg się na mnie zagniewał!... Niestety z nim nie mogę się procesować, bo ja za nizko a on za wysoko — mnie nic nie pozostało jak zaciąć zęby zacisnąć kułaki i — cierpieć!... — Ej, zresztą ja z pierza nie jestem i potrafię i umiem znosić więcej aniżeli moje chude plecy udźwignąć potrafią — [bom] jest Polak! — Tak ja sobie dodaję ducha, przemawiam do serca — i na razie zawsze mi się zdaje, że lepiej żyć mi na świecie, a za chwilę już znowu jestem smutny — i niepocieszony!

...Choćbym miał co dnia we krwi i we łzach się kąpać — choćbym miał przytem cierpieć katusze Tantala to ja swojego dopnę i dotrzy-

mam... Siły będę miał poddostatkiem bo tę Bóg daje wraz z krzyżem, który ponieść mamy...

[Choć] prawda, że w takim zbiegu okoliczności, gdyby każda praca moja przemówić mogła — toby Ci o mnie straszne rzeczy opowiedziała — ale tej obawy nie [mam] — każda z nich jest niema i żadna niczego nie zdradzi.., Teraz na koniec jeszcze Ci powiem że za dwa dni już 9-ty obrazek gotowy będzie — a będzie zdaje mi się, tak jak i wszystkim, najlepszy i najpoetyczniejszy...

16go kwietnia, wtorek, w południe.

Przez wieczór wczorajszy na mojej Dziewczynie grającej, zrobiłem tyle i tak szczęśliwie, że słusznie ten obraz do najlepszych rysunków policzyć mogę. I... przy tym właśnie popróbowałem i doświadczyłem siły mojej wyobraźni — i siły twórczej. Czułem bowiem, że dziwnie wielki świat jakiś, pełen tajemnicy dotąd, zaczął mi się rozwidniać, cuda jakieś coraz wyraźniej pokazywać, a na tle wszystkiego zdawało mi się, widzieć jakgdyby szczyt i kraniec tego do czego dążyłem instynktowo a dokąd w przyszłości już na pewne powędruję. Zdawało mi się, że moja prawica silniejsza... mój węgiel wymowniejszy... a miejsce na którem stoję jest piedestałem jakiegoś posągu! Przecież raz to o czem zawsze marzyłem słuchając nieśmiertelnego Beethovena zobaczyłem na obrazie!

Ach, ja się tą robotą tak cieszę jak myślą Wojny mojej!

Dziewiąty obrazek zapewne skończę do jutra... Co do następnego to sam jeszcze nie wiem dokładnie jaki będzie, nie może być słabszy jak poprzedzający — musi być jeszcze silniejszy...

16go kwietnia, wtorek.

...Wieczorem robiłem znowu nad „Muzykantką". Coraz lepsza i nawet coraz piękniejsza... Jedną mam trudność, to są ręce, które koniecznie z natury zrobić muszę, a do których nie mam i zapewne nie będę miał modela. Trzeba wiedzieć, że tu nie przelewki, bo są w naturalnej wielkości, więc ganczów rysunkowych pozwalać sobie nie można, a do tego muszą to być nietylko piękne rączki, ale i charakterystyczne. Że to dziewczę młode i smukłe, więc i rączki muszą mieć paluszki miękkie, ale smukłe, nawet długie....

18go kwietnia, czwartek.

Piszę słuchając a raczej słysząc Schumanna „Paradies“ und Peri“, co właśnie Władek Żel. na fortepianie przegrywa. Czy dlatego mój dopisek dzisiejszy nie ucierpi, to nie wiem... Gdybyś wiedziała, jakie to prześliczne, co on gra w tej chwili! — — Teraz śpiewa! — — Zimno przechodzi mnie od stóp do głowy, a czasem łzy przychodzą do oczów! — — Ach cudowne! — — Słucham wytężonem uchem każdego tonu...

Nie idzie mi pisanie! — Bo nawet nie wiem, co z pióra na papier zbiega! Czerni się pod niem, prążek coraz bardziej przedłuża a przez myśl moją tymczasem tysiące i miliony najpiękniejszych obrazów przelatuje, mnie za sobą ciągnie i porywa... Nie wiem jak się to dzieje, że jeszcze siedzę i piszę....

...Muzyka! Muzyka! Cóż za wierne, za piękne to kochanie — takie wieczne, takie nigdy niezmienne, zawsze tak uszczęśliwiające! — Ach dlaczego ja nie urodziłem się dla niej? Że ona dla mnie obca, tak często nieprzystępna i tajemnicza! ...Jakież to cudne co on właśnie gra i śpiewa! ...Ja przestać pisać nie mogę więc piszę i słucham!

...Przestał już Władek i lżej mi się zrobiło, i cicho i głucho w mojej pracowni.

20go kwietnia, Wielka Sobota, rano.

...Wczoraj w Wielki Piątek byłem na bardzo pięknym koncercie, w Cirque Napoleon i słyszałem „Stworzenie Świata“ Haydna, kilka ustępów z jednej symfonii Mendelssohna, jeden bardzo pięknie odśpiewany chór z 16.. wieku i sławnego, może dziś w Europie najpierwszego skrzypka Joachima! W samej rzeczy byłem oczarowany przecudną grą jego. Grał sławny koncert Mendelssohna a potem Suitę Bacha i tę ostatnią tak po mistrzowsku, że po skończeniu brawa i oklaski ustać nie chciały; ...jaką jest gra jego musiałbym bardzo dużo napisać, w ogóle jak zawsze, kiedy gęba miesza się w sprawy ucha i zdaje jej się że ono nastąpić potrafi; ...dodam tylko że po wczorajszym wieczorze śliczne odniosłem wrażenie, tem lepsze że mnie zdecydowało do niektórych poprawek na mojej „Muzykantce“, które dodadzą obrazowi temu jeszcze więcej artystycznego polotu. Rąk do niego jeszcze nie znalazłem. ...9ty obrazek już skończony! Jutro w dzień Wielkiej Nocy zaczynam 10ty.

22go kwietnia, Poniedziałek oblewany.

...Czułem [się] wczoraj bardzo sam i więcej opuszczony jak zwykle, wśród zgiełku ludzi, wśród licznego i hałaśliwego towarzystwa, prawie przez całe pół dnia — bo na trzech Święconych być musiałem, u Czartoryskiego, Zamojskiego Jenerała i Leona Zienkowicza, tylko naprzód na książęcych salonach a potem emigranckich, ale serdecznych, szczerych izdebkach. Tak mi dziwnie cicho i samotnie było, kiedy powróciłem do domu....

23go kwietnia, wtorek.

...Dziś jestem kwaśniejszy jak wszystkie octy, cytryny, niedojrzałe śliwki i wszystkie humory rozgrymaszonych kochanek. Dziś jestem ekstraktem kawalersko-kociego kwasu! Od samego rana nic nie robiłem tylko ciągle prawie leżałem na kanapie i albo ziewałem i przeciągałem się, albo spałem, albo się za to na siebie złościłem... Ale właściwie jestem trochę niezdrów, chociaż mi nic nie brakuje. Najgorsze to że na dziś miałem łepetę jakby zamurowaną do roboty wszelkiej. Nie byłem w stanie ani rysować, ani czytać, ani pisać — tylko złościć się ciągle, że taki jestem! — Pod wieczór lepiej mi nie jest, ale teraz przynajmniej o tyle myśli zebrałem że piszę. Czy to ma sens jaki, nie wiem... Przynajmniej z jednego się cieszę, że, mimo całej niedyspozycyi, dobrego coś przyszło mi na myśl, pewna zmiana w teraźniejszym to jest w 10-tym obrazie, która najmniej trzy dni roboty mi oszczędzi. Co on przedstawia napiszę, jak wszystko będzie zdecydowane. Dobranoc...

24go kwietnia.

... Dziś już trochę weselej jak wczoraj, bo chociaż jeszcze zawsze kwaśnawo, to jednak znacznie lepiej jak wczoraj. Jestem jeszcze niezdrów, ale przynajmniej nie mam ani spiączki, ani ziewaczki, dwóch chorób, które niestety tylko leniuchów z profesyi zwykły nawiedzać. Dziś też sobie już dużo zrobiłem! Do niedzieli muszę mieć 10-ty obrazek i to bardzo porządny... Jak wiesz, że przedstawiając ujemne strony wojny, zamierzałem przedstawić tę wojnę jako żywioł, który nas demoralizuje... tak dalece, że o samym Bogu i Jego poszanowaniu zapominamy... Rzecz dzieje się w kruchcie przedkościelnej — po prawej Geniusz i Artysta... w głębi trochę, a po lewej na samym przo-

dzie... cztery bębny, które jeszcze przed chwilą służyły za siedzenia dla trzech jegomościów zajętych żywo grą w karteczki. Że przed chwilą jeszcze grali, świadczy lulka jeszcze dymiąca na ziemi i karty porozrzucane... Ponad niemi, do filara na krzyżu przybity Pan Jezus. Rozciągnął Ramiona swoje, głowę smutnie pochylił, bo go nie chciano uszanować, a na ramionach pałasze, ładownice i różne rynsztunki wojenne pozawieszano. W głębi kościół zestrzelany i na wpół spalony. Oto treść obrazu. Czy go widzisz i czy jest dosyć mówiący? Lecz mimo tego wszystkiego co myślę, jestem w samej rzeczy trochę rozciapany... Tu w Paryżu, od kiedy przyjechałem, ciągle i ciągle szkaradnie. Z tą różnicą, że coraz cieplej, bo też od kilku tygodni przy otwartem oknie pracować mogę, ale za to deszcze i chmurno, że już się życie uprzykrza.

25go kwietnia, czwartek.

...Nie wysłowisz sobie jaką miałem uciechę odebrania od Was tych doskonałych smaczności... Niech Wam za tę uciechę Bozia wspaniale wynagrodzi! Powróciwszy z obiadu dziś o 9-tej... dowiedziałem się, że mi jakieś pudełko z kolei przyniesionem zostało... O,ooooo! Nieba! zawołałem, spostrzegłszy wśród tajemniczych stosów, że tak powiem bałwanów bibuły i obrzynków papierowych, nie mniej ani więcej tylko najkompletniejsze Święcone, a w tem nawet prześliczną smukłą... babę!— Nie wiedziałem co naprzód wyciągnąć, aby się do niej dostać. Nareszcie — nareszcie miałem ją w moich objęciach! Cudna! — która prócz wspaniałej powierzchowności łączyła w sobie i cnoty i wytrzymałość prawdziwego podróżnika... Zajechała do Paryża i w niczem nie ucierpiała, prócz kilku bardzo nieznacznych usterków w pstrobarwnej fryzurze. Reszta doszła zupełnie bez szwanku, prócz biednego „barana“, który... zajechał... jak cukrowy placek. Nieszczęsna ofiara kiełbasy, która, znać przez całą drogę całym swoim gniotąc go ciężarem, wreszcie udusiła biedne niewiniątko!... Tylko krwawa chorągiew, którą za życia tak pięknie powiewał, a która obecnie wtłoczoną była w jego resztki, była dla mnie jedynym znakiem, że niegdyś istniał!... Za dni parę myślę, że i cała drużyna pójdzie w tropy jego i wszystko zniknie... Jutro wszystkiego sam napocząwszy, zaraz z rana do herbaty, potem zapraszam moich [chłopców] — i sprawiam im „ein Göttermahl sondergleichen!“ Wyobrażam sobie, że prócz Władka, wszystkich innych wódka i kiełbasa najwięcej zelektryzuje. Naturalnie że zaraz wszystkiego zjeść im nie dam, tylko po trochę... Ej, Boże, jaki ja dziś we-

soły jestem!... Ale nietylko to jest całym powodem wesołości mojej, cieszę się również serdecznie i obrazkiem moim dziesiątym, który mi się wiedzie doskonale! Już cały podłożony i studya draperyi już wszystkie porobione, więc duchem będzie gotowy. Moja słabość jak przyszła tak i poszła sobie szczęśliwie. Wczoraj już byłem prawie zupełnie zdrów a dziś to nawet zdrowszym jak zwykle. Cała choroba był brak apetytu, ziewanie i spiączka jednodniowa. Po prawdzie mówiąc, to zdawało mi się, że się na tem nie obejdzie, że to zwykły kwatermistrz jakiejś większej choroby...

26go kwietnia.

Otóż Święconego już znaczny kawałek przepadł — w nieodwrotnej przeszłości a w rzeczy samej w naszych głodnych paszczach. Jeszcze raz jutro i pojutrze a zaprawdę ani okruszyny z tego nie zostanie prócz pudełka i choiny — i innej zieleniny, — na którą nie wiem czy się złakomimy — a którą sobie schowam na pamiątkę! Za chwilę idę na wystawę obrazów Ingresa zmarłego, która jeszcze dni parę ma być otwartą...

28go kwietnia, niedziela.

...Do mojej „Muzykantki“ ani myśleć znaleźć jakie ręce! Nie wiem co zrobię? Jestem zły dlatego jak pies na wszystkie kobiety, które znam, a które rąk takich nie mają jakichbym potrzebował. Nie mogę im tego darować... O 4-tej poszedłem do Salonu, jak tu nazywają coroczną Wystawę obrazów na Polach Elizejskich. Ale mówię [Ci], że tu... tyle szmatałajstwa i łatałajstwa, że zły jak dyabeł wróciłem do domu i po części jestem kontent, że tam rysunków moich nie wystawiłem. Oprócz może dziesięciu bardzo pięknych obrazów na kilka sal... reszta są takie lichoty, że doprawdy czasem nietylko Wiedeń ale nawet Lwów ze swojemi obrazami żywo mi się przypomniał... Teraz, znużony trochę, siedzę i piszę, resztki Święconego mojego mając przed sobą. Babka poczciwa już do połowy zmalała, placek już bardzo słabo jest reprezentowany — kiełbasy także niewiele, tylko w proporcyi najwięcej kontuszówki...

29go kwietnia, poniedziałek.

Deszcz leje jak z cebra, cały dzień tak chmurny, że czasem za ciemno do roboty a nosa jeszcze nie wyściubiłem, tylko sobie dalej

smaruję i cieszę się, że wszystko idzie naprzód i... 10-go p. m. z pewnością już raz zakończę swoją pracę. Ach serce mi bije, ledwie że nie szamoce na myśl samą, że to już niedaleko!

30go kwietnia, wtorek.

Dla nieszczęsnych rąk — nie, już powiem: ręczysków, bo mnie to okropnie gniewa, nie mogę dokończyć mojej „Muzykantki". Nie jest to „Muzyka", bo na taką postać jest ona za mało posągowa. Nazwania dla niej nie znalazłem stosownego, chyba „La fille au violon". Zdaje mi się, że kilka taktów serenady Beethovena najlepiej mi do tego posłuży.

...U nas niestety leje i leje bez końca... Wyobraź sobie że przez całe cztery miesiące mojego pobytu w Paryżu, doprawdy wszystkiego razem 14 dni było bez deszczu! Ciągle pada a tylko czasem ku wieczorowi, na godzinę, dwie, albo zrana wypogodzi się chwilowo! Nieznośny klimat. Naturalnie że z kataru wyjść nie można.

Matejko jak słyszałem już dostał medal, oczywiście złoty... ale przecież to paskudniki ci Francuzi. Na tę wystawę przeznaczonych było prócz zdaje mi się 40 medalów złotych, jeszcze 8 medalów honorowych. Wyobraź sobie, że z tego 4 dali swoim Francuzom, już na dziesiątki liczących różne medale swoje i dekorowanych niemiłosiernie. Dostali Cabanel, Meissonier, Rousseau i Gerôme, wszyscy już do starszych i już zanadto sławnych malarzy należący, aby być jeszcze raz wyszczególnionymi. Z zagranicznych Matejko najwięcej zasłużył, bo ...on jeden wystawił obraz historyczny mający niezwykłe, bo nadzwyczajne zalety. O, Francuzi zupełnie nie po gentlemańsku sobie postąpili, tylko, że tak powiem, po żydowsku...

2go maja.

...Dziesiąty obrazek także skończony a więc tylko półtora jest do zrobienia! Przed chwilą położyłem nań mój monogram i jestem z niego kontent. Robiłem wczoraj do drugiej w nocy... Jutro zrana zaczynam obrazek następny.

4go maja.

...Fatalny dzień miałem a szczególnie popołudnie... Porwało mnie jakieś dziwne zwątpienie, nie wierzyłem sobie, nawet odmawiałem tyle

talentu aby przynajmniej to zrobić jako tako, na co się mizerna głowa moja zdobędzie — jednem słowem naraz zagwoździło mi się coś w rozumie. Poleciałem też na wystawę w nadziei, że taka wycieczka będzie najlepszem lekarstwem, ale niestety przerachowałem się, bo potem dopiero na pięknie głupio mi się zrobiło... Do późna bardzo rysowałem i wymazywałem, oczywiście znużony spać się położyłem a pierwszą rzeczą było, wstawszy dziś zrana, wymazać znowu wszystko co wczoraj zrobiłem. Najbardziej mnie to złości, że nie mogę odkryć przyczyny i powodów do takich fatalnych u mnie usposobień... Ach tak... jeżeli praca moja, tu w Paryżu, może podoba się ludziom, że chwalić i mówić o niej będą — czego nawet nie przypuszczam — to będzie to tylko jakiś dziwny przypadek, zrządzony łaską Bożą, który mi doprawdy dopomódz zechce... Ach niestety, nie mylę się zupełnie...

Dziś miałem list od Mamy z Krakowa... Mój Stasik zdrów, miał wypiękneć a co najzabawniejsze dopisał się do Wujcia swojego: zrobił „żyda“ i kilka okropnych krychów na liście. Jak będę przejeżdżał przez Kraków to tego drabika zaduszę, tak będę ściskał i całował! Pisze mi także, że mówiła o mnie także z Kraszewskim, który nadzwyczajnie pochlebnie o mnie się wyrażał i różne rady swoje przesłać mi kazał. Przedwczoraj widziałem się z Amborskim.... otóż on znowu mówił mi, że coś dosyć dobrego miał o mnie powiedzieć Kraszewski w swojem dziełku najnowszem p. t. „Rachunki“. Nie mam tej książki i nie wiem gdzie jej dostać...

Od dwóch dni stała pogoda więc i ja już wierzyć zaczynam, że na prawdę wiosna zawitała. Już czereśnie sprzedają i w przyzwoitym cieniu przechadzać się można. Przecież to dziwne, że ta wiosna zawsze i wiecznie taka dla nas nowa i miła!... Od dziś za cztery tygodnie będę we Lwowie... i dużo i dużo ważnych i losem moim rozstrzygających wydarzeń już przeminie! — Wierzmy i pracujmy!

5-go maja, niedziela.

...[Piszący] jutro w południe kończy Wojnę!!! Ach... gdybyś wiedziała z jaką prawdziwą radością podaję Ci tę nowinę, jaki szczęśliwy i zadowolony jestem...! Ostatni [obraz] już jutro dokończę, przedstawia artystę już samego w pracowni swojej, siedzącego przed sztalugą i rysującego wielki obraz, na którym widać Bozię, z długą rozczochraną brodą i strasznym gniewem w obliczu, przeklinającego Kaina, który

zabił Abla. Prawda że dobre zakończenie? ...Prawda że Ci się podoba takie zakończenie? Powiedz mi coś o tem. Taki byłem też szczęśliwy i tak serdecznie pracowałem, że najtrudniejsze rzeczy na obrazku już zrobiwszy o 5-tej postanowiłem sobie pójść na przechadzkę. Toteż i byłem i powiem Ci, że jestem Paryżem zachwycony! Dzień był przecudny i po raz pierwszy tak czysty, że ani chmurki na niebie nie było i w najdalszej odległości wszystko wyraźnie widzieć się dało. Byliśmy najprzód w ogrodzie Tuilleryjskim a potem na Polach Elizejskich. Drzewa wszystkie najcudniej rozkwitnięte, rzęsistym szmaragdowym liściem okryte, aż się uginały pod ciężarem swojego wiosennego bogatego stroju. Powietrze pełne woni i świeżości. Ludzie piękni i najwykwintniej ubrani, tłumami całemi snuli się w prawo i w lewo. Prześliczne dzieci, których tu zastałem całe stada biegały i skakały bawiąc się... że nie wiedziałem gdzie wprzódy patrzeć a pomiędzy to wszystko zieloność, kwiaty, drzewa odwieczne i cieniste i świetne, od pereł i brylantów, szumiące fontanny! Obraz wiosny pełen życia i tylko sobie właściwego czarownego uroku. Na Polach Elizejskich zaledwie przecisnąć się można było, toteż zostaliśmy zaraz na początku i wynalazłszy dobre miejsce do obserwacyi głównej alei tu przez całą godzinę stojąc, najmniej 20 tysięcy najwytworniejszych i przepysznych ekwipażów widzieliśmy, wolno przejeżdżających! Powiadam Ci, że ledwie nie oślepłem od tylu aksamitów, jedwabiu, sreber i złota a między to prawdziwie wspaniałych piękności. Po raz pierwszy zobaczyłem to co żyje w Paryżu o czem nie wiedziałem: że tu także są bardzo piękne kobiety! — Na tyle zbytku pod wszelkim względem nigdy przygotowany nie byłem i wierzę teraz że Paryżów niema więcej na świecie! Nasyciwszy się tem wszystkiem podostatkiem powróciliśmy do domu na obiad... przed chwilą wyszedł Żelo i Popiel, którzy byli na pogadance i pograjce. Tak dzień dziś zakończyłem.

6-go maja.

...Praca zakończona, wyjąwszy kilku poprawek, które mi jeszcze jedno przedpołudnie zabiorą. Myślałem że do południa będę gotów z ostatnim obrazkiem, bo tak mi się już na nim mało roboty wydało, a przecież do tej chwili nad nim siedziałem... Dziś w południe był u mnie P. Chojecki. Pokazałem mu tą razą już wszystkie rysunki... i wiele też pochwał łaskawych usłyszałem... Jutro z rana ruszam z skończoną już Wojną do Gerôme'a aby mu ją pokazać, popytać o zdanie, prosić

o rzetelną i choćby najostrzejszą krytykę... czy Wojna ma jakowąś wartość, czy mi się to tylko wydaje? Jużto właściwie ja wiem sam najlepiej, że prócz myśli, która jest piękna, bo chrześcijańska i postępowa, nic na niej niema. Widać tylko z tej roboty że mam wiele może niezasłużonego talentu, ale mej zasługi jeszcze prawie żadnej. Ale ja sobie powiadam na to, że kto ma talent, i chęć i silną wolę spożytkowania go godnie — jak mówi Pol: po bożemu, — ten ma wszystko, więc dobrą mam zawsze minę i kieszenie pełne... nadziei!

7-go maja, wtorek.

Jeszcze u Gerôme'a być nie mogłem a to dlatego, że ze wszystkiemi poprawkami nie jestem gotów.

8-go maja, środa o drugiej w nocy.

...Dziś zmęczony i bardzo spiący jestem bo najprzód bardzo do późna na wieczorze u Zamoyskiego Gen. bawiłem a potem jeszcze w kawiarni, z kilkoma znajomymi siedząc i zalewając się kawą i wodą sodową, zeszło gdzieś może do 1-szej. ...Cały dzień biegałem za interesami, miałem list od Chojeckiego w którym zaprasza na konferencyę na jutro rano... Na koniec Generał stary zaprosił na wieczór, a więc tam jeszcze poszedłem. Naturalnie jak zwykle tylko w gronie samych znakomitości polskich i francuzkich wieczór zeszedł niezupełnie zabawnie. Był tą razą P. Ryger i Palacky, przewódcy Czechów, co jako demonstracyę przeciw Rosyi możnaby sobie wyłożyć — o innych nie wspominam. Dużo słyszałem komplementów i łaskawych słówek, wiele widziałem próżności ale i zasługi uosobionej... nakoniec, tak jak zwykle najwyraźniej, moją mizeryę! ...Dziś już więcej nic nie powiem...

10-go maja, piątek popołudniu.

...Wyobraź sobie przed godziną Krajewski, przypadkowo zapalając cygaro, podpalił firankę, a że tu one bywają podwójne i u mnie z jakiejś materyi perkalikowej, więc odrazu pochwyciły ogień i w jednem oka mgnieniu z okropnym effektem spłonęły. [Spisałem] się dobrze, bo w tej chwili chociaż ani kropli wody nie było, ogień został ugaszony a tylko koc do nakrywania którym ogień, zdarłszy wszystko na ziemię, przytłumiłem — ucierpiał bardzo. Już to i łapy sobie poparzyłem, mianowicie prawą, ale że nie bardzo, możesz być

uspokojoną, bo przecież piszę... Przed chwilą jeszcze okropnie tu wyglądało... całe okno było przypalone, szyby popękane, cały pokój pełny popiołu i popalonych resztek firankowych...

Ale teraz o czemś innem. Dziś zrana będąc u Gerôme'a, gdzie także sławnego Willemsa poznałem, od niego i od tamtego drugiego i jeszcze jakiegoś francuzkiego malarza usłyszałem bardzo dużo pocieszającego! Chwalili Wojnę i widziałem że nie żartowali sobie...! Mnie też to bardzo dodało odwagi i otuchy i chociaż jeszcze ze dwa dni pójdą na poprawki różne, minę mam doskonałą i w Bogu nadzieję!! Swoją drogą o tem co się teraz z Wojną stanie dziś jeszcze nie piszę, bo troszkę roztargniony jestem i łapa mnie boli, to tylko dziś mi strasznem być zaczyna, że do tej chwili Wojna nie wystawiona jeszcze, a to już 10-ty maja! Czas leci — ale ja pracuję a Bozia na to patrzy, więc zawsze to dobrze wypaść musi! Dziś wieczór, jeśli ręka mnie nie będzie bolała to dokończę Muzykantki do której w domu znalazłem modela.

11-go maja, sobota o północy.

Napracowałem się przez dzień cały, że mnie aż kości bolą ale w Wojnie jeszcze tylko jedną mam poprawkę do zrobienia, a to jest ręka Geniusza na pierwszym małym obrazku, lecz niestety bez modela zrobić jej nie mogę: Jutro choćby z pod ziemi wydobyć muszę rękę dla Geniusza a i biednej mojej Muzykantki, która jak kania deszczu woła... „Rąk i palców daj mi ...bo ja grać nie mogę!“ ...Pojutrze zaniosę Wojnę do Chojeckiego aby ją zatrzymał dni kilka, w celu porobienia podpisów do obrazków, co sam uczynić zobowiązał się. Tymczasem i oprawa będzie gotowa a tak za dni dziesięć może już być na wystawie. Bieda to wielka, że do osiągnienia jakiegoś celu niedosyć jest praca najsumienniejsza i najmozolniejsza; [ale] dużo, dużo innych jest jeszcze rzeczy, które równie tyle trudu i zachodu wymagają. Może być, że jutro polecę z rysunkami na wystawę, pokazać je P. Prezesowi komisyi naszej i namówię do tego aby mi na to miejsca trochę zrobili. Ach gdyby to tylko nie byli Niemcy!

12-go maja.

...Dziś z domu nawet nie wychodziłem ani razu i robiłem nad portretem Julka Tarnowskiego, którego skończę już za dni kilka. Przypo-

mniałem sobie znowu trochę malowanie i cieszę się żem tego zupełnie nie zapomniał i owszem, nawet wcale dobrze z tem obejść się mogłem. Jest tu brat jego Jan Tarnowski, toteż przy sposobności będzie go mógł zabrać.

13-go maja, poniedziałek.

Dziś jedno oko [mnie] boli... Ale to zdaje się kataralne i przeminie prędko. Najgorsze to, że nie uważałem na to już przed dwoma dniami, kiedy zaczęło mi się trochę zamgliwać i nie przestałem przynajmniej wieczornych rysowań. Teraz gorzej — ale wiesz, [piszący] uparty... więc sobie nic z tego nie robił a teraz musi cały dzień z przewiązanem okiem chodzić, jak niedźwiedź w klatce i nudzić się.

14-go maja, wtorek.

Wczoraj już miałem list wrzucić do skrzynki pocztowej, kiedy sobie przypomniałem, że mój dopisek po połowie po omacku napisany, może Cię zmartwić albo i przestraszyć. Nieodesłałem więc... wolałem poczekać do dzisiaj.. I... oko już znacznie lepiej a dowodem tego moje prześliczne pismo!...

Wieczór mieliśmy „Rachunki“ Kraszewskiego i przeczytaliśmy z nich niektóre ustępy. Krytyka o obrazach, niestety, słaba dosyć, więc też i to pochlebne co o mnie powiedziane, niebardzo mnie ucieszyło. Już to wogóle krytyków o dziełach sztuki malarskiej jest u nas brak wielki a ci uprzywilejowani mogli by też sobie darować.

Dziś zrobiłem jedną prześliczną postać z „Alkadara“ Nastusię, co przeznaczam na pamiątkę dla Chojeckiego. Jutro zaniosę mu to z „Wojną“, do której Legendę przyobiecał mi napisać.

Nie pytaj co się zresztą stało dla naszej najbliższej przyszłości, bo tak jak pierwszego dnia po dokończeniu obrazów, tak i dziś powtórzę — że niedosyć jest być pilnym i dzień i noc pracować — nie, trzeba być jeszcze do tego zimnym jak marmur i twardym jak stal hartowna, aby spokojnie iść dalej i nie rozczarowywać się na każdym kroku!...

17-go maja, sobota.

Pewnie gniewasz się na mnie bo... spóźniam się z moim listem, ale miałem do tego, niestety, bardzo dużo powodów... doprawdy, by-

łem [na oko] taki słaby, że pisać nie mogłem... Ale to nie wszystko — nietylko fizycznie... bo [i] moralnie należało [się] do bardzo niezdrowych a przynajmniej do takich co ze stanu swojego zupełnie nie są zadowoleni. Wszak wiesz że „Wojna“ skończona — tylko o oprawienie i wystawienie jej chodzi — a że taka oprawa, chociaż najskromniejsza, dla samej ilości obrazów, wielki stanowi wydatek, na który niestety kasa moja zdobyć się nie mogła, więc ja [ufny] w przyjaźń i chętną pomoc ludzi, tam gdzie chodzi o poratowanie uczciwego przedsięwzięcia, nie przypuszczając odmowy, udałem się do ludzi zamożnych i dla mnie bardzo serdecznych, prosząc tylko o ich gwarancyę u oprawiacza na dwa miesiące. Pojmiesz moje zdziwienie a potem wielkie zniechęcenie, gdy mi w dwóch takich serdecznych miejscach odmówiono, zastawiając się zawodami, jakich na innych biedakach doznali. Cóż miałem robić? W pierwszej chwili byłem jak zwykle, zły jak pies — a potem powiedziałem sobie, że teraz trzeba zapracować osobno na ramy i kwita... bo inaczej ani do ram ani do wystawy nie przyjdę... Ale jak pomyślę, że ram jeszcze nie mam, to [bym] buczał ze ...złości!!!

...już tak dawno jak [Was] opuściłem! — Od tego czasu już mrozy przeszły, śniegi stajały, trawy zazieleniały: kwiaty rozkwitły i zapachły i słońce rozweselało i Maj przyszedł i cieszy i raduje całe stworzenie — och! dużo dużo już minęło i nastało od tego czasu!

ARTHUR GROTTGER.

Listy Adama Mickiewicza
do Eustachego Januszkiewicza.

Stosunki Mickiewicza z Januszkiewiczem i znaczenie księgarza wydawcy w literaturze emigracyjnej podałem już w Lamusie (R. 1909, str. 440). Obecnie dodaję kilka listów Mickiewicza, przechowanych w pamiątkach rodzinnych Pani Konstantowej Popielowej, córki ś. p. Eustachego Januszkiewicza, której za pozwolenie korzystania z autografów poety serdeczne składam dzięki.

Tylko pierwszy z listów wymaga dłuższego objaśnienia. Następne są śladem krótkich wymian myśli w Paryżu i przydadzą się z czasem do kompletnego wydania krytycznego listów Mickiewicza.

Mickiewicz spędził wiosnę, lato i jesień 1836 r. z żoną i dzieckiem w wiosce Domont, niedaleko Paryża. Słynny rzeźbiarz David d'Angers miał tam domek letni, pustką stojący, a widząc, jak trudno poecie polskiemu wyżyć z rodziną w drogim Paryżu, nakłonił go jako przyjaciel, do zamieszkania na wsi, gdzieby przynajmniej mieszkanie miał za darmo, a życie bez porównania tańsze.

W owych latach twórczość Mickiewicza osłabła. Gdy natchnienia poetyckiego wśród ciężkich trosk materyalnych zabrakło, zwrócił się do prozy, miał zamiar w Domont dalej pracować nad rozpoczętą Historyą polską, ale i to przychodziło z trudnością; pisał wtedy do Odyńca 18 lipca 1836 r.:

„Ja piszę, albo raczej pisałem Historyą, ale na pierwszych rozdziałach zawisłem i stoję na miejscu.

...mnie dokucza drukarnia o skompletowanie tomu ósmego, który jest tylko przedrukiem dawnych rzeczy, ale mi trudno na kilka ćwiartek zdobyć się i druk przez to zatrzymał się i spoczywa".

Druk tego ósmego tomu doprowadził do końca wielki wielbiciel Mickiewicza, przyjaciel jego i znany na emigracyi księgarz-wydawca, Eustachy Januszkiewicz.

Do ósmego tomu weszły wiersze różne, a na samym końcu umieścił Januszkiewicz „Zdania i Uwagi z dzieł Jakóba Bema, Anioła Ślązaka i St. Martena". Na tych to właśnie „kilka ćwiartek" trudno się było zdobyć

poecie w Domont i o nie właśnie „dokuczała“ mu drukarnia. Wreszcie otrzymał je Januszkiewicz, a z wdzięczności dla swej narzeczonej, panny Eugenii Lariss, która oddała ważną przysługę Mickiewiczowi [1]), posłał jej autograf „Zdań i Uwag“. Autograf ten przechował się w bibliotece pana Konstantego Popiela. Do autografu przyszyty jest list nieznany Mickiewicza; na autografie zaś „Zdań i Uwag“ napisał Eust. Januszkiewicz ciekawe dla nas wyjaśnienie.

List Mickiewicza jest bez daty i brzmi tak:

Szanowny Panie Eustachy. Posyłam maxymy dla zbudowania ciebie i tomiku. Ostrzegam, że werset pod tytułem *Pax domini* ma być drugi z porządku i iść po wersecie *Rzecz zaniedbana*, a zaś werset pod tytułem *Reszta prawd* ma być ostatni.

Sceny z Don Karlosa w żaden sposób nie mogę i niewarto drukować, bo tchnie duchem luterskim i uszłaby w całej Tragedyi, a odrębnie ma minę satyry.

Ja będę w tych dniach w Paryżu i zrobię korrektę.

Twój Adam.

Autograf Zdań i Uwag składa się z trzech luźnych arkusików papieru złożonego w format t. zw. listowy (21·1 cm. × 13 cm.). Papier jest cienki, bez znaków wodnych, gładki, jasno-zielonkawy. Wersety: „Dwa Światy“ i „Majestat dusz naszych“, będące na końcu autografu, ktoś wyciął, widocznie na prezent, tak że z ostatniej kartki u góry brak papieru (6 cm. × 12·5 cm.). Reszta dochowanej ostatniej kartki jest niezapisana.

Arkusiki są ponumerowane przez Mickiewicza. Na pierwszej stronicy dał poeta tytuł: Zdania i uwagi | z dzieł | Jakuba Bema, Anioła Śląza | ka (Angelus Silesius) i Sę-Martena.

Resztę stronicy wypełnił Eustachy Januszkiewicz następującą wiadomością:

„Wiersze te umieszczone zostały w ósmym tomie poezyi Adama Mickiewicza (wydania paryzkiego). Druk tego tomu rozpoczęty we wrześniu 1835, zaledwie dzisiaj dnia 20 października 1836 ukończony został. Czekano na przysłanie z Drezna tłumaczenia części Fausta Göthego, ale rękopis zostawiony u Tedwera, po jego śmierci z innymi papierami opieczętowany został.

W tych 8-miu tomach znajdują się wszystkie poezye Adama, gdziekolwiek drukowane, wyjąwszy sceny z Don Carlosa, na której drukowanie nie zgodził się. Czego w nich niema to dowód że nie jest pióra Adama.

Ostrzeżenie to posyłam z manuskryptem do biblioteki Eugenii. Paryż 20 października 1836. 17 Marais St. Germain“ [2]).

---

[1]) Ob. dzieło Wład. Mickiewicza: „Żywot Adama Mickiewicza“, Poznań 1892, tom II, str. 371.

[2]) Ob. pismo zbiorowe dobroczynne p. t. „Na Ruiny“, wydane w Sandomierzu 1907 r., str. 46—9.

II.

[Ćwiartka papieru grubego, zmiętego, bez wodnego znaku].

Szanowny Panie.

Jeżeli nie jesteś nigdzie proszony na jutro, przyidz do nas na obiad, ale złow także Ropelewskiego [1]) i Szemiotha. [2]) Bo po jutrze już trudno będzie nam zebrać się i post zaczyna się. Może też Jendyk ów także nas nawiedzi — Gdybyś nie mogł być u nas, odpisz albo przez naszego posłańca, albo umyslną sztafetą, bo żona nie chce naprozno obiad wyprawiać.

Po obiedzie Boston.

Życzliwy słu[ga]
Adam Mickiewicz.

[Na odwrocie:] Monsieur Monsieur Eustache Januszkiewicz
Rüe de l' Echaudée No 9—8?

III.

[Duża ćwiartka papieru białego, cienkiego, bez znaku wodnego].

Bracie Eustachy. Mam za własciwe, żebyś przesłał Romualdowi [3]) kopią uwiadomienia o Pilchowskim, [4]) artykuł Demokraty i kopiją pisma Kołyszki. [5]) Nie dodawaj nic od siebie, ani uwag ani rozumowań. Jeślibyś co miał od siebie pisać, to osobno zrobisz pozniej. Artykuł i pismo Koł. możesz wziąć u mnie. Adam.

[na odwrocie:] Monsieur Monsieur
Eustachy Januszkiewicz.

IV.

[Ćwiartka papieru listowego o znaku fabrycznym: BATH. Bez adresu].

Bracie Eustachy. Nie wiem, czy kto buntuje siostrzeńca Antoniego, ia go nie buntowałem. Nie wiem, czy kto ucieka od Pana Anto-

---

[1]) Stanisław Ropelewski, głośny krytyk na emigracyi.

[2]) Franciszek Szemioth, filaret-emigrant, wielki wielbiciel Mickiewicza.

[3]) Bratu Eustachego Januszkiewicza.

[4]) Mowa o Sewerynie Pilchowskim, towiańczyku, który zdradził sprawę i przeszedł na stronę Mikołaja i schizmy. Mickiewicz ogłosił to w piśmie emigracyjnem Demokrata Polski, dnia 27 sierpnia 1846 r. Do tego czasu odnosi się i list powyższy. — Ob. Współudział A. M. w sprawie Towiańsk., t. II, str. 43—44.

[5]) Adam Kołyszko, poseł z Upity, towiańczyk.

niego,[1]) ja go ani szukam ani od niego uciekam. Gawędzić długo i próżno ani z nikim niemam obowiązku. Twoje uwagi o druku rozważymy. Czy zaś ciekawi na to, czy nie to do mnie nie należy, a czy prędzéj czy pozniéj pismo wyidzie, nie wiemy.

Bądź zdrów — wstąp kiedy do mnie, wieczorami jestem często u siebie. Za Elementarz dziękuję. —

[Bez podpisu].

V.

[Ćwiartka papieru listowego gładkiego, bez zn. wodn., bez adresu].

Nie zapomnij, proszę, że jutro (9) we czwartek o pół do ósmej wieczorem mamy muzykę. Bądź też łaskaw daj znać P. Szemiotowi. Czekamy.

8 środa 1854. A. Mickiewicz.

VI.

[Mały arkusik papieru listowego gładkiego bez znaku wodn., bez adresu].

1854 Wielki piątek.

Mam święcone dla dzieci u siebie, nie będę więc w Klubie. Za twoią pamięć tak stałą bardzo Tobie wdzięczen życzę wszego dobrego i Tobie i Twoim na święta i po świętach.

Rodzinę całą pozdrawiam. A. Mickiewicz.

* * *

Podał Józef Kallenbach.

---

[1]) Zdaje się, że mowa tu o Antonim Goreckim, z którym zaszły nieporozumienia z powodu Towiańskiego.

126